

treść numeru

— ANDRZEJ JASIEŃSKI — SŁAWOMIR KRYSKA — IRENEUSZ JEDYŃSKI — inni

— CZERWONA WYSTAWA SAMOTNOŚCI — EUGENIUSZ KARATC

— DLA DOBREJ SPRAWY — ALEKSANDER MINKOWSKI

— SZALIK — MARIUSZ THOREK

— WINIEN JEDEN — ROMAN ŚLIWONIK

— GMEŚNA MŁODOŚĆ ŚWIĘTEGO — JERZY SIEWIERSKI

— O ROBOCIE FROSCIE — LESZEK SZYMAŃSKI

— KEDAR NATE — MODLIWA DZIEKCYNNIA

— RECENZJE

— TRUMACZENIA

— SATYRA

— EYSUN — ZBIGNIEW KUPCZYŃSKI

WARTOŚĆ
OK. 10.000
Nr. 2
płaca 1000
Wydawca
CENA 1.000

nr 2

WSPÓŁCZESNOŚĆ

zamiast manifestu

Spotkali się z zastrzeżeniami, że grupa nasza nie posiada określonego manifestu programowego. Zdajemy sobie sprawę, że grup nie reprezentują manifesty układane przed rozpoczęciem pracy. Określił ją może jedynie konkretna działalność literacka i publicystyczna. Ponizną wypowiedź drukujemy aby uczynić zadość żądaniom.

Za sloganów nie odpowiadamy. Mieście pretensję do tych, którzy w poprzednich latach za słów pełnej treści uczynili slogan.

ESTEMY grupa młodych pisarzy, których słęczyła trocha o dalszy rozwój naszej socjalistycznej kultury i wspólne poglądy na rolę sztuki w naszym społeczeństwie. Chcemy mieć możliwość pełnego wypowiedzenia się o literaturze, o sztuce, o życiu społecznym. Chcemy by nasza sztuka pomagała w budowie nowego społeczeństwa. Chcemy pomóc w procesie demokratyzacji i wzmocnienia kultury na drodze do nowego społeczeństwa.

w rozwoju kultury zważyć będziemy wszelkie akademizm, krępujący rozwój nowoczesnej literatury i sztuki. Chcemy pisać żywym, nowoczesnym językiem. Mamy swoje koncepcje poezji i prozy, nie musimy się jednak do jakiegokolwiek kręgu recepcji formalnej. Będziemy udostępniać nam nasze plany ludziom o różnych założeniach światopoglądowych i artystycznych. „Współczesność” stanie się miejscem dostrzeżenia się różnych poglądów ludzi, których jednoczy bezwzględna uczciwość wobec swych ideowych i artystycznych założeń. Chcemy stać posterkiem kraj naszych zainteresowań. Pisać będziemy o polityce, filmie i teatrze. Dużo miejsca zajmie w naszym piśmie krytyka, krytyka i teoria sztuki.

Zasadniczo jednak „Współczesność” zachowa charakter piśmienniczy, trybuny młodych twórców. Ambicją naszą jest i pozostanie poszukiwanie ciekawych debiutów z terenu całej Polski. Chcemy nawiązać jak najszersze kontakty z najnowszą literaturą innych krajów. Pragniemy skupić wokół „Współczesności” wszystkich młodych twórców, którzy chcą swą sztuką służyć wielkiemu dziełu odnowy naszego życia społecznego i kulturalnego.



13 tysięcy przestęp

roman śliwonik

w q q r o m

Shehalidmy tyle lat
haka młotów
kajanych pęta

cozy nasze wybieciał lek
że nie serwa ich ludzkie ręce
pod obrzydłą pokrywą milczenia
szepi ochryply rozkwawiał usta

zasiadli cioczek
ciemna pływ
zamienili dni
w dom oślepych
dotawali biegali
w kół

popychali w opętany tańce
podpici płakali w ciemności
ochryply pisał
które nie widziały słońca

aż ludzki krzyk
którym można poderżnąć gardła
strząsał pływ
na kłosa było cioczek

przywrochoy oczom blask
natom oddamy uśmiech
obrotu rzeka wielkiego bólu
dnia wypełniała się po horyzont

a wasza krew
spływająca na zieleni twarz ziemi
niech przestrogą wielką zabijanie
na rawe obwinili tych
którzy zapomnieli ją cenić.

38.X.56

f ront walki o wychowanie nowych ludzi. Zaczęły się z dowodstwem szlabu. Co słychać? Odpowiedź namusielizna, jaka, może, nie ma. O rozmianach na otrzymać: szlabu. O rozmianach na otrzymać: szlabu.

13 tysięcy przestępstw dokonanych przez młodziaków w roku ubiegłym.

20 tysięcy młodziaków zatrzymanych przez organa MO.

Takie cyfry notują statystyki przestępstw. O ściślości naszych statystyk coś już wiemy. Wiemy też jaki procent przestępstw dokonanych przez młodziaków trafia na karty rejestrów. A zatem? A zatem jeśli pomnożymy 13 tysięcy przez 2, otrzymamy cyfrę tylko prawdziwą co do bólu. Nie mniej bolesny jest fakt, że rok bieżący pod tym względem nie przyniesie ulgi.

Tyle cyfr. A, że cyfr mają to do siebie, że albo kłamią, albo ilustrować dowodzący cyfry. Gdyby owe dowodzenia zmieniły w jeden ciąg, uzyskalibyśmy smutny dokument refleksu naszych metod wychowawczych. Wystraszona twarz władz do rezerwy, z kilku ostatnich miesięcy i rzucić okiem na kronikę kryminalną, by się przekonać, że wewnątrz organizacji naszego społeczeństwa dojrzewa wąż, który niepokojać prędko przed zatruciem całego organizmu. Po-czytamy:

„Na Pradze banda młodziaków chuligańskich w zorganizowany sposób dokonuje napadów na społeczeństwo i zamienionych przechodzących. Celem napadów jest zniszczenie.”

„17 letni J. B. zamordował matkę i uciekł z domu zabierając 2 tys. zł.”

„Sztuka młodych dołnaray na Dworcu Głównym...”

„W pociągu jadącym do Szczecina zapięto na gorącym uczynku trzaskający łeczek młodego Euzeniusza Kijasa. Kijasa był już karany domem poprawy.”

„14 letni Wojciech M. pobit nau-czytelkę, wychowawczynię 7-jej klasy, do której uczęszczał już drugi rok.”

„Po zakraplanych imieninach ude-rzył nożem. Ma lat 16 i jest syn-em znanego aktora.”

Znacie? Oczywiście znamy, znamy. Znamy znacznie więcej. Przez 12 lat naszego ustroju nie zagrałimy w otwarte karty. Wzdułdliwa skrywa-limy nasze o nieludzkim wrocie przestępczości. Przyczyną dla zaletwi-limy jednemu Hermanowi: przedyki starego. To było bardzo wygodne. bo bez wskazywania się do wielkiej ana-lyzy powiatka porało wszystko wy-lumaczyć. Czy rzeczywiście potrafił? Tu właśnie jest pios pogrzybny. Ale nie będzie to przedmiotem niniejs-zych rozważań. Sprawy „szczędło-wych” badacz tego zjawiska i polityki prewencyjnej pozostawiamy mądrości i doświadczeniu naszych socjologów.

Zainteresował nas natomiast inny aspekt zjawiska: gdzie sam o to lu-dzkie kompleksywa srodkow dysponuje współczesne państwo socjalistyczne, chcące zohumować dalszy rozwój na-rodowi i ułoczyć dusze zaradne luz-jadem prewencji. I to nie od an-gry „konstytucyjnej”, ale „konstytucyj-nej” politycznej, tej która określa naj-bardziej aktualne status quo.

„Pierwszy krok w ciemność”

Przy Aleksem Świerczewskim w Wawrzynie: „Młodzi, mocny bóg,

przez front k. „Sprawdliwości” trwałoci szerszym umiśchem szeroki wejście tego solidnego g drzew na prawo ku chłopców w Szczęplu brunec do mnie: — Pa-nie szłoby. „A nie chronię, le Spostrzegając na drzewi i wchodzi: warszawskiego f

Odpowiadamy: się dzieje z niek-wy trawły w w

Próba odpowie-duje...

dokądże

Byli i inni, i żyli wodzowi, nami nie kile Byli ludzie, kt niewiary, kt cie i masakrow

?

pa

str

niewątpliwie w odróżnieniu od późniejszej, twórczość oryginalna i przez wniesiony ferment odkrywczą. A chociaż nie zapropenowała nowych koncepcji czy rozwiązań w dziedzinie całościowego widzenia literatury, to jednak swoim przekornym widzeniem wielu istotnych spraw i problemów przyczyniła się do znacznego przyspieszenia procesów myślowych zachodzących w młodej literaturze polskiej lat sześćdziesiątych.

X
X X

[Obecnie, gdy środowisko literackie od lat jest podzielone i nie odgrywa praktycznie większego znaczenia, pozostając właściwie na marginesie głównego nurtu życia społecznego - warto przywołać przykład "Współczesności", która zwłaszcza w pierwszych latach swojego istnienia/wychodziła do 1971 roku, w sumie ukazała się 357 numerów/potrafiła się upomnieć o należne miejsce poezji, o godność literatury oraz nową hierarchię zjawisk artystycznych opartych o konkretne wartości.

[Szkoda, że takiego czasopisma dziś nie ma a nieliczni żyjący jeszcze przedstawiciele pokolenia "Współczesności" jak Słiwnik czy Ba Bryll należą już do odchodzącej generacji twórców i jej "klasyków".

Zbigniew Irzyk

14

spawę, łączy dzisiaj Słojewskiego/w latach 1957-1959 uważanego z
 ówczesnego krytyka "Współczesności" i późniejszego świetnego felie-
 tonistę/z Jackiem Kułasiewiczem, Konrada Eberharda z Piotrem Kun-
 iczem, Tomasza Burka z Januszem Maciejewskim, a zmarłego tragiczni-
 i wielce utalentowanego Ryszarda Zengla z nieżyjącym już również
 Zbigniewem Pędzińskim? Wszyscy ci autorzy debiutowali w połowie
 pięćdziesiątych i pisywali wtedy głównie we "Współczesności", pó-
 jednak poszli własnymi drogami. Gdy po latach czytamy wydane ~~zma-
 nie później~~ ich książki, ich zbiory szkiców, nie dostrzegamy już
 wspólnego początku tych dróg. Niektórzy wrócili nawet do fileologi-
 nego sposobu analizowania tekstów literackich, do popisów erudyc-
 nych, które tak namiętnie wtedy zwalczali. To samo w znacznej mi-
 ęrotychypoeetów i pisarzy. Można się nawet zastanawiać, czy wszyscy
 których nazwiska powinny figurować w spisie treści pierwszych
 roczników "Współczesności", pamiętają jeszcze, że debiutowali w t-
 samym czasie, w tym samym czasie uzyskiwali pierwsze sukcesy i w
 podobnie spontaniczny sposób reagowali przed laty na pewne nega-
 tywne zjawiska społeczne i artystyczne. Zupełnie natomiast niew-
 zasadnione wydaje się przypisywanie do tzw. "pokolenia "Współcze-
 ści" autorów, którzy-choć twórczość swoją zaczęli w latach po-
 czątków tego czasopisma, nie mieli z nim ówczesnie żadnych zwi-
 ków.

Po roku 1960 "Współczesność" uległa daleko idącym przeobraże-
 niom, stała się jednym z kilku pism ogólnoliterackich, należących
 do naszego sielskiego krajobrazu kulturalnego, przyjąwszy wszystkie
 reguły gry obowiązujące w świecie ustalonych konwencji literack-
 Zyskała uznanie, ale straciła to, co stanowiło jej młodzieńczą
 oryginalność: pewien swoisty i niepowtarzalny ^{klimat} emocjonalny i inte-
 lektualny, poważnie znaczący w życiu młodej literatury. Była to

w Polsce lirkceważone i negowane, na korzyść prymitywnie pojmo-
wanych "racji ogólnych", państwowych.

13

[Gdy dzisiaj, z perspektywy już kilkudziesięciu lat minionych od
chwili założenia czasopisma "Współczesność", myślę o grupie auto-
rów skupionych wokół tego pisma, zastanawiam się, czy można mówić
o nich w ogóle jako o jednym "pokoleniu" twórczym i krytycznym.
Pojęcie pokolenia w historii literatury wydaje się w ogóle sztu-
ne i zawsze dość "maciagane". Szczególnie dotyczy to krytyki i
publicystyki literackiej, gdzie współczesność działalności nie
oznacza przecież wcale identyczności czy choćby podobieństwa st
myślenia, założeń ideowych czy wyników dociekań intelektualnych.
do jednego pokolenia krytycznego można zaliczyć np. Brzozowskieg
boya i Irzykowskiego?

[Podobnie trudne jest mówić o krytycznym "pokoleniu "Współczes-
ści". Ludzie, którzy spotykali się na łamach tego pisma i w następ-
stwie współpracy oraz zadzierzgniętej przyjaźni tworzyli swoistą
grupę, niekoniecznie wyznawali te same poglądy artystyczne. Trzeba
unikać mitologizowania i sprowadzania pewnych, już wówczas różny
jakościowo i skalą talentu zjawisk, do jakiegoś wykonywanego
ex post wspólnego mianownika. Nie wszystko daje się wtłoczyć w ra-
wygodnych formułek pokoleniowych, zacierających to, co w literat-
rze było i jest najważniejsze: indywidualność. Jeżeli dziś owe
więzi "pokoleniowe" istnieją nadal między ówczesnymi debiutanta
drukującymi swoje pierwociny krytyczne i publicystyczne we "Współczesności", to raczej na zasadzie wspomnień z czasów własn
młodości, z czasów koleżeńskich przyjaźni. Drogi rozwoju intelekt-
nego i twórczego ludzi, którzy pisarstwo swoje zaczynali na łamach
tego pisma, dowodzą, że raczej jedność myślenia i widzenia świat
była w rzeczy samej - wśród nich - dość powierzchowna. Cóż, na dobr

Wreszcie sporym wydarzeniem była - już pod koniec istnienia grupy "Współczesności" - dyskusja na temat tradycji literatury polskiej i właściwej jej oceny. Rozpoczął ją głośny artykuł Stanisława Grochowiaka "Karabela zostanie na strychu", przeciwstawiający taniej deklaracyjności patriotycznej postawę należytej oceny codzienności w sposób trzeźwy i racjonalny. Poparli Grochowiaka Władysław Terlecki, Jerzy Kuzyszeń, Jan Zbigniew Słowjowski, polemizowała z nim Magda Leja. Przeciwstawili się Aleksander Minkowski, Jerzy Siewierski, spośród starszych zaprzyjaźnionych z nami pisarzy Stanisław Rembek. Upatrywane w artykule Stanisława Grochowiaka próbę zdewaluowania romantycznych tradycji narodowych, chociaż, jak sędzę, szkło jego autorowi raczej o wykazanie bezsensu wieloletniej deklaracyjności i skompromitowanie poży bez pokrycia w rzeczywistym zaangażowaniu emocjonalnym i patriotycznym.

W zakresie literatury zagranicznej krytyka "Współczesności" szukała otwarcia w stronę nowych konwencji artystycznych i myślowych. Analizowano zapóźnienie naszej literatury w stosunku do zdobywczy twórczych światowej literatury dwudziestowiecznej, podkreślając znaczenie dzieł Conrada, Joyce'a, André Gide'a, Frazza Kafki, André Malraux, Eliota, a wśród współczesnych Alberta Camusa, Jean Paul Sartre'a, Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka, Williama Faulknera, Samuela Becketta - a zatem tych pisarzy, którzy w swoich dziełach zrezygnowali z taniej ilustracyjnej dydaktyki na rzecz treści uniwersalnych, eksponując murt tzw. literatury pytającej, podejmującej najistotniejsze problemy natury egzystencjalnej i moralnej naszego czasu. Szczególnie wiele uwagi poświęcano literaturze egzystencjalistycznej/Konrad Eberhard

Ryszard Zengel, Jerzy Piechowski/, ze względu na miejsce w niej ekspon-

|| ulgowej". Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Witkacy, Leśmian, wśród krytyków Karol Irzykowski, sięgając dalej wstecz - częściowe Stanisław Brzezowski/"Legenda Młodej Polski"/, byli to autorzy, których dzieła budziły w nas zainteresowanie, stanowiąc wartości cenniejsze niż dzieła murtu ściśle realistycznego, jako wytykające wytyczające drogi rozwoju literatury po dzień współczesny.

Wyrastał z tych fascynacji swojego rodzaju program, jakiego z początku nikt sobie wyraźnie nie uświadczał, a który z czasem stał się faktem. Złożyły się na to głównie trzy duże akcje publicystyczne. Pierwsza z nich - cała seria artykułów/Ernest Bryll, Jan Zbigniew Słojewski, Zbigniew Irzyk, potem Andrzej Dobosz, Jan Józef Lipski i inni/-dotyczyła reformy studiów polonistycznych i roli polonistyki uniwersyteckiej w humanistyce i w ogóle kulturze kraju. Spierano się o "postacie podręcznikowe", o właściwy dobór autorów i wartości twórczych, zaświadczających na szeroką popularyzację aby przez ukazanie ciągu rozwoju nadal żywych tradycji wytłumaczyć współczesne zjawiska polskiej literatury i światowej jak to czynił to Jan Kott. Pod tym względem zwłaszcza wielką rolę w naszej edukacji odegrała "Rzecz wyobraźni" Kazimierza Wyki.

Drugą wielką akcją krytyczno-publicystyczną, która wzburzyła wielu polemistów i wzbudziła zainteresowanie czytelników, był cykl artykułów poświęconych tzw. "Warszawce"-specyficznemu zjawisku kulturowo-obyczajowemu, które zdominowało pewien typ pisarstwa za którym krył się swoisty rodzaj programowego oportunistu, przezywanego pod szyldem sentymentu do dawnej tradycji/ kimś takim była dla mnie Magdalena Samozwaniec/, a w rzeczy samej upowszechniającego konsumpcyjny model postawy życiowej. Pisali o tym Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll, Aleksander Jerzy Wiczorekowski, Jacek Łukasiewicz i niżej podpisany. w

//

strukturalne i ideowe. W obrębie tradycji awangardowej szukaliśmy alternatywy dla sytuacji zastanej w prozie i poezji. Stąd np. kontakty z Anatolem Sternem czy Aleksandrem Watem, których zapożyczenia utwory pojawiały się na łamach "Współczesności". Uważaliśmy ich naturalnych sprzymierzeńców i prekursorów - w pewnym przynajmniej sensie naszego widzenia świata. Drażniło to ówczesnie znakomitego poetę Antoniego Słonimskiego i prowadziło do wpłatywania pisma spory, z których odległej genezy nawet nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy.

"Współczesność" była postrzegana o fanatyczną awangardowość także z powodu swojej szaty graficznej/nagłówki składane wyłącznie z małych liter, bez wersalików, specyficzne łamanie/. Przypisywano to naszemu założeniu programowemu, gdy w rzeczywistości było to pomysłem i dziełem ówczesnego redaktora technicznego pisma. Znalazł o przypadkiem wzór w prasie meksykańskiej i tak się tym zachwycił że edyta naśladował ~~formy~~ krzykliwe formy graficzne, nie zawsze zdając sobie sprawę z artystycznej tego wymowy. W ten sposób zostaliśmy niejako uznani za kontynuatorów nurtów artystycznych w przeszłości nie zawsze w pamięci najlepiej zapisanych, wyłącznie z przypisywaniem nam związków ideowych z futuryzmem kręgu Mariatiego.

Dwudziestolecie międzywojenne poczyniło ówczesnie odzyskiwać w historii i krytyce literackiej należne sobie miejsce, lecz w ~~xxx~~ w wersjach "podręcznikowych" nadal ograniczało się do przedstawicieli nurtu tradycyjno-realistycznego. Krytycy "Współczesności" zaczęli proponować odwrócenie hierarchii wartości, współdziałając niejako z Arturem Sandauerem, który wtedy zaczynał publikować sw szkice mające się wkrótce złożyć na świąteczny zbiór "Bez taryfy ulgowej". ~~Bruno Schulz, Witold~~

rających rzeczywisty społeczny sens dzieła, nadających im znaczenie doraźnie utylitarne, przyporządkowane aktualnej modzie, z pominięciem dialektyki życia literackiego i praw rozwoju gatunków.

[Hasłem wywoławczym krytyki literackiej na łamach "Współczesności" była NOWOCZESNOSC. Znaczyło to dla nas nie tylko nowe treści i nowe formy, ale przede wszystkim nowe widzenie rzeczywistości społecznej współczesnego świata, to właśnie, co nie mieściło się w kanonach dawniejszego socrealistycznego schematu literatury. Byliśmy głęboko przekonani, że przełamanie dotychczasowych konwencji widzenia i badania literatury jest warunkiem zbliżenia jej do rzeczywistości, jej odklamania, nadania jej istotnego sensu społecznego. Prowadziło to ~~niekiedy do~~ do odwrotnego schematyzmu, do nadmiernego uwielbienia i fetyszyzowania wszystkiego, co wydawało się nam nowe i formalnie - czy treściowo - bardziej nośne. Prowadziło to nawet do zaskakujących "odkryć" - fascynacji zjawiskami literackimi sprzed ówczesnego wieku, które usunięto poza obręb świadomości pokolenia, przerywając naturalną ciągłość jej rozwoju.

[Tak miała się chyba rzecz ze sprawą związku czasopisma "Współczesność" z szeroko pojętą Awangardą literacką. Rozumieliśmy ją w sposób syntezy, jako prąd literacki jednolity, nie szukając specjalnie różnic pomiędzy poszczególnymi kierunkami i twórcami. Niepokoiła nas wyłączna pozycja poezji kręgu "Skamandra", ukazująca z pominięciem wybitnych poetów emigracyjnych - jako zjawisko jedynie godne uwagi w poezji międzywojennej/ ~~skok~~ skok, rzecz jasna, nurtu poezji rewolucyjnej, który nota bene był skrojony o takie postacie jak Bruno Jasiński czy Anatol Stern/. Tym bardziej interesowała nas poezja futurystów i awangardy kra-

8

trowany przez Bohdana Slezkina z doskonałym tekstem Kwiryna/Jego Siewierskiego/ oraz obszerny repertaż ze Stodoły propagując striptiz jako swoistą demonstrację swobody obyczajowej.

Gdy dzisiaj patrzę we wspomnieniach na obraz naszych ówczesny zainteresowań literacji, na krytykę literatury publikowaną we "Współczesności", zauważam kilka istotnych wyróżników nadających w końcu sens temu, co od lat przywykliśmy nazywać "programem pokolenia "Współczesności". Łączyła nas przede wszystkim opozycja wobec wszelkiego literackiego dogmatyzmu. Na łamach "Współczesności" eksponeowała więc to wszystko, co wyrażało sprzeciw wobec poetyki normatywnej, narzucającej zwulgaryzowany kanon XVIII i XIX-wiecznego realizmu propagowanego przez marksistów i Łukasza, jako wzór do naśladowania, jako model wyłącznie obowiązujący i jedyni wartościowy. ~~Był to~~ Protestowaliśmy przeciwko deprecjonowaniu literatury nowoczesnej jako rzekomo "dekadenckiej" czy reprezentujące elitarnie, "obce klasowe" wzory ideowe. Owa walka z dogmatyzmem literackim, z fetyszem realizmu/kryjącego często pod pozorami szerokiej dostępności czytelniczej treści nierzadko kultuńskie i opornistyczne, zgodne z zaleceniami władz/, wyrażała się ~~z~~ zewnętrżnie nie w ostrej, pamfletowej formie doraźnego obrachunku z rzeczywistością literacką, lub przybierała postać bardziej osobistej, impetywnej wypowiedzi. Konkretna książka lub konkretny utwór stanowił pretekst do szerszej wypowiedzi polemiki, do próby samookreślenia. Przejawiał się w tym swoisty, czasem nadmiernie nawet radykalny, wręcz może naiwny w swoim młodzieńczym zbuntowaniu, sprzeciw wobec zastanej hierarchii wartości twórczych, wobec uznanych konwencji /już niezdołnych - w naszym odczuciu- do wyrażenia współczesnych treści i emocji. Pośrednio wyrażała się w tym niechęć do zawiłych filologicznych i pseudosocjologicznych rozważań literackich, zaci

7
niem rozprawki seminaryjnej. Esej Słojewskiego, mojego kolegi z
lenistyki, którego namówiłem do współpracy z nami-fragmentem je
przyszłej pracy magisterskiej o Kademie. Jedynym warunkiem publi-
kacji stanowiła atrakcyjność publicystyczna i nawet kontrowersyj-
ność przynieszonego materiału. To okazało się właśnie czynś nowy
czynś świeżym, po latach sztywnego profilowania pism literackich.
Rozpiętość podejmowanych tematów i problemów była -jak na owe
sy- ogromna. Zajmowaliśmy się tym wszystkim, o czym w poprzednim
okresie milczano, co było zafałszowane lub niedostępne. Stąd żywi-
we zainteresowanie np. markizem de Sade/były to ówczesnie po-
czątki wielkiej kariery literackiej na Zachodzie tego znowu
odkrytego, niezwykłego pisarza/, fantastyką, Gide' m, literaturą i
sztuką fin de siecle' u, polskim modernizmem, dwudziestolecie mł-
wojennym, literaturą powszechną XX wieku, którą wówczas zaczęto
szerzej udostępniać w licznych przekładach; współczesną literatu-
rancuską i anglojęzyczną, od której pozostawaliśmy sztucznie o-
zelewani przez wiele lat. Skowron był to czas wielkich naszych
odkryć Dostojewskiego/długo pozostawał na indeksie!/, Prousta,
Camusa, Hemingwaya, Faulknera, Steinbecka, Eliota, Frost, Saint
John Perse' a, René Chara, Henri Michaux, egzystencjalistów, twórców
"nowej powieści: Nathalie Sarraute, Michel Butora, Alain Robbe-
Grilleta. Składało się to wszystko na obraz dość chaotyczny, może
nawet przypadkowy, niemniej niezwykły i oryginalny -jeżeli zesta-
wić go ze wszystkim, co działało się ówczesnie w "uporządkowanym"
i "uznanym" świecie literatury stawiającym detad za wzór wszelkiej
doskonałości książki radzieckich pisarzy. ^{o m. utwory o tematyce produkcyjnej} Towarzyszyły temu liczne
skandale literackie, szokujące teksty, zaskakujące odkrycia, i tak
na łamach "Współczesności" ukazały się krótkim odstępem czasu
pierwszy komiks rysunkowy na podstawie "Witaj smutku" Saganki i lu

6
indywidualnych. Program tej grupy powstawał niejako "w marszu",
wynikiem bardzo osobistego i spontanicznego przeżywania spraw
literatury przez młodych pisarzy i krytyków, którzy zbliżyli się
pisma - nie zaś przyjętą z góry i wyraźnie sformułowaną manife-
stację określonej postawy ~~artystycznej~~ ideowo artystycznej.

Pamiętam, jak się to wszystko rodziło: grupa "Współczesności" i
~~zaczęła~~ początkowo nieliczna. Wszelako miała PISMO, a to zna-
ło wiele. Ci wszyscy, którzy nie mieścili się - z racji swojej mł-
ości lub swego braku konkretnych konekcji towarzyskich - w ~~kręgu~~
~~kręgu~~ sferach redakcji "Nowej Kultury" czy "Przeglądu Kultu-
nego", przychodzili właśnie na Ludną, następnie Wspólną, później
Kopernika, Krakowskie Przedmieście, a wreszcie na ulicę Wilczą
róg Poznańską/w to samo miejsce, gdzie potem mieściła się re-
cja "Poezji"/-szukając kontaktu z nowym, fascynującym swą odmie-
ścią czasopiśmem literackim. ~~Mimo~~ z początku ^{nie} wychodziło ^{ono} nierę-
dnie, nie płaciło prawie wcale, ale było i publikowało przynos-
ne z zewnątrz materiały. W ten sposób zaczęła się tworzyć grupa
młodych ludzi, złączonych wspólną pasją literacką i krytyczną,
wspólną namiętnością pisarską i podobnym przeżywaniem swojej
pierwszej ~~przygody~~ literackiej przygody. To tu tylko w pierwsze
latach wychodzenia "Współczesności" najbardziej reprezentatyw-
ni dla dorobku całego pokolenia, drukowali wiersze, opowiadania, fra-
gменты sztuk, eseje, pamflety, przekłady wszyscy prawie najznakom-
niejsi przedstawiciele tej generacji z Grochowiakiem, Bryllem, Sliw-
nikiem, Harasymowiczem, Poświatowską, Matkiem Nowakowskim, Krzyszt-
onem, Drozdowskim, Jerzym Skolimowskim czy Jerzym Grotowskim na czele.
W zasadzie każdy publikował to, czym się aktualnie zajmował, co
go ^{pa}sjonowało, o czym myślał, co wiedział. Dopiero w czasach
Grochowiaka zaczęto redagować pismo z określoną koncepcją. Mój
artykuł ^{ślic}-rzecz o młodej Nałkowskiej - był w rzeczy samej przetworz-

5
skiego, Barbary Sadowskiej, Jana Młodożeńca-illustratora większości
powieści i tomików wierszy moich kolegów, Barbary Zbrożyny, ^{Aliny Szapocznik} Zbignie
wa Domańskiego, Ryszarda Zengela, Jerzego Dumatta, Józefa Gdali,
^{Stawomir Kuczyński} Jana Himelbacha i wielu wielu innych, którzy współtworzyli
"Współczesność" i już nie ma ich wśród nas. Z każdą z tych posta
wiąże się moje wspomnienie jak to, gdy w trakcie biesiady halin
skiej założyliśmy się z Burzą, kto z nas zje więcej bitej śmiet

II.

[Kreśląc te uwagi w 50. rocznicę powstania "Współczesności", m
lę głównie o tych zwłaszcza twórcach, co ~~się swego talentu~~^w swej
bakcyliem literackiej osobowości i niezwykłości potrafilo zarazi
innych. Wtedy to pod naporem nowych nazwisk młodych pisarzy i m
oryginalnych talentów^w dekonowała się na naszych oczach swoista "zm
na warty" pokoleniowej. Przekłamały się sztywne bastiony do tej i
ty panującego wszechwładnie socrealizmu, dworskiej i rocznicowej
twórczości "pryszczatych". Na ^{stąpiły} pod wpływem narastającej "n
-ży" kulturowej i pewnego otwarcia na Zachód ważne przemiany w ś
świadomości samej literatury oraz w dotąd martwym, statecznym i
artystycznym. Ojcem chrzestnym tego równie błyskotliwego, co niepr
czyzyjnego określenia "pokolenie Współczesności" stał się Jan Bł
ski-autor znakomitej "Zmiany warty". I tak się zaczęło,

[Gdy obecnie mówimy o "pokoleniu Współczesności", obejmujemy tym
-nem wszystkich pisarzy i krytyków debiutujących około 1956 roku
kiedy to ^{w październiku} ukazał pierwszy numer głośnego później czasopisma lite
kiego "Współczesność". Rzecz ciekawa: do "pokolenia Współczesnoś
zalicza się nawet takich autorów, którzy ówczesnie nic wspólnego
z piśmem tym nie mieli. Zapomina się, że w początkach swego istni
"Współczesność" była dwutygodnikiem dość nieokreślonej grupy li
rackiej a jej program uformował się jako suma wystąpień i poglą

4

się na kilkudniową wycieczkę do Krakowa, która zaowocowała nawiązaniem przyjacielskich kontaktów z tamtejszym środowiskiem pisarzy i plastyków. Zaprezentowaliśmy się wtedy na wieczorze poetyckim siedzibie Związku Literatów na Krupniczej. Zwłaszcza z żywym przyjęciem spotkały się wiersze Mariana Ośniałowskiego.

Taką również wspinałą przygodę stanowiło nasze wspólne redagowanie "Współczesności" z Grochowiakiem, Bryllem, Andrzejem Szmidt. Redakcja mieściła się w pałacu Zamyskich a jej okna wychodziły na pomnik Mikołaja Kopernika. Pismo przeżywało wtedy swój największy rozwój, stanowiło prawdziwą ~~ogólnopolską~~ ogólnokrajową reprezentację nowej literatury. Odbywaliśmy ciekawe dyskusje, spotkania autorskie. Nawiązywaliśmy cenne kontakty z wieloma znanymi pisarzami starszego pokolenia: z Anatolem Sternem, Stanisławem Cateń Mackiewiczem, Jerzym Zielińskim, Władysławem Janem Grabskim, Stanisławem Rembekiem, malarzem Henrykiem Berleym, Jerzym Szaniawskim. Te ostatniego odwiedziliśmy razem ze Słojewskim/pamiętnym Hamiltonem w ~~jego rodzinnym~~ Zegrzynie, gdzie zostaliśmy podjęci niezwykle gościnnie przez sędziwego dramaturga w jego dworcu rodzinnym pamiętającym jeszcze czasy pierwszej połowy XIX wieku. Plonem tych zainteresowań były powstałe, będąc z inicjatywy Terleckiego, numery specjalne poświęcone przemilczanym bądź zapomnianym twórcom dwudziestolecia międzywojennego, na przykład Marii Kelles-Krauszowej autorki ^{biografii} książki o Marii Kalergis. Nasza przygoda zakończyła się nagle w roku 1959 roku zwolnieniem większości członków zespołu pisma jako rzekomo przedstawicieli jakiejś bliżej niesprecyzowanej frakcji inteligenckiej. Ale przyjaźnie przetrwały. Choć od tamtej pory tył lat ~~minęło~~, ciągle przy różnych okazjach przypominają mi się osoby Andrzeja Brychta, Mariana Ośniałowskiego, Jerzego Łojka, Magorzaty Hillar, Ireneusza Iredyńskiego, Edwarda Stachury, Bogdana Wojdowskiego.

4

3

poetyckich, towarzyszyli w ulicznej sprzedaży "Współczesności", budząc swoim egzotycznym wyglądem powszechną sensację w ówczesnej Warszawie, w której rzadko widywało się cudzoziemców.

Na zawsze utrwalił mi się w pamięci tamten piękny dzień polskiej jesieni, gdy w bramie uniwersytetu Andrzej Dabasz-późniejszy wytrwały publicysta/pisujący swoje felietony pod pseudonimem "Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia/wręczył mi pierwszy numer "Współczesności" z charakterystycznym zdjęciem pochylonego wichurą drzewa na pierwszej stronie, zawierający ciekawy szkic Jana Wyki o młodej poezji. Potem zainteresowany jego treścią nabyłem następny numer z doskonałym wierszem Słiwonika "Węgiem", z powodu którego "Współczesność" została na krótko zawieszona. Wtedy nawet nie przypuszczałem, że wkrótce zostanę jej redaktorem i jak bardzo fakt ten zawładnie moją dalszą ^{ich losach} karierze.

Najbardziej barwne wspomnienia wyniesłem z samych początków moich związków z grupą literacką Leszka Szymańskiego, Jerzego Siewskiego, Jerzego Gzajewskiego, gdy przygotowawaliśmy kolejne numery dwutygodnika na Ludnej w prywatnym mieszkaniu rodziców Leszka wśród wiecznie suszącej się bielizny i zalegających wszędzie w artystycznym nieładzie stosów gazet, odbywając często burzliwe rady i ~~kakigiu~~ dyskusje na płaskim dachu budynku nad pocztą znajdującą się w tym samym miejscu do tej pory. Z tego okresu szczególnie utkwiły mi w pamięci okoliczności druku pierwszych opowiadań Brata na Smolnej. Otóż w zamian za udostępnianie im do czytania pości "serca i szpady" Michała Zevaco zecerzy za darmo po nocach składali nam teksty. Potem czymś takim wyjątkowym były nasze wspólne redakcyjne wyprawy. Pierwszą odbyliśmy do Halina nad Liwcem: zjazd młodych literatów, gdzie wtedy poznałem Andrzeja Bursę. Odtąd stał się nam bardzo bliskim poetą. W następnym roku latem udali

Sartre'a, Faulknera, Hemingwaya, Kafki.

Niewątpliwie wydarzeniem pierwszoplanowym i trudnym do przecenienia w procesie zachodzących przemian w kulturze stało się ukazanie na jesieni 1956 roku dwutygodnika "Współczesność", od którego tytułu potem nazwę przybrała cała generacja twórców. Z początku pismo miało się podobno nazywać "Gong", ale odstąpiono od tego pomysłu. Jego legendarnym założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym był Leszek Szymański - człowiek o wyjątkowej charyzmie i zmysle organizacyjnym, posiadający wyjątkowy dar przekonywania do swoich śmiałych pomysłów na przekór panującej wtedy sytuacji w literaturze kontynuującej wzorce socrealistyczne. To on na pamiętnym wiecu w Sali Kongresowej Pałacu Kultury zaskoczonym Władysławowi Gomułce w obecności Aleksandra Jerzego Wiczerczowskiego i Eugeniusza Kakałca wręczył petycję w sprawie wydawania pisma młodych a tem na jakimś świstku papieru wyraził zgodę. Podczas gdy wówczas powszechnie spodziewano się ^upostania raczej jakiegoś nowego "Po prostu", "Współczesność" zaskoczyła swoją programową literackością, postawieniem na nowatorską rolę sztuki w odkłamywaniu rzeczywistości. Najbliższymi współpracownikami Leszka i podobne pomysłodawcami samego tytułu dwutygodnika zostali Jerzy Siewierski jego przyjaciel i kolega z gimnazjum im. Stefana Batorego/ do tego samego uczęszczał przed wojną Krzysztof Kamiński Baczynski/ oraz Roman Sliwnik - wtedy obok Marka Hłaski najbardziej wybijająca się postać w świecie młodej literatury. Obecnie Leszek Szymański od wielu lat przebywa w Kalifornii, jest cenionym wśród Polonii amerykańskiej prozaikiem, autorem ciekawych książek o Kazimierzu Pułaskim i Tadeuszu Kościuszcze. Wszystkim naszym poczynaniom nieodłącznie towarzyszyli dwaj Hindusi Wergis i Kedar

Zbigniew Irzyk

1

WSPOMNIENIE O " WSPÓŁCZESNOŚCI "

I.
[W czasie Warszawskich Jesieni Poezji często przywoływany postacie Słowackiego, Norwida, Lechońa, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Gajcego, Krystyny Krahelskiej. A z tymi nazwiskami na zawsze związane są najciekawsze karty literackie Stolicy przydające jej wyjątkowego blasku i splendoru.

[Ale istnieje jeszcze historia całkiem żywa, ta zaledwie sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy nad Warszawą rozbiła się prawdziwa "bani z poezją", literatura, promieniująca swoim twórczym oddziaływaniem na całą Polskę. Zwłaszcza na Kraków, Gdańsk, Poznań, Toruń, Łódź. Był to niezwykle czas, gdy spektakle Teatru Osobnego na Tarczyńskiej/wkrótce przeniosą się na plac Dąbrowskiego/czy wieczory poetyckie początkujących i bliżej nieznanym autorów organizowane w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy na Nowym Świecie i na Rynku Starego Miasta w Kamiennych Schodkach czy w Krokodylu, w czasie których recytowali wiersze przyjaciele Danuta Maniewicz oraz świetnie zapowiadający się już wtedy Wojciech Siemion - przyciągały tłumy mieszkańców Warszawy swoją kameralną innością, żarliwą atmosferą sporów literackich. Mam jeszcze żywe w pamięci tamte płonienne, naiwne dyskusje o niezrozumiałości poezji, rozpalone z emocji, przejęte twarze Marii Szypowskiej, Sliwonika, Osniakowskiego, Brychta, Deleckiego, Makomaskiego, Bolka głęboko przekonanych o wyjątkowości swoich wierszy, upominających się o prawo poety do wolności, do jednostkowego szczęścia, do swojej prywatności. Był to czas znakomitych debiutów Hłaski, Białoszewskiego, Herberta, Groche-

Hłaski takie, że on sobie z tego albo nie zdawał sprawy, albo to lekceważył.

Kwiryn Siewierski: W "Saturday Review" była recenzja o "Ósmym dniu tygodnia". Recenzję tę napisał przedwojenny polityk sanacyjny, były minister oświaty, Jędrzejewicz, i tam była polityczna kwalifikacja postawy Hłaski.

Stanisław Grochowiak: To jest nieuczciwy chwyt - wobec kogokolwiek - jeżeli się utożsamia z nim to, co ktoś o nim pisał.

Leszek Szymański: Ale swoją postawą on to akceptuje. Gdyby nie akceptował, to by zareagował na to.

Józef Lenart: Dlaczego pasowano go na jedyne go przywódcę ideowego i artystycznego naszego pokolenia pisarskiego? Dlaczego? Wydaje mi się, że nie miał Hłasko żadnych politycznych ani ekonomicznych podstaw do tego, żeby czuć się zmuszonym prosić o azyl w obcym kraju. Na koniec chciałbym nie zgodzić się z tezą Grochowiaka. Ostatecznie ojczyzną pisarza nie jest jego język, a w każdym razie nie tylko jego język.

Andrzej Chąciński: Mnie się zdaje, że politycy nie powinni się tak liczyć z literaturą.

Stanisław Grochowiak: Interesował mnie fenomen historii wokół Hłaski i rozmawiałem z "wyznawcami" Hłaski z gimnazjum, którzy mnóstwo mówili o książkach Hłaski, w ogóle ich nie czytając. To znaczy Hłasko nie tylko oddziaływał w piśmie, ale nawet legendą, w tradycji przekazywanej. A więc rzeczywiście zjawisko oddziaływania Hłaski stało się jakimś zjawiskiem społecznym i politycznym. I tutaj trudno zarzucać politykom, że się tym zjawiskiem zainteresowali.

Józef Lenart: Człowiek, który ma ambicje wymierzania sprawiedliwości światu, a takim człowiekiem jest pisarz - bez względu na wszystko - ma obowiązek ponosić obiektywną, moralną, polityczną odpowiedzialność za swoje postęпки i słowa.

VERE:

P.T.O.

Powyzszy sad nad Markiem Hlaska, ktoremu pozniej w Los Angeles musialem sie usprawiedliwiac i przepaszac go byl narzucony i prawie wyrezyserowany przez Wydzial Prasowy. Nie mozna bylo odmowic. Byl to najbardziej zawstydzajacy moment w mojej karierze redaktora naczelnego pisma. Krotkiej wspolpracy z Paxem i to nie politycznej nie mozna bylo moralnie porownac do wydzwieku tej "stalinowskiej" rozprawy. Na cale szczescie oskarzony byl poza zasiegiem wladz karnych, zdawalismy sobie z tego sprawe.

Nie mielismy nigdy zadnych obiekcji wobec Marka.

Hlasko wyrosł nad otoczenie i stal sie zjawiskiem literackim, nie tylko dzieki talentowi, ktorego nie umniejszam, ale splotowi okolicznosci personalno politycznych. W naszym stosunku do niego byla tez zazdrosc, uwazalismy sie za nie mniej utalentowanych, ale bez mozliwosci druku. Marek Hlasko wybil sie nad swe pokolenie - "Wspolczesnosci" o wlasnych silach. Nie potrzebowal asysty grupy literackiej.

leszek szymanski

jej barków odpowiedzialności za naród, dobrze tej literaturze przysłuży się?

- Źle się przysłuży, na pewno źle. Istne orgie seksizmu w literaturze negatywnie wpływają na postawy etyczne, zwłaszcza młodego pokolenia, stąd tyle rozwodów, dramatów rodzinnych, brak wzajemnego zrozumienia między ludźmi, brak pokory, dobroci. Wszyscy umierają, a gros ludzi bezmyślnie postępuje, szkodząc innym, opłuwając ich, niszcząc kanony życiowe, których nieprzestrzeganie prowadzi do rozkładu zasad. Literatura współczesna przede wszystkim powinna być moralna, budząca sumienia, lansująca godne postawy życia, wskazująca właściwe wybory.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Stanisław Stanik

Nr 32 (10.08.2003)

<http://www.niniwa2.cba.pl/warszawka-hlaskowspomnienie.html>

W listopadzie 1958 r. w dwutygodniku literackim "Współczesność" ukazał się stenogram z dyskusji przeprowadzonej w redakcji już po przyznaniu pisarzowi Nagrody Literackiej "Kultury" za "Cmentarze". Głosy pełne hysterii mieszały się z powściągliwymi opiniami.

Fragmenty stenogramu:

Leszek Szymański: Hłasko popełnił jednoznaczny akt polityczny, nasze ustosunkowanie się do tego rodzaju aktu politycznego powinno być też jednoznaczne.

Kwiryn Siewierski: Hłasko przez swoją decyzję przekreślił swoje pisarstwo. Nie wierzę, żeby w oderwaniu od realiów, którymi żył, mógł teraz tworzyć.

Leszek Szymański: On jako pisarz może egzystować, może być nawet lepszym pisarzem, może znaleźć lepszą otoczkę. Wielu pisarzy znajdowało swoją tematykę za granicą.

Andrzej Chąciński: Nie uważam Hłaski za jednego z naszego pokolenia. Dlaczego? Hłasko dla mnie jest wydarzeniem raczej politycznym niż literackim.

Stanisław Grochowiak: Czy istnieje teoretyczna zasada, że kiedy pisarz z jakichś względów wybiera sobie inne miejsce zamieszkania (trudno, aby pisarz wybrał sobie inną ojczyznę, bo jego ojczyzną zawsze będzie język) - czy wówczas popełnia jakiś błąd moralny? Dzisiaj pisarz, który wyobcowuje się sam z jakiegoś kręgu politycznego, nie zyskuje wolności chociażby dlatego, że sam fakt wyobcowania zostaje przechwycony przez drugą stronę, zostaje wykorzystany przez różnych hochsztaplerów politycznych, i pisarz staje się narzędziem spekulacji politycznej, czyli staje się nie odmiotem, lecz przedmiotem określonego działania. Ja mam pretensje głównie do

Uprawia pan niemal wszystkie gatunki literackie. Co chce pan wyrazić w każdym z nich osobno, co razem?

- Równocześnie z poezją uprawiałem nowelistykę (przykładem są opowiadania "Lustro" i "Życia i śmierci zegary"), jak również napisałem powieść "Ja, syn bandyty (z AK)", którą w PRL-u bano się wydać, a fragmenty jej drukowałem w "Życiu Literackim", w tygodnikach i prasie codziennej. Teraz ta książka znajduje się w wydawnictwie pod zmienionym tytułem "Czerwona konkwista" i pod nim ma się ukazać. Napisałem trzy dramaty: "Krwawnik polski", "Śmigły" i "Wernyhora". Dramat "Śmigły" wyszedł w książce i złożyłem go w Teatrze Narodowym, jak również "Wernyhore" (w maszynopisie). Otrzymałem list od dyrektora Teatru Narodowego z chęcią witającego moją współpracę z teatrem. Dramaty moje są historyczno-wizyjne, oparte na kanwie naszych dziejów, a właściwie tragedii, lecz również tchną perspektywicznym optymizmem. Słowem, przyświeca mi zasada "Nullum violencium perfectum" (gwałt nie może trwać wiecznie). Wreszcie dodam, że w druku znajduje się moja książka pt. "Śmiech Wernyhory. Szkice historyczne i polemiki". Jest to eseistyka i publicystyka historyczna.

Odnótował pan wiele publikacji za granicą. Wysoko ocenili pana twórczość Pierre Guidi i Suzane Arlet w "Action poetique", redaktor Grydzewski wydrukował panu wiersze, co wiadomo, a w listach do pana uznał je za wybitne. Podobnie wyrażali się o pana poezji Jerzy Giedroyc, prof. Lech Ordon z USA (tłumacz pana wierszy na angielski) czy Maksym Rylskij (tłumacz pana wierszy na rosyjski i ukraiński). Czemu pan zawdzięcza tak znaczne sukcesy zagraniczne?

- Chodziłem na wszystkie spotkania z pisarzami zagranicznymi, miałem bliskie kontakty z ataszami kulturalnymi ambasad, którzy mnie promowali i dawali mi czasopisma, w tym "Kulturę" paryską. Nade wszystko organizowałem i prowadziłem wieczory autorskie w Warszawie i w różnych ośrodkach w kraju, co po październiku 56 roku było przy licznej frekwencji czytelników wydarzeniami. W ten sposób poznałem m.in. poetę z USA Simensa, Bolesława Taborskiego z BBC czy tłumaczy literatury polskiej na kongresach translatorskich. Krytycy i tłumacze przede wszystkim podkreślali łatwość mojego obrazowania, a zarazem operowania tzw. poezją pojęciową, filozoficzną. Zawsze byłem zafascynowany darem ludzkiej egzystencji, cudem istnienia człowieka, jego możliwościami pięknego życia i działania. Mimo częstej podłości ludzkiej, optymizm co do radości życia zawsze mnie uskrzydlał, a stąd moja wiara w ludzi granicząca z naiwnością. Charakterystyczny dla mnie jest mistycyzm, a nawet pewna megalomania indywidualna i narodowa, bo przecież mimo błędów, mamy się czym chlubić, bo nawet byliśmy natchnieniem świata, jak określił to Roosevelt. Uważam, że takim narodem nadal jesteśmy, gdyż Polska jest najbardziej moralna w Europie.

Jak pan widzi trend czy raczej kierunek zmian w literaturze? Czy aprobeuje je pan? Co chwali a co gani?

- W najnowszej literaturze zachwycają mnie niekiedy wątki narodowe i patriotyczne, zwłaszcza w literaturze faktu, a irytuje nadmiar patologii, zboczeń, seksu, czy wręcz płytkości przedstawiania życia. Irytują mnie obok dobrych, złe wzory Zachodu, epatujące na przykład brutalizmem, chamstwem, konsumpcjonizmem, niemoralnością.

Czy nie sądzi pan, na swoim choćby przykładzie, że odpolitycznienie literatury, zdjęcie z

Pierwszą książkę, tomik wierszy "Dalekie drzewo", wydał pan dopiero w 1975 roku, mając już na swoim koncie tłumaczenia na języki obce. Popularny w swoim czasie recenzent Andrzej Chudzik wyraził się w "Literaturze", że "tomik Czajkowskiego trudno uznać nawet za spóźniony debiut - trzeba go raczej traktować jako wybór wierszy z lat 1957-1975". Jeśli to wybór, to czym wiąże się w całość, jakie ma wspólne przesłanie?

- Prawdziwy mój debiut odbył się 29 kwietnia 1958 roku w "Wiadomościach" w Londynie, dziewięcioma wierszami na pierwszej stronie, które zostały przetłumaczone na angielski i w tym języku publikowane. I tu zaczęło się moje nieszczęście. Wydano zakaz druku dla mnie w kraju i wyrzucono mnie z redakcji. Nie mogłem nigdzie znaleźć pracy. Umowa na tomik zawarta ze mną przez "Iskry" została karnie zerwana już w 1958 roku, a druga zerwana na tomik w wydawnictwie "Ruch". Stąd taki mój późny debiut książkowy w kraju. A wydany debiut to inspiracja naszą wielką, dramatyczną historią, egzystencją ludzką, klęskami II wojny światowej, Powstaniem Warszawskim, tragedią generała Sikorskiego i AK-owców. Najlepszym wierszem tego tomu jest wiersz "Nemezis, czyli bogini zemsty". Wierzyłem, że Nemezis pomści zbrodnie sąsiadów na Polakach i że Polska odzyska kiedyś niezawisłość. Elementami tomiku były także liryka miłosna i marzenia licealisty o pięknym życiu, które już wtedy zaczęło przeradzać się w dramat, i zawodowy, i zdrowotny.

Posypały się z czasem nowe tomiki pana poezji: "Zadymione pejzaże", "Pasje i pasjanse", "Śmiech Pompei", "Wilczy las", "Cienie Gibraltaru", "Wiersze wigilijne". Krytyka uznaje, że tworzywem poetyckim dla pana jest krajobraz i wyłaniający się z niego, jak i z tradycji historycznej, człowiek. Co się, pana zdaniem, pod tym sformułowaniem kryje?

- Na moje pytanie, czemu ludzie są dla siebie bezwzględni, Putrament odpowiedział: "Bo są głupi". Traktowałem pisanie jako posłannictwo, budzenie sumień, oczyszczanie się ludzi ze zła. Już u początków twórczości dziwiłem się niemoralności niektórych znanych mi ludzi, jacy krzywdzili innych, rozbijali małżeństwa, a nade wszystko prześladowali rodziny niepodległościowców. Stąd mój permanentny niepokój w wierszach i pytanie: dokąd idziemy?

Uważa się, że podkreśla pan w swojej twórczości znaczenie korzeni rodzinnych, narodowych, i że jest pan głęboko zaangażowany patriotycznie w sprawy polskie. I to zarówno w poezji, jak i w prozie, jak wreszcie i w dramacie. Podkreśla się gruntowną znajomość przez pana historii, pokorę wobec faktów, a równocześnie odrzucanie mitów. Czy nie jest to postawa destrukcyjna, niszcząca potrzebę idealizowania rzeczywistości?

- Ja mitów narodowych nie odrzucam. Przypisał mi to jeden z krytyków, ale chyba mnie tu nie zrozumiał. Zawsze miałem nie tylko sympatię, ale wręcz kult ruchów narodowych różnych nacji, a zwłaszcza Polski. Już jako licealista zaczytywałem się w książkach naszych wybitnych myślicieli narodowych jak Piłsudski, Dmowski, czy nasi romantycy, a nawet pozytywści. Tych ostatnich program minimalistyczny mi nie odpowiadał, ale w czasie zaborów właściwie nie miał alternatywy. Przy oszukaństwie i obłudzie Zachodu, który nas ciągle "podpuszczał" do walki, na powstania, nie mieliśmy szans na zwycięstwo. Mój ojciec będąc romantykiem, działał także jako pozytywista, m.in. walcząc o szkołę polską, o oświatę ludu w czasie zaborów, za co otrzymał nawet krzyż zasługi. Wyrastałem na tradycjach patriotycznych w rodzinie walczącej.

Napisał pan wiele ważnych szkiców z dziejów Polski, między innymi "Kilka prawd o generale Sadyku Paszy". Czy zajmując się tą postacią kierował się pobudkami ściśle historycznymi, czy może także osobistymi? Jak wiadomo, Sadyk Pasza to pseudonim polskiego renegata, znakomitego beletrysty, Michała Czajkowskiego. Jest on tylko pana imiennikiem czy i przodkiem w linii męskiej?

- Dobrze, że pan zadał tego typu pytanie, bowiem istnieje w Polsce wiele nieporozumień dotyczących tej historycznej postaci. Jeździłem śladami Sadyka Paszy na Bałkany, do Bułgarii i Rumunii, badałem archiwa Ludwika Śniadeckiej i jej męża a mojego imiennika, Michała Czajkowskiego, które znajdują się w Rumuńskiej Akademii Nauk w Bukareszcie. Pracując w różnych zawodach, pracowałem również jako starszy archiwista w Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych. Ustaliłem w kwerendach, w badaniach i rozmowach z historykami, że Piotr Czajkowski, mój przodek, i Michał Czajkowski wywodzili się z jednego pnia genealogicznego. Przeczytałem wszystkie książki Ludwika Śniadeckiej, Sadyka Paszy, jak też wszystkie książki o niej i o nim. Muszę dać sprostowanie historyczne: Michał Czajkowski nie był żadnym renegatem. To pomówienie rzucane dlatego, że przyjął islam. I tylko dlatego.

Przesunę uwagę na pańską osobę. Stwierdził pan gdzieś, że po październiku 1956 roku, zachęcony opinią Mieczysława Grydzewskiego (Londyn), stał się pan animatorem ruchu twórców polskich. Co oznacza to wyrażenie: animatorów? Był pan podobno współzałożycielem grupy twórców "Współczesność"? Z kim pan zakładał grupę (i jej pismo), jak długo był z nią związany, jak ocenia pan jej znaczenie dla kultury polskiej?

- Będąc jeszcze licealistą, kupiłem w kiosku pierwszy numer "Współczesności", dwutygodnika literackiego. Przeczytałem w nim apel o zgłaszanie się młodych twórców do współpracy. Zgłosiłem się do redaktora naczelnego Leszka Szymańskiego. Powiedział: "Jerzy, wokół dwutygodnika organizujemy grupę literacką pod taką samą nazwą. Co piszesz?". Odparłem: "Wiersze, nowelki, artykuły, recenzje. Drukowałem już tego sporo w prasie wiejskiej, codziennej jak "Express Wieczorny", "Chłopska Droga", "Wieś". Leszek powiedział: "Przyjmuję cię na członka grupy i redakcji, ale robimy bokami, bo to gazeta prywatna, sami ją sprzedajemy na ulicach, będziesz także sprzedawał. Honorariów nie płacimy, bo nie mamy na to". Po kilku miesiącach wydawania "Współczesności" Marian Ośniński powiedział mi: "Współczesności" grozi plajta. Nie ma za co jej wydawać". Z ulicy zadzwoniłem do szefa biura prasy KC PZPR, Artura Starewicza, żeby pomógł. Odmówił. Wydawanie "Współczesności" przejął Pax, do którego zwróciłem się o to. I dzięki Paxowi "Współczesność" w ogóle przetrwała. Później Starewicz zarządził, że "Współczesność" będzie wydawało Biuro Wydawniczo-Propagandowe "Ruch". I tak się stało. Lecz tu moje i nasze, członków grupy, nieszczęście: Starewicz nastął na szefów redakcji dwóch aparatczyków, którzy rozgonili nas wszystkich z redakcji i zniszczyli cały ruch młodych twórców w kraju. A był to rok 1969. Co nowego ten ruch wniósł? Po nocy stalinizmu, po socrealizmie, zaczęto uprawiać twórczość o życiu codziennym, obyczajowym, także i o filozofii bytu człowieka. W poezji na przykład dominowała liryka, zachwyt przyrodą, ludzką egzystencją, darem istnienia. Niektórzy starzy i młodzi pisarze przechodzili wtedy tak zwany mały realizm, lecz było to zjawisko niezupełnie negatywne. W swej złożoności ruch objął swoim zasięgiem ośrodki studenckie i licealne niemal całego kraju. Organizowaliśmy zjazd młodych twórców, kluby "Współczesności", galerie, teatrzyki. Sumując, jego znaczenie kulturotwórcze było ogromne. Ruch ten ogarnął nie tylko młodych literatów, lecz i plastyków, kompozytorów i działaczy kultury.

Literackiego” – jeszcze późniejszy naczelny – **Bohdan Drozdowski**. Zatem początek istnienia nowego tytułu, bardzo ambitnego w swoich założeniach, był wyraźnym zwiastunem przemian w kulturze polskiej, stanowczo i korzystnie odbijał się monometody – socrealistycznego schematyzmu.

Wystąpienie nowej generacji literackiej nie było zjawiskiem odosobnionym; towarzyszył mu cały ruch kulturowy, o czym na ogół mało mówi się. Został on niby dobrze rozpoznany, opisany i przybliżony (w różnego rodzaju przekazach), ale z pewnością zawiera także i „białe plamy”, domagające się ujawnienia. O życiu sztuki w tym okresie, towarzyszącym wystąpieniom pokoleniowym, ma dużo do powiedzenia jeden ze współtwórców Grupy Literackiej „Współczesność”, a zarazem poeta, krytyk literacki i publicysta, Jerzy Czajkowski. Wiedząc, że pojawią się jakieś nowe informacje, padną nowe akcenty, warto odwołać się do wiedzy tego twórcy.

Furorę wywołał apel do młodych twórców w Polsce, drukowany w jednym z pierwszych numerów pisma, aby przysyłali swoje utwory i organizowali kluby „Współczesność”. W rezultacie zawiązało się kilkanaście grup literackich, we wszystkich miastach wojewódzkich, poza tym na uczelniach. Młodzi literaci w Warszawie studiowali, pracowali, a pracować musieli, bo w redakcji etatów nie było. Składali się na opłacanie drukarni na każdorazową edycję pisma i sami sprzedawali je na ulicach stolicy. Za – zdarzało się – przesłuchiwało ich MSW i za to „przepędzała” milicja. Ktoś „załatwił” młodym ludziom „nyskę” z tubą, przez którą – jeżdżąc – nawoływali do kupowania numeru na dziedzińcach UW, Politechniki, SGGW, SGPiS. Szefem propagandy i łączności z twórcami był w grupie właśnie Jerzy Czajkowski. Do jego kompetencji należał również druk w piśmie kolumn młodych twórców z poszczególnych województw.

Szybko z działań pozaliterackich zdobyły sobie renomę debiutanckie wieczory autorskie w kawiarni „Kamienne schodki” w Warszawie. Po anonsach w prasie i zaproszeniach słanych do radców kultury ambasad szybko stały się one atrakcją stolicy. Odbywały się regularnie co dwa tygodnie. Błysnęło na nich wiele aktorek i aktorów, a najbardziej **Wojciech Siemion**. W inne dziedzinie na wyróżnienie zasługuje zespół baletowy **Krystyny Mazur** pt. „Arabeska”, który propagował taniec nowoczesny. Z wieczorami autorskimi jeżdżono po całej Polsce, odwiedzając hale fabryczne, przyzakładowe domy kultury, kluby prasy, biblioteki, w tym wiejskie placówki.

Stanisław Stanik

CDN

Nr 42-43 (16-23.10.2005)

<http://www.myslpolska.icenter.pl/index.php?menu=kultura&nr=2003080520587>

Nie odrzucam narodowych mitów - rozmowa z Jerzym Stanisławem Czajkowskim, literatem

jednodniówki.

Jego ukazanie się było – można tak nazwać – poniekąd społeczną akcją warszawskich drukarzy (jeśli nie liczyć małych upominków i drobnych sum nieoficjalnie wręczanych przez Szymańskiego), którzy przygotowywali kolumny i drukowali pismo już po godzinach pracy etatowej. W styczniu 1957 roku Szymański uzyskał (w sposób dość nieoczekiwany, bo docierając do samego **Władysława Gomułki**) zgodę na oficjalne wydawanie dwutygodnika, ale koszty za kumulujące się wydatki uregulował Pax dopiero w końcu 1957. Numer drugi pisma zamieszczał program – można tak nazwać – pokoleniowy pt. „Zamiast manifestu”. Szczególnie godny uwagi jest taki jego fragment: „Jesteśmy grupą młodych pisarzy, których złączyła troska o dalszy rozwój naszej socjalistycznej kultury i wspólne poglądy na rolę sztuki w naszym społeczeństwie. Chcemy mieć możliwość wypowiadania się o interesujących nas sprawach. Chcemy, by nasza sztuka pomogła w budowie socjalizmu, odzwierciedlając wszystkie problemy polityczne i moralne nurtujące nasze społeczeństwo”.

Za hasłami troski o socjalizm kryła się chęć odzwierciedlenia w sztuce życia we wszystkich jego przejawach, a więc nie tylko występujących na płaszczyźnie realizmu, co w gruncie rzeczy było podważeniem doktryny sztuki socjalistycznej. To ciekawe, że w kilkanaście lat później powstaną znowu programy domagające się literatury przedstawiającej całą rzeczywistość, także duchową, a z tym hasłem wystąpili liderzy nowej fali. O ile jednak „Współczesność”, cofając się co prawda w swej kategoryczności, do dzisiaj ma wielki wpływ na kształt kultury, o tyle nowa fala została niejako rozbita. Tymczasem warto zwrócić uwagę na dalsze hasła z programu pokolenia `56: „W dziedzinie kultury zwalczać będziemy wszelki akademizm krępujący rozwój nowoczesnej kultury i sztuki. Chcemy pisać żywym, nowoczesnym językiem. (...) Będziemy udostępniać łamy naszego pisma ludziom o różnych założeniach światopoglądowych i artystycznych. (...) Będziemy pisać o plastyce, filmie i teatrze. Dużo miejsca zajmie w naszym piśmie eseistyka, krytyka i teoria sztuki. Zasadniczo jednak „Współczesność” zachowa charakter pisma literackiego, trybuny młodych twórców. Ambicją naszą jest i pozostanie poszukiwanie ciekawych debiutów z terenu całej Polski”. Charakter programowy miał też wydrukowany wcześniej – w pierwszym numerze pisma wiersz Romana Śliwonika „My”, kończący się słowami: „oto wiosna zieloną kredką/ rysuje radość drzew i kwiatów/ w jej słońcu/ jak w pieśni/ odnajdziemy swoje twarze/ odnajdziemy radość rąk/ zanim zaczniemy budować/ nowe stopnie lat”. Oprócz wybuchu optymizmu, niewiele jednak ten wiersz przekazywał.

Do ciekawszych materiałów z tego numeru – inicjalnego – oprócz wiersza Śliwonika, można zaliczyć opowiadania **Magdy Lei** i **Eugeniusza Kabatca**, krytykę literacką Leszka Szymańskiego i **Andrzeja Dobosza** o prozie obcej, przede wszystkim zaś szkic Jana Wyki „Uwagi o najmłodszej poezji”, w którym autor porządkuje zjawiska nowe w sztuce poetyckiej. O istocie przemian, ku którym dryfowała literatura, o jej choćby tendencji reporterskiej, ale także kształcie artystycznym, najtrafniej wyraził się **Ludwik Flaszen**: „Pisarz, kłęczący niegdyś gładkie rymy „ku czci” dopominać się zaczął [od 1956 roku] o prawo do oświeconego rozumu. Dziennikarz, który przeprowadzał dziarskie wywiady z przodownikami, zobaczył nędzę dnia a brezentowym płaszczyku z Pedetu”.

Głównymi reprezentantami nowej sztuki – prozy i reportażu byli **Roman Śliwonik**, **Andrzej Brycht**, **Marek Nowakowski**. O problematyce marginesu społecznego pisali **Jan Z. Słowkowski**, **Tadeusz Grzeszczyk**. Ale i inne dziedziny życia i twórczości gościły na łamach pisma. Novum formy i treści zostało zauważone: na łamach „Za i Przeciw” zarodek nowej literatury witał późniejszy redaktor „Współczesności”, **Stanisław Grochowiak**, a na łamach „Życia

Brycht został jednym z redaktorów pisma. Pracował w nim od lipca do listopada 1958 roku. Stracił pracę w redakcji, kiedy trafił do więzienia, skazany za pobicie mężczyzny na swoim wieczorze autorskim. Na wieczorze tym pijany mężczyzna obraził znajomą Brychta. Z więzienia wyszedł po siedmiu tygodniach, w wyniku interwencji Jerzego Putramenta, opiekującego się w tym okresie młodymi pisarzami.

Oprócz opowiadań Brycht w tym okresie drukował we "Współczesności" również reportaże. Jednym z nich był, zamieszczony w lecie 1958 roku, reportaż ze środowiska "marginesu społecznego" Łodzi pt. "Piotrkowska". Wzbudził on duże zainteresowanie czytelników nie tylko swą autentycznością, ale również tym, że osoby i fakty, które Brycht przedstawił w tekście, w większym niż zwykle stosowanym stopniu mogły być tworem wyobraźni autora. Stosunek Brychta do spraw tego rodzaju cechowała beztroška. Umieszczanie zmyślonych osób w reportażach, a prawdziwych w opowiadaniach i przedstawianie w sposób wygodny dla siebie zaistniałych faktów z biegiem lat stało się "metodą pisarską" tego autora, narażającą go na poważne konsekwencje. Do sprawy tej jeszcze wrócimy.

/.../

Niniejszy

Pięknik do celów kulturalno-literackich

<http://www.myslpolska.icenter.pl/index.php?menu=kultura&nr=2005101616228>

„Współczesność” ma 50 lat

Stanisław Stanik

Zanim posypią się wspomnienia i obrachunki jubileuszowe, czczące 50-lecie powstania grupy literackiej „Współczesność”, przekazującej swą nazwę pismu wkrótce wydawanemu i czczące narodziny wielkiego ruchu kulturalnego całego pokolenia, wstępującego w życie publiczne w roku 1956, już dziś można się pokusić o materiał okolicznościowy na ten temat. Z podstawę do wysnucia niniejszej historii posłużą: wiadomości rozsypane w pracy Macieja Chrzanowskiego „Oblicza Współczesności”, i subiektywne wspomnienia jednego z założycieli ruchu, **Jerzego Czajkowskiego**, pozwalające ujrzeć to pokolenie od strony subiektywnej, od uczestnika działań, a może powierzchownej jako obserwatora.

Początki były niecodzienne. Pierwszy numer pisma ukazał się w listopadzie 1956 roku, po pamiętnych manifestacjach robotniczych w październiku, ale jeszcze zanim się ukazał, istniała już Grupa Literacka „Współczesność”, utworzona z niektórych, żadnych druków, uczestników prac Koła Młodych przy warszawskim oddziale ZLP. Wchodzili w jej skład: **Leszek Szymański** (inspirator całych poczynąń), **Roman Śliwonik**, **Jerzy Siewierski**, **Andrzej Chąciński**, **Jerzy Bolek**, **Marian Ośniałowski**, **Jerzy Czajkowski**. Byli oni w Kole traktowani pobłaźliwie, jako raczej autsajderzy, walczący o łamy dla swojej niezbyt jeszcze dojrzałej poezji. Zaczęło się od pomysłu, by założyć zakon upowszechniający sztukę. Zwyciężył inny pomysł, Szymańskiego, by redagować i wydawać dwutygodnik literacki „Współczesność”. Nie było za co, lecz młodzież złożyła się na wódkę (taki prozaiczne są niekiedy kulisy ważnych wydarzeń!) i drukarz **Andrzej Korczak** odbił za nią pierwszy numer pisma z datą 1 października 1956 (wydany wszak w listopadzie). Na razie pismo funkcjonowało na prawach

ale i mocno podkopała jego własną pozycję.

W swoich wypowiedziach publicystycznych Grochowiak był przez ludzi związanych z partią traktowany jako ktoś, kto przyszedł z obcego dla nich środowiska. W artykułach jego autorstwa brakowało zwrotów, używanych powszechnie przez publicystów partyjnych. Poza tym w chwili, kiedy odchodził z PAX-u, miał już opinię pisarza katolickiego. Zawdzięczał ją wydanej w PAX-ie powieści pt. "Plebania z magnoliami"...

Praca w redakcji po objęciu kierownictwa przez Stanisława Grochowiaka układała się dobrze. Raz na dwa tygodnie odbywało się zebranie członków zespołu, na którym omawiano wydany wcześniej numer i w ogólnych zarysach ustalano, co będzie w następnym. Niżej podpisanemu trochę przeszkadzała skłonność Grochowiaka do alkoholu, która sprawiała, że nie zawsze rano był zdolny do pracy. Jeśli był bardzo potrzebny w redakcji, sekretarz redakcji jechał do jego domu samochodem wydawnictwa i po dłuższym budzeniu zabierał go do biura. W pracy Grochowiak prawie nigdy nie pił. Jeżeli wychodził z kolegami np. do restauracji, to już tego dnia do biura nie wracał.

Grono współpracowników pisma stale się powiększało. Kilka reportaży i opowiadań wydrukował już wcześniej zauważony przez czytelników i krytyków pisarz Janusz Krasieński (nr 31/21 opowiadanie pt. "Kordonek", nr 3/34 reportaż "Przerwany rejs białej Marianny", nr 17/49 - fragment powieści "Haracz szarego dnia").

W nr. 3/34 pisma opowiadanie pt. "Wesele w Harkabuzie" opublikował Bogdan Wojdowski. W następnym numerze pojawiło się opowiadanie Włodzimierza Odojewskiego pt. "Luminal".

W tych samych numerach czytelnicy mogli znaleźć opowiadanie Jana Himilbsbacha "Pogrzeb" i Marka Nowakowskiego "Chłop, który zmałował". W tym samym roku ukazały się opowiadania: Henryka Grynberga pt. "Ekipa Antygona" i Kazimierza Orłosa pt. "Gruby".

Krytykę literacką poza już wcześniej często publikującym Janem Zbigniewem Słowajskim reprezentowali: Konrad Eberhardt, Andrzej Dołęgowski, Mieczysław Sroka (art. o Stanisławie Brzozowskim) i Zbigniew Pędziński. Nazwiska te, a także kilkanaście nazwisk publicystów i stała obecność w numerach wierszy znanych poetów, świadczą, że do "Współczesności" przyznawali się prawie wszyscy młodzi twórcy, publikujący w tym okresie.

Osobne miejsce w dziale publicystyki i reportażu zajęły, publikowane na pierwszej stronie pisma artykuły: Bohdana Drozdowskiego "Nasi londyńscy rówieśnicy" (nr 7/39 - o grupie Merkuriusza), Stanisława Brejdyganta "Młoda Moskwa" (nr 15/46 o teatrze "Sowremiennik") czy wywiad z Jerzym Broszkiewiczem na temat zjazdu pisarzy radzieckich.

Podsumowanie kilkumiesięcznej zawartości pisma nie jest możliwe bez stosowania dużych skrótów. Chciałbym jednak dodać jeszcze parę słów informacji o innych autorach. Należał do nich Ireneusz Iredyński z fragmentem prozy pt. "Mrowisko wieczorne", Wojciech Bieńko z opowiadaniem pt. "Miejsce trupiej głowy" czy Tadeusz Strumff z fragmentem reportażu pt. "Uo-aj-ni".

"Współczesność" stała się w tym okresie pismem ciekawym i znaczącym. Wspólne podejmowanie przez zespół jakichś tematów, jak np. dyskusji o polonistyce czy "temacie społecznym w literaturze", świadczyło, że zespół był zdolny mobilizować się do wykonywania określonych zadań. Czy ten wzrost znaczenia pisma i coraz większe zgranie się osób, wchodzących w skład zespołu nie przyczyniły się do zmian, jakie parę miesięcy później zostały wprowadzone we "Współczesność"? Moim zdaniem, zachowując wszelkie proporcje, można by zaryzykować twierdzenie, że obserwującym tę działalność działaczom KC PZPR "Współczesność" mogła nasuwać myśl o sprawie "Po prostu". A także, być może, brano pod uwagę fakt, że Szymański przy końcu 1959 roku drukował już artykuły na łamach paryskiej "Kultury".

Znów normalizacja

O tym, że gdzieś "na górze" nie zaprzestano myśleć o zmianach, świadczyło mianowanie w lipcu 1959 roku Grochowiaka naczelnym redaktorem i dokooptowanie na stanowisko zastępcy naczelnego Bohdana Drozdowskiego. O tym, że sprawy personalne nie są do końca załatwione, świadczył jednak fakt, że były "zastępca redaktora naczelnego" Józef Lenart, pomimo iż był skreślony z listy członków zespołu i nie pisał do "Współczesności", dalej pobierał pensję z kasy wydawnictwa. Pod koniec roku 1959, gdzieś z dala od biura redakcji i biura wydawnictwa, toczyły się rozmowy na temat dalszych losów "Współczesności". Wydaje się, że coś na ten temat wiedział Drozdowski. Przychodził do biura zdenerwowany i zachowywał się tak, jakby miał już objąć kierownictwo pisma. Pewnego razu powiedział do niżej podpisanego: "Ja nie dam się wam tak wygryźć jak Lenart!". Świadczyło to, że spodziewał się objąć stanowisko naczelnego redaktora po Stanisławie Grochowiaku.

W styczniu 1960 roku jedenaście osób z redakcji otrzymało wypowiedzenia z pracy. Odbyło się to bez uprzedzenia czy postawienia jakichkolwiek zarzutów. Z dawnego składu redakcji pozostali tylko w zespole: Bohdan Drozdowski (zast. nacz. red.), Stanisław Grochowiak (zast. red. nacz.), Mirosław Malcharek, Tadeusz Strumff (sekr. red.) i Władysław Lech Terlecki. Niżej podpisanemu udało się dostać pracę w innej redakcji. Zawdzięczał to dobrym stosunkom z dyrektorem wydawnictwa. Innym członkom zespołu żadnych nowych zajęć nie zaproponowano.

Następnym naczelnym redaktorem "Współczesności" został Witold Dąbrowski, poeta, współpracujący blisko z STS-em. Lenart został naczelnym redaktorem dopiero w 1966 roku. W 1971 roku "Współczesność" zlikwidowano.

<http://www.niniwa2.cba.pl/brycht.htm>

/.../

Młody zdolny

W 1957 roku do grupy osób publikujących w wychodzącym jeszcze nieregularnie piśmie "Współczesność" dołączył Andrzej Brycht, wcześniej zamieszczający utwory prozą i wiersze w PAX-owskich "Kierunkach". Otrzymywał stamtąd również stałe, skromne wynagrodzenie, wypłacane w formie miesięcznego "ryczałtu". Póki publikował w "Kierunkach", był w środowisku literackim Warszawy osobą nieznaną. Koledzy, z którymi w ciągu kilku miesięcy zaprzyjaźnił się we "Współczesności", wiedzieli o Brychcie, że miał za sobą bliżej nieokreśloną sprawę kryminalną i służbę wojskową, którą odbył jako górnik w Wojskowym Korpusie Górniczym. O tym, jak przebiegała jego służba - nie wiedzieli, poza tym, że zakończył ją jako pacjent zakładu psychiatrycznego w Lublińcu, dokąd został skierowany przez władze wojskowe.

Do redakcji "Współczesności" przyniósł wiersze o pracy w kopalni. Zostały jednak zdjęte przez cenzurę i redakcja zdecydowała się zastąpić je innymi. Kiedy wiersze Brychta się ukazały, wywołały szereg komentarzy w innych pismach, wytykających autorowi używanie słów, których "w wierszach się nie używa". Większe zainteresowanie krytyków i czytelników wzbudziły jego wydrukowane w następnych numerach "Współczesności" opowiadania: "Balbina", "Cygan", "Dom bez klamek", "Suche trawy"... Utworami tymi zainteresowali się krytycy o znanych nazwiskach: Ryszard Matuszewski, Andrzej Kijowski i Artur Sandauer. W połowie 1958 roku, kiedy patronat nad "Współczesnością" objęło wydawnictwo "Ruch",

Młodzi i dojrzałi

Wywiad ten i wcześniejsze publikacje Stanisława Rembeka na łamach "Współczesności" świadczą, że fascynację dobrym pisarstwem i osobiste przyjaźnie ciągle jeszcze znaczyły dla redaktorów więcej niż partyjne oceny. Z Rembkiem przyjaźnił się zarówno pierwszy redaktor pisma - Leszek Szymański, jak i drugi "naczelny" - Stanisław Grochowiak.

Pod określanym jako "czasowe" kierownictwem Grochowiaka "Współczesność" stała się pismem poważniejszym lub "bardziej dojrzałym", by użyć określenia używanego przez jej krytyków. Przybyło w nim felietonów, z których jako jeden z ciekawszych należy wymienić artykuły "Chochola". Publikujący pod tym pseudonimem A. J. Wieczorkowski pisał m.in.: "Podział na literaturę młodą i starą jest nieco denerwujący, ale niestety zakorzenił się już w umysłach (...) młodych, w okresie szkółek niedzielnych, jakimi były tzw. Koła Młodych. Stare byki, żonaty, dziecięte udawały żółtodziobów, aby nikt ich broń Boże nie traktował na serio i nie odebrał młodzieżowego stypendium".

Abstrahując od faktu, że założyciele "Współczesności" w czasach "Koła Młodych" nie byli "starymi bykami, żonatymi i dzieciętymi", to treść felietonu świadczyła o dystansie, jaki dzielił obecny zespół twórców pisma od spraw, którymi żyli jego założyciele. W ciągu dwóch lat "Współczesność" stała się pismem zatrudniającym sprawnych ludzi pióra, porządnie redagowanym i poruszającym problemy nie tylko "młodej literatury".

O tym, że do kierownictwa pisma dochodziły jakieś sygnały "zza sceny", świadczył artykuł Stanisława Grochowiaka pt. "Karabela zostanie na strychu", zamieszczony w n-rze 4/35 z 16.02.1959 r. Artykuł miał być zaproszeniem do dyskusji na temat pokolenia pisarzy, współpracujących ze "Współczesnością" czy nawet pokolenia "w ogóle".

Nie tylko tytuł tekstu, ale także kilka jego sformułowań wzbudziło protesty wśród członków zespołu i współpracowników pisma. Oto parę cytatów z tego artykułu: "Istniał u nas w świadomości starszych bardzo konkretny polski wzorzec młodości. Wzorzec młodości powstańczej, konspiracyjnej i ułańskiej. Wzorzec młodości egzaltowanej. Zgodnie z dalekim echem 'Ody do młodości' młody człowiek winien myśleć przede wszystkim sercem, by mógł zostać spożytkowany jako 'kamienie na szaniec'. Często dochodziło do tego, że szaniec raptownie się zmieniał, a kamienie pozostawały te same". I dalej czytamy: "zapal i entuzjazm to duża rzecz, ale sam zapal i sam entuzjazm to rzecz ryzykowna. Rozumiem jednak, że w pewnych sytuacjach historycznych, zwłaszcza w sytuacji historycznej polskiego partykularza, taka postawa może mieć swoje dobre strony".

Artykuł wywołał serię protestów. Grochowiak chciał powiedzieć, że pokolenie urodzone w latach 1930–35 nie jest skłonne do wywoływania powstań czy nawet ogłaszania gwałtownych protestów. Wypowiedzi innych osób z redakcji były celowo mętne, ale też negatywne. W artykule pt. "Sztuka wyboru", piszący często dla "Współczesności" autorzy: Jerzy Czajkowski, Bronisław Gołębiowski, Eugeniusz Kabatc, Aleksander Minkowski i Jerzy Siewierski stwierdzili: "Wolno Grochowiakowi myśleć tak jak myśli, gdyż w jego myśleniu zdaniem naszym, błędu zasadniczego nie ma. Ale wolno nam też zakwestionować szerokość tego myślenia, wolno nam uznać, że jest to myślenie bierność, uległość wobec zastanej rzeczywistości (...). Nasze ambicje są nieco większe (...). Jest w nich cholerna ciekawość, co to jest ta wielka budowa, skąd się biorą niemałe przecieży wyrzeczenia narodu (...). A więc literatura zaangażowana społecznie? Owszem, taka jest najogólniejsza, stereotypowa charakterystyka tej tendencji". Po opublikowaniu tego artykułu, pracujący dotąd w redakcji Jerzy Czajkowski i Jerzy Siewierski odeszli z grupy, wydającej "Współczesność".

Wokół artykułu wybuchła bitwa publicystyczna, w której bronią były aluzje do przekonania politycznych uczestników i w pierwszym rzędzie pisarza, który ten spór wywołał. Dyskusja nie tylko nie spełniła w środowisku roli, jakiej się po niej spodziewał Stanisław Grochowiak,

Tymczasowy Grochowiak

Andrzej Brycht i Roman Śliwonik po paru tygodniach wyszli z więzienia i dalszą współpracę z redakcją kontynuowali jako nie pobierający pensji współpracownicy. Pierwszy okres rządów Józefa Lenarta we "Współczesności" (miał on jeszcze powrócić na stanowisko redaktora naczelnego w 1966 roku) skończyły się w połowie lutego 1959 r. po walnym zebraniu kolegium pisma. W zebraniu tym wziął udział instruktor Wydziału Prasy KC PZPR. Fakt, że Wydział Prasy wydelegował swojego pracownika, świadczył, że Lenart nie cieszył się wówczas poparciem tego urzędu. W dyskusji prawie wszyscy członkowie zespołu negatywnie ocenili okres rządów Lenarta. Parę dni później pełniącym obowiązki naczelnego redaktora został mianowany Stanisław Grochowiak. Nazwisko Lenarta zostało skreślone z listy członków zespołu.

Innym, rzucającym pewne światło na wydarzenia tego okresu, faktem była dużo późniejsza wypowiedź Bohdana Drozdowskiego w miesięczniku "Poezja", w której przypomniał, że na początku 1959 roku zgłosił się do niego współpracownik "Współczesności" Jerzy Falkowski z propozycją objęcia stanowiska naczelnego redaktora. Świadczy to, że członkowie zespołu zdawali sobie sprawę, iż redaktorem musi zostać członek partii, jednak nie życzyli sobie, żeby to był Lenart. Drozdowski został zastępcą redaktora naczelnego kilka miesięcy później.

Zmiany personalne, jakie miały miejsce przed i po wyjeździe Leszka Szymańskiego z Polski, nie odbiły się w widoczny sposób na treści pisma. Niezależnie od stosowanych wobec pisma nacisków, "Współczesność" była dalej pismem młodych autorów, spragnionych ujżenia swych utworów w druku. Ludzi tych niewiele obchodziły zmiany w zespole. Z teczkami pełnymi wierszy i opowiadań spacerowali po korytarzu czekając na redaktorów. Dla nich pismo było ciągle składającym się z wierszy i opowiadań almanachem, w którym mogli wypróbować swoje możliwości twórcze.

Nie znaczy to, że nie publikowano też utworów znanych autorów. W numerach "Współczesności" z ostatnich miesięcy 1958 roku ukazało się kilka ciekawych tekstów. Były wśród nich opowiadania Marka Nowakowskiego "W komisariacie", Józefa Ratajczaka "Odłot", Władysława Terleckiego "Miłosierdzie" i Leszka Szymańskiego "Cela samobójców". Poezję reprezentowały wiersze Ernesta Brylla, Mirona Białoszewskiego, Jerzego Skolimowskiego, Barbary Sadowskiej i Edwarda Stachury. W dziale krytyki uwagę czytelników zwróciły artykuły Piotra Wierzbickiego pt. "Mickiewicz wraca", Stefana Lichańskiego "Szturm do kamiennego nieba" (o twórczości Jerzego Krzysztonia) i Jana Wyki - "Poezja zranionego marzenia" (o poezji Romana Śliwonika). Na odnotowanie zasługuje również artykuł Jerzego Grotowskiego pt. "Twórcze ambicje teatru". Był to, wydaje się, pierwszy artykuł znanego później w całej Europie reżysera teatralnego wydrukowany we "Współczesności".

W dziale krytyki filmowej najwyższą ocenę ze strony czytelników uzyskał esej Jerzego Falkowskiego pt. "Polonez tragiczny", omawiający film "Popiół i diament" Andrzeja Wajdy. Ciekawym akcentem jednego z numerów (30/20) był wywiad z pisarzem Stanisławem Rembkiem. Stanisław Rembek - autor powieści: "W polu", "Nagan" i "Wyrok na Franciszka Kłosa" był twórcą wyjątkowo źle widzianym przez władze PRL-u. Nie darowano mu opublikowanej przed wojną powieści "W polu", rozgrywającej się podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. Sędziwy pisarz do przeprowadzającego z nim wywiad Stanisława Grochowiaka powiedział: "Pod pewnym względem - z zastrzeżeniami jednak - uważam wasze pismo za wyjątkowe. Na ogół potraficie pisać śmiało i szczerze to, co myślicie. Stanowi to wielką sztukę i dowodzi zdolności rzadko spotykanych. Dla mnie ten właśnie rys stanowczo określa charakter waszego pisma".

sprawę, że Lenart, starając się szeroko omawiać sytuację Hłaski, próbuje uzyskać po kolei od każdego z uczestników dyskusji, wyrażone w tej albo innej formie, potępienie decyzji pisarza. W rozmowie padło parę ostrych sformułowań. Jeden z uczestników powiedział: "Hłasko przez swoją decyzję przekreślił swoje pisarstwo". Z innych ust padło: "Hłasko popełnił jednoznaczny akt polityczny, nasze ustosunkowanie się do tego rodzaju aktu powinno też być jednoznaczne". Jednak przeważał ostrożny ton wypowiedzi. Ciekawą pointą dyskusji była wymiana zdań między Lenartem a Brychtem. Lenart kończąc część swojej wypowiedzi powiedział: "Uważam, że Marek jest bardzo zdolnym pisarzem, natomiast politykiem jest żadnym i nie był nim nigdy". Na to Brycht: "Nie musiał". Na to Lenart: "A ja powiadam: przykład Hłaski uczy, że pisarz musi być w pewnym sensie politykiem. Pisarstwo nie jest czynnością apolityczną. Świetnie ten fakt potrafili zdyskontować na swoją korzyść rodzimi emigracyjni i francuscy antykomuniści!". W dyskusji Grochowiak i Lenart wypadli lepiej niż inni członkowie zespołu. Możliwe, że stało się tak, ponieważ ci dwaj wcześniej przygotowali się do dyskusji, podczas gdy innych uczestników zawiadomiono w ostatniej chwili przed nagraniem.

Naczelny wyjeżdża

Jakiś czas później w redakcji zaczęto mówić, że Leszek Szymański ma zamiar na parę miesięcy wyjechać z kraju. Spytany o to przeze mnie, potwierdził wiadomość i dodał, że dostał paszport i zgodę na trwającą parę miesięcy podróż po Indiach. Razem z nim wyjedzie także jego żona. Szymański znał dobrze angielski, w Polsce przyjaźnił się z pisarzem hinduskim Kedarem Nathem, któremu parę opowiadań opublikował na łamach "Współczesności". Na temat wyjazdu Szymańskiego w redakcji nie rozmawiano. Po cichu zadawano sobie jednak pytania: "W jaki sposób obu udało się w tak krótkim czasie załatwić wydanie paszportów? Kto pomógł Szymańskiemu wyasygnować pieniądze na kupno biletów na przelot?". Jednak Szymańskiego o nic nie pytano. A on sam w biurze w ciągu ostatnich tygodni przed wyjazdem zachowywał się tak, jakby w redakcji był już tylko gościem. Wyjazd Szymańskiego był dla reszty zespołu ważniejszym wydarzeniem niż wszystkie inne wypadki po odejściu "Współczesności" z PAX-u...

W Polsce w latach 1957–59 prywatne wyjazdy za granicę należały do rzadkości. Zaś wyjazd do Indii na trwający kilka miesięcy pobyt był rzadkością wyjątkową. Do krajów pozaeuropejskich wyjeżdżali zwykle delegaci Zarządu Głównego Związku Literatów: Iwaszkiewicz, Putrament lub Kruczkowski. Byli to cieszący się zaufaniem władz pisarze działacze. Szymański nie należał do tej grupy.

Niedługo po jego wyjeździe redakcję przeniesiono do nowego lokalu. Był to już trzeci lokal od chwili zerwania "Współczesności" z PAX-em. Z pierwszego, w biurach przedsiębiorstwa "Ruch" przy rogu Wilczej i Poznańskiej, redakcję przeniesiono do budynku przy ulicy Kopernika 34 (w tym samym domu, naprzeciw budynku dawnego CRZZ mieściła się siedziba radiostacji "Kraj"). W nowym lokalu "Współczesność" sąsiadowała z innymi redakcjami: "Magazynem Polskim" i zlikwidowanym po trwającym parę miesięcy okresie przygotowawczym pismem "Europa". Lokal ten mieścił się w Pałacu Zamojskich przy ul. Nowy Świat 69.

W listopadzie do redakcji dotarła przykra wiadomość: po bijatyce podczas wieczoru autorskiego Andrzeja Brychta w kawiarni "Krokodyl" na Starym Mieście Andrzej Brycht i Roman Śliwonik zostali aresztowani i w przyspieszonym trybie skazani na cztery miesiące więzienia. Wydawca zażądał natychmiastowego zwolnienia z pracy obu pisarzy. Na zwolnionych przez nich etatach Józef Lenart zatrudnił Aleksandrę Korewę i Ernesta Bryllę.

Brychta pt. "Dom bez klamek", artykuł Zbigniewa Irzyka pt. "Podręcznik dla nieuków", tłumaczenie fragmentu powieści Antoine'a Saint-Exupéry'ego "Pilot wojenny", wiersze Romana Śliwonika i Mariana Ośniałowskiego oraz opowiadanie Marka Nowakowskiego pt. "Umierający paser". W n-rze 24/14 "Współczesności" Roman Śliwonik opublikował reportaż pt. "Pokolenie spod podłogi", w którym czytamy: "kurewki są wszędzie. Dlaczego nie miałyby być kurewek w 'Manekinie' ...". "Manekin" był w tym okresie jednym z najbardziej uczęszczanych przez literacką i artystyczną młodzież klubem Warszawy. Jako nowych lub dawno niedrukowanych autorów "Współczesności" należy wymienić Andrzeja Jasińskiego, Andrzeja Dołęgowskiego i Roberta Stillera. A także Artura Sandauera, który opublikował fragment opowiadania pt. "Z pamiętników Mikołaja Rozenwajga". W dziale publicystyki pałeczkę od Stojewskiego przejął Stanisław Grochowiak, piszący artykuły na temat konieczności porozumienia się sprawujących władzę polityków z pisarzami. Chodziło o lepsze zrozumienie ze strony ludzi stojących na czele państwa specyficznych warunków twórczości pisarskiej, a ze strony pisarzy konieczności dostosowania się do wymagań panującego w Polsce ustroju. Wystąpienia te sprawiły, iż niedługo po publikacji pierwszego artykułu Grochowiak został uznany przez zespół pisma za nieoficjalnego członka kolegium "Współczesności". W n-rze 27/17 z dnia 16.10.1958 r. Grochowiak pisał: "Dlaczego politycy - jakiegokolwiek są zresztą maści - nie lubią w literaturze pesymizmu, czy też raczej: tak zwanego pesymizmu? Czy to jakaś wrodzona złośliwość, jakaś przekora w stosunku do literatury w ogóle - czy też pospolity strach? Politycy odpowiadają za sprawne funkcjonowanie życia społecznego (...) Postulat odpowiedzialności za słowo bezustannie przypomina pisarzowi o adresie społecznym jego twórczości (...). Tu chciałbym przejść już wręcz na nasze polskie podwórko. Otóż nierzadko natykamy się na ślady powrotu do praktyk nadgorliwych, analiz nadczujnych..."

Ręczne sterowanie

Wypowiedź ta jednak trafiła w próżnię. Wydaje się, że już tydzień czy dwa przed opublikowaniem artykułu w odpowiednich "instancjach" zapadły decyzje na temat nowego składu zespołu "Współczesności". W październiku dowiedziałem się w biurze wydawcy, że we "Współczesności" odbędzie się reorganizacja. Z przekazanych biurowymi kanałami informacji wynikało, że stanowisko zastępcy naczelnego redaktora obejmie były sekretarz Zarządu Głównego Związku Młodzieży Socjalistycznej Józef Lenart. Spytany o to przez niżej podpisanego Leszek Szymański potwierdził pogłoskę i dodał uspokajającym tonem, że przecież Lenart we "Współczesności" drukował, więc nie ma co się go bardzo obawiać. "A co będzie z tobą?" - Szymański zrobił nieokreślony ruch ręką. "Zobaczymy..." - powiedział. Kilka dni później w biurze wydawcy przekaza- no kierownictwu redakcji informację o decyzjach w sprawie "wzmocnienia" zespołu. Poza powierzeniem stanowiska zastępcy naczelnego redaktora Lenartowi, redakcji przydzielono trzy dodatkowe etaty, z których na pierwszym został zatrudniony Andrzej Brycht, a na drugim Stanisław Grochowiak. Jako kandydata do objęcia trzeciego etatu wydawca zaproponował Tadeusza Strumffa, który ze "Współczesnością" wcześniej nie współpracował. W ten sposób, spełniając postulat wzmocnienia zespołu, zapoczątkowano działania, zmierzające do przekształcenia "Współczesności". Wydaje się, że już w tym wczesnym okresie niektóre osoby zatrudnione w redakcji zaczęły zdawać sobie sprawę, że z pisma będą musiały odejść. Jedną z pierwszych inicjatyw nowego zastępcy redaktora naczelnego było przeprowadzenie przy włączonym magnetofonie dyskusji wybranych członków zespołu na temat decyzji pozostania na Zachodzie pisarza Marka Hłaski. Od udziału w dyskusji nie można było się uchylić. Niektórzy jej uczestnicy dopiero w czasie nagrania zdali sobie

Słojewski (późniejszy Hamilton z warszawskiej "Kultury") w artykule "Przeciwko bałwochwalstwu". W artykule tym czytamy: "Oto pierwsza z brzegu sprawa: sprawa światopoglądu i filozofii, sprawa ważna, może najważniejsza ze wszystkich spraw ludzkich. Nie doceniają jej nasi - pożałujcie Boże - twórcy (...). Sprawy pierwsze, czyli sfera pytań filozoficznych, a więc przede wszystkim czy Bóg istnieje, czy też go nie ma (...), a więc czy życie nasze tutaj na ziemi ma jakiś sens, czy też jest absurdalne, a więc w końcu co mamy myśleć o śmierci, jak mamy sobie poradzić z fenomenem śmierci, który prawie trzysta lat temu nie dawał wytchnienia Pascalowi, a dzisiaj męczy Kafkę i egzystencjalistów...". I kończy: "U nas się nie dyskutuje z Camusem, Kafką...". Bardzo ważna wypowiedź. Jednak wydaje się, że w Wydziale Prasy KC PZPR nie takich wypowiedzi spodziewano się ze strony publicystów "Współczesności".

W następnym 21/11 numerze pisma zamieszczono, między innymi, dwa opowiadania: Leszka Płażewskiego pt. "Jutro porozmawiamy", będące debiutem tego autora, i utwór Stanisława Grochowiaka pt. "Lamentnice". Druk tekstu tego autora jest pierwszym sygnałem kontaktów, nawiązanych przez zespół "Współczesności" z grupą młodych pisarzy, związanych dawniej z PAX-em. Zerwali oni współpracę z PAX-em po publikacji przez Bolesława Piaseckiego w 1955 roku artykułu pt. "Instynkt państwowy". Dwaj z nich: Stanisław Grochowiak i Władysław Lech Terlecki wkrótce zajęli miejsca w zespole, dwaj inni: Jerzy Krzysztoń i Jacek Łukasiewicz przez kilka lat współpracowali z pismem. Jednak najważniejszym w tej sytuacji faktem jest pojawienie się na łamach "Współczesności" nazwiska Stanisława Grochowiaka, przyszłego "p.o.", a później na krótki okres naczelnego redaktora pisma, którego działalność, szczególnie w dziedzinie publicystyki na dobre i "nie zawsze dobre" odcisnęła się na orientacji pisma i losach grupy ludzi, którzy go wprowadzili do zespołu.

W "Ruchu", podobnie jak w PAX-ie, "Współczesność" wychodziła jako dwutygodnik, z tym, że członkowie kolegium byli pracownikami etatowymi, otrzymującymi pełne wynagrodzenie. Dla paru osób było to pierwsze pełne zatrudnienie w życiu. Trzy czy cztery osoby miały obowiązek połowę wynagrodzenia "wypisać", tzn. wydrukować dwa albo trzy materiały w miesiącu, bez dodatkowego za nie wynagrodzenia. We wrześniu do wydającego pismo zespołu dołączył J. Z. Słojewski, uzyskując w redakcji etat publicysty.

Z chwilą, gdy w środowisku literackim Warszawy rozeszła się wiadomość, że "Współczesność" zaczęła wychodzić jako "niezależne pismo młodych", lokal redakcji przy ulicy Poznańskiej zaczął zapełniać się współpracownikami i interesantami. Przychodziły również osoby, próbujące za pośrednictwem pisma przekazać społeczeństwu swoje idee, na przykład na temat końca świata lub zagrażających ludzkości katastrof. Wizyty tych ostatnich były świadectwem, że "Współczesność" stała się prawdziwym pismem, bowiem podobno tylko prawdziwe redakcje przyciągają ludzi nie w pełni normalnych. Natomiast dla osób piszących z młodego pokolenia pokoje redakcji stały się miejscem, w którym się spotykano, spędzano długie godziny na dyskusjach na rozmaite tematy i w mniejszych lub większych grupach udawano do kawiarni albo restauracji.

Przypominając zawartość numerów pisma wydawanych w lecie i jesienią 1958 roku warto wymienić artykuł J. Z. Słojewskiego pt. "Bluznierstwa o Kossak-Szczuckiej", opowiadanie A. Brychta pt. "Worek", reportaż Jacka Łukasiewicza pt. "Panorama mistrza R.", a także

Życie z dnia 2001-06-21

Andrzej Chąciński

Nasza mała destabilizacja - 2

W oświadczeniu opublikowanym na łamach "Współczesności" po jej odejściu od PAX-u w 1958 roku czytamy: "Ostatnio kierunek naszego pisma odbiegł daleko od jego początkowych założeń. Zespół grupy literackiej 'Współczesność' postanowił nawiązać do uprzednich tradycji i zreorganizować kolegium. 'Współczesność' będzie przede wszystkim pismem literackim młodych. Wydawcą pisma jest PPKPiK Ruch".

Zbyt samodzielni

O formie i treści opublikowanego przez redakcję komunikatu można powiedzieć, że został zredagowany zgodnie z panującymi w tym okresie w Polsce obyczajami. Mówiły one, że do ważniejszych oświadczeń i komunikatów należy stosować ogólne, niewiele mówiące czytelnikom określenia. Nawet jeżeli członkowie zespołu "Współczesności" nie naśladowali urzędowych komunikatów, to wiedzieli, że zmiany, które się w piśmie dokonały, nie będą mogły być omówione w druku. Redaktor "Współczesności" Leszek Szymański wykonał wcześniej manewr, który w owym czasie był niedozwolony; kierując grupą młodych pisarzy, liczącą się jako element na scenie politycznej kraju, porzucił jednego opiekuna (tzn. partię) i przeniósł się do innego - PAX-u. Słowem - zachował się jakby w tym okresie możliwa była w Polsce swobodna gra sił politycznych. Nie chodziło w tym przypadku o wielkość grupy ani o jej znaczenie. Chodziło o precedens. Co by było, gdyby inne organizacje wpadły na podobny pomysł i zamiast siedzieć cicho pod skrzydłami partii, zaczęły sobie szukać innych protektorów?...

PAX, mimo iż był zakamuflowanym sprzymierzeńcem PZPR-u w walce przeciwko Kościołowi katolickiemu, swobodę działania jako organizacja polityczna miał ściśle ograniczoną. Jego konszachty z powstałym podczas popaździernikowego zamętu ugrupowaniem uznano w partii za niedopuszczalne. PAX-owi nic za tę próbę nie zrobiono. Miał licznych i mocnych protektorów. Po prostu odebrano mu pismo. Inaczej mogło być z Szymańskim. Ten hardy człowiek, przez Koźniewskiego opisywany jako "mydłek", ośmielił się podjąć decyzję, którą w przypadku pisma mógł podjąć jedynie wyższej rangi członek partii i to "w uzgodnieniu z najwyższymi czynnikami". Na razie jednak Szymańskiemu nic się nie stało. "Współczesność", którą kierował, dostała od władz wydawcę ("Ruch"), dwa pokoje na pomieszczenia redakcji i dziesięć etatów dla zespołu. A przede wszystkim przydział papieru i pieniądze na pokrycie kosztów wydawania pisma. Szymański pozostał na stanowisku naczelnego redaktora, a funkcję sekretarza redakcji objął niżej podpisany.

Pismo literackie

O pierwszych paru numerach, wydanych w wydawnictwie "Ruch" można powiedzieć, że były kontynuacją wydawanej w 1957 roku "Współczesności". Świadczą o tym nazwiska autorów. W n-rze 20/10 z dn. 1.07.1958 r. z krytyką postaw młodych pisarzy wystąpił Jan Zbigniew

w opowiadaniach Marka Hłaski wpływają destrukcyjnie na młodego czytelnika, Jerzy Zawieyski odpowiedział tymi słowami: "Hłasko jest bardziej złożony, niż się wydaje. Opinie o jego opowiadaniach są powierzchowne i nieraz krzywdzące. Autor 'Pętli' jest pisarzem bardzo utalentowanym...". Nie zgadzając się z opinią pisarza redakcja zamieściła obok wywiadu oświadczenie, w którym m. in. czytamy: "Redakcja nawiązując do części wypowiedzi pana Jerzego Zawieyskiego uważa, że twórczość Hłaski wywiera jednak destrukcyjny wpływ na młodego czytelnika. Bowiem widzenie rzeczywistości u Hłaski sprowadza się do negacji...". I jeszcze parę zdań w podobnym tonie. Wcześniej we "Współczesności" nie ukazywały się artykuły negatywnie oceniające twórczość Hłaski. Odwrotnie - twórcy, należący do grupy "Współczesność", uważali go za starszego kolegę, który - gdyby zgodził się we "Współczesności" drukować swoje utwory - zostałby przyjęty w piśmie z otwartymi ramionami...

Partia zazdrości

Któregoś dnia w połowie czerwca 1958 roku piszący te słowa znalazł w drzwiach swojego mieszkania kartkę od Leszka Szymańskiego. "Zadzwoń do mnie" - napisał Szymański. "Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego".

Godzinę później, kiedy spotkaliśmy się przy wejściu do gmachu przy skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, uśmiechając się z zażenowaniem, Szymański powiedział: Postawili ultimatum, że albo "Współczesność" odejdzie od PAX-u, albo odbiorą zezwolenie na wydawanie pisma. Jeżeli odejdziemy, warunki do wydawania pisma będziemy mieli zapewnione. To nieładnie w stosunku do PAX-u, ale co robić? Tobie, ponieważ nie byłeś w PAX-ie, będzie łatwiej rozmawiać w Komitecie Centralnym. Cieszę się, że udało mi się ciebie znaleźć!

Rozmowa w KC trwała krótko. Od instruktora Wydziału Prasy usłyszeliśmy: "Zgłosicie się do dyrektora Herbsta z przedsiębiorstwa "Ruch", a on wam wszystko załatwi...

W tym dniu rozpoczął się nowy okres w życiu "Współczesności"...

Jak się wydaje, partia uważnie obserwowała działalność grupy i pisma "Współczesność". O tym, że w 1957 roku pismo nabrało znaczenia wiedzano choćby z wypowiedzi innych organów prasowych. W następnym roku pewnie dalej przyglądano by się walce o przetrwanie grupy zapaleńców i być może pozwolono by na ich zejście ze sceny w wyniku niezapłacenia kolejnego rachunku w drukarni. Tymczasem grupa, zamiast rozprościć się i umrzeć "śmiercią naturalną", znalazła sobie nowego protektora. Wydaje się, że dopiero w tej sytuacji w KC zaczęto zastanawiać się, jak wobec niej postąpić. Pozwolenie na to, żeby licząca parędziesiąt osób grupa ludzi piszących znalazła się w zasięgu wpływów stowarzyszenia religijnego, nawet akceptowanego przez władze, uznano za politycznie niepożądane. Odebranie zezwolenia na wydawanie pisma, w ówczesnej sytuacji uznano za krok zbyt gwałtowny. Postanowiono więc skierować pismo do nowego, partyjnego wydawcy, a zmiany, które już wtedy chciano w piśmie przeprowadzić, odłożyć na później. Taki to splot wydarzeń spowodował, że w czerwcu 1958 roku pismo uzyskało wydawcę w postaci Biura Wydawniczego "Ruch" i kilka etatów dla swoich pracowników. Jego twórcy jednak dalej nie mogli czuć się bezpieczni. Ich prawdziwe kłopoty i wynikające z nowej sytuacji zagrożenia były jeszcze przed nimi.

<http://www.niniwa2.cba.pl/wspolczesnosc2.htm>

mocne pismo. Zawdzięczało to pracy zespołu i dużej grupy współpracowników, bezinteresownie zasilających redakcję tekstami. A najważniejsze było to, że w grupie tej było parę osób dysponujących rzeczywiście dobrymi piórami. Ich teksty u jednych wywoływały zachwyt, a u innych wściekłość, co znaczyło, że mocno poruszały czytelników. Natomiast w sensie możliwości technicznych i finansowych "Współczesność" była w niewesołej sytuacji. Po prostu brakowało pieniędzy na dalszą działalność.

Nowy patron

O tym, że Szymański kontaktował się z PAX-em, koledzy wiedzieli jeszcze w czasach "Koła Młodych". Był laureatem, chyba drugiej, nagrody w konkursie na opowiadanie o Mickiewiczu, ogłoszonym przez wydawnictwo PAX. W PAX-ie poznał np. Brychta, któremu zaproponował druk wierszy, a później opowiadań we "Współczesności". Toteż autor niniejszego artykułu nie zdziwił się, kiedy pewnego dnia, chyba w styczniu 1958 roku, usłyszał ze strony Szymańskiego: "Co byś powiedział na to, żeby 'Współczesność' zaczęła wychodzić w PAX-ie?".

Odpowiedź była natychmiastowa: "Stracimy nasz charakter! PAX nie pozwoli na to, żeby pismo było takie, jakie było dotąd". "No, nie wiem - odparł Szymański - PAX potrafi być tolerancyjny".

Kilka dni później rozpoczęły się rozmowy z kierownictwem PAX-u. W tym samym czasie niżej podpisany poprosił Szymańskiego o skreślenie z listy zespołu, wydającego pismo "Współczesność"...

Pierwszy numer "paxowskiej" "Współczesności" ukazał się 28 lutego 1958 roku. Obok tytułu widniał numer 11., co świadczyło, że nowy wydawca postanowił zachować dawną numerację. Nowa "Współczesność" nie była gorsza od poprzedniej, wydawanej jako niezależne pismo. Dla czytającego było jasne, że PAX nie chce stracić tej grupy współpracowników, którzy w ostatnim okresie związali się z redakcją. Wynikało to z doboru nazwisk już w pierwszym numerze. Poza zamieszczonym na pierwszej stronie wywiadem z Arturem Sandauerem, w numerze ukazało się opowiadanie Andrzeja Brychta pt. "Blit"; eseje: Tomasza Burka pt. "Tragedia naszego miasta" i Piotra Wierzbickiego "Pawlikowska wśród poetów"; a także artykuł Wojciecha Janickiego pt. "Kartki o rówieśnikach". Leszek Szymański wydrukował w numerze opowiadanie pt. "Podwieczorek u Wernera". Od czasu przejęcia przez PAX "Współczesność" zaczęła wychodzić jako dwutygodnik. Poza przysyłanym przez stowarzyszenie sekretarzem redakcji tylko redaktor naczelny uzyskał status stałego pracownika. Jako lokal redakcji przydzielono pokój w biurze Stołecznego Oddziału PAX-u.

Dla współpracowników ważne było to, że pismo zaczęło płacić autorom pełne honoraria. Jak można się było spodziewać, w sprawie kwalifikowania materiałów do druku najwięcej miał do powiedzenia sekretarz redakcji Józef Szczawiński, członek Stowarzyszenia PAX, zawodowy dziennikarz. Na liście członków kolegium miejsca Andrzeja Chącińskiego, Andrzeja Delinikajtisa, Jerzego Prokopiuka i Jerzego K. Siewierskiego zajęli: Kazimierz Augustowski, Zenon Komender, Henryk Krasowski, Iwo Płachecki i Józef Szczawiński. Wszyscy nowi członkowie kolegium należeli do Stowarzyszenia PAX.

W "paxowskiej" "Współczesności" ukazało się w ciągu czterech miesięcy kilka ciekawych artykułów: w numerze 13. esej J. Z. Słojewskiego pt. "Czarne skrzydła", w numerze 14. artykuły Romana Zengela, Tomasza Burka i Marka Ruszczyca, w numerze 15. wywiad z Jerzym Zawieyskim, przeprowadzony przez Zbigniewa Irzyka i Jerzego Czajkowskiego. Treść wywiadu świadczy, że już w pierwszych numerach, ukazujących się pod szyldem PAX-u, "Współczesność" zaczęła zmieniać kierunek. Na pytania, czy opisy scen erotycznych

uchodzić za interesujący, spór między Anatolem Sternem a Antonim Słonimskim, toczony częściowo na łamach "Współczesności". Słonimski w "Nowej Kulturze" określił Sterna jako "starego lisa, grafomana", który znowu tak jak przed wojną gromadzi wokół siebie grono naiwnych i nieorientowanych, pragnących uzyskać "przepustkę na Parnas". Stern posługując się cytataми z przedwojennych "Wiadomości Literackich" zarzucił Słonimskiemu pisanie nieprawdy i antysemityzm. Pożytecznym dla interesów pisma było nawiązanie przy pomocy artykułów Sterna do tradycji polskich futurystów.

W numerze 6 (maj 1957) na pierwszej stronie zamieszczono kilka wierszy Mirona Białoszewskiego. Oto jeden z nich: "Interes I": "... Skup sztucznych nóg z patentem/ Przedsiębiorca - ortodoks, twierdzi/ "Kalwini mają jedno oko/ ale ja im nie wprawię"/ po cichu/ wstawia zęby baptystom/ (mówią: metodystom)".

Andrzej Brycht zaproponował druk swoich wierszy, mówiących o pracy w kopalni w okresie stalinowskim. Wiersze, przygotowane do druku w numerze 7. "Współczesności", zdjęła cenzura. Zamiast tych, redaktor zdecydował zamieścić inne wiersze Brychta. Oto jeden z nich: "Urodziłem się w poczekalni dworcowej pełnej kurew, alfonsów i glin/ siedzę okrakiem na szynach onanizując wyobraźnię/ czekam na pociąg, który utnie mój czas". Po wydrukowaniu tych wierszy kilkanaście pism opublikowało komentarze w stylu: "oj, młodzi, źle się bawicie! Uważajcie!". Opublikowane w następnym numerze opowiadanie Brychta pt. "Balbina" wzbudziło jednak duże zainteresowanie w środowisku literackim.

Publikujący w tym okresie w piśmie "Za i Przeciw" Stanisław Grochowiak, który później sam miał wejść do redakcji pisma, tak ocenił "Współczesność": "autentyczna młoda grupa literacka z własnym piśmem i kolosalnym hałasem. Z miejsca chcę przyznać, że życie "Współczesności" wszystkiego najlepszego, jako że naprawdę jest młoda...".

W czynie społecznym

Mimo dużego zainteresowania, jakim cieszyło się pismo, redakcja borykała się z coraz większymi przeciwnościami. Honorariów autorom nie wypłacano, poza jakimiś drobnymi sumami wypłacanymi tylko tym, o których redaktor wiedział, że są w naprawdę trudnej sytuacji materialnej. Byli też autorzy odbierający honorarium w postaci 20 egzemplarzy pisma, które następnie rozsprzedawali wśród znajomych. (Autor niniejszego artykułu był dobrze zorientowany w sytuacji pisma, ponieważ w tym okresie sprawował "de facto" funkcję sekretarza redakcji). Organizowano sprzedaże uliczne "Współczesności". Do jednej akcji, szczególnie udanej, wynajęto nawet samochód z megafonem. Najwięcej kłopotów było z uiszczeniem opłat za druk i papier w drukarniach. Piszący te słowa pamięta nieustannie próby dodzwonienia się do przedsiębiorstwa "Ruch" w sprawie przekazania pieniędzy za sprzedany numer. I czekanie na podliczenie liczby zwrotów. Bo na tej podstawie można było określić sumę, jaka z kolportażu wpłynie do redakcji. Lokalem redakcji był duży pokój w mieszkaniu Leszka Szymańskiego przy ulicy Ludnej. W mieszkaniu był telefon, co miało duże znaczenie. Ojciec Leszka był wyższej rangi urzędnikiem w Ministerstwie Poczty i Telegrafów.

Gdzieś późną jesienią 1957 roku liczba osób, kontaktujących się z redakcją, zaczęła wyraźnie maleć. Mniej tekstów wpływało też od współpracowników. W rozmowach toczonych w redakcji padały pytania: "jak długo można pracować bez wynagrodzenia?". Parę osób zaczęło na stałe pracować i do pisma zaglądało tylko w soboty lub w niedziele. Po podsumowaniu, które zrobiono przy końcu grudnia, okazało się, że w 1957 roku zespołowi udało się wydać osiem numerów, co - jeżeli wziąć pod uwagę warunki, w jakich się ukazywały - było dobrym rezultatem.

W sensie merytorycznym "Współczesność" przy końcu roku 1957 można było określić jako

usta...".

Był to komentarz twórców pisma do wiadomości o bliskim upadku powstania węgierskiego. Parę dni później grupie literackiej "Współczesność" zezwolenie na wydawanie pisma odebrano. Jak się można było spodziewać, przyczyną decyzji było wydrukowanie wiersza poruszającego sprawę powstania węgierskiego. Wśród członków zespołu wydającego pismo zapanowała konsternacja. W przeważającej liczbie osoby związane z pismem były przekonane, że szansa na dalsze wydawanie pisma została zmarnowana. Nastroje pesymistyczne przeważały.

Okazją do podjęcia starań o zwrot odebranego zezwolenia okazała się rozpoczęta w styczniu 1957 roku kampania wyborcza do Sejmu, a ściślej mówiąc spotkania kandydatów na posłów i przywódców partii z ludnością Warszawy. Podczas jednego z takich spotkań, na wiecu w Sali Kongresowej Pałacu Kultury, Leszkowi Szymańskiemu udało się dostać do odpoczywającego po przemówieniu Władysława Gomułki i zreferować prośbę o zwrot zezwolenia. Na sali poza Szymańskim był również obecny Eugeniusz Kabatc. Zaskoczony Gomułka udzielił krótkiej reprimendy Szymańskiemu, po czym jednemu z sekretarzy KC polecił załatwić sprawę. Parę dni później zezwolenie na wydawanie pisma zwrócono. Jeszcze parę lat później partyjni pisarze, w osobach Jerzego Putramenta i Kazimierza Koźniewskiego nie mogli darować Szymańskiemu "bezczylnego" zachowania wobec przywódcy partii. Putrament napisał: "... po którymś spotkaniu z Gomułką do prezydium przedostał się mydłek i kanciarz, niejaki L. S. (Leszek Szymański), podszedł bez cienia skrupułów do Gomułki i znienacka zażądał papieru na pismo młodzieżowe. Zaskoczony Gomułka się zgodził. Stąd wzięła się 'Współczesność' ". Nie wiadomo, dlaczego Putrament napisał, że chodziło o papier, a nie o zezwolenie. Zresztą wierność szczegółom nigdy nie była jego mocną stroną.

Nowe twarze

Tu warto przypomnieć, że żadna z osób zakładających "Współczesność" nie miała w tym okresie na swoim koncie więcej niż kilku opublikowanych opowiadań lub wierszy. Podobnie daleko było im do debiutu w postaci wydania książki. Jeśli zaś chodzi o Szymańskiego, to był on zarówno autorem pomysłu założenia grupy i wydawania pisma, jak również osobą, która w różnych urzędach "wychodziła" zezwolenia na wszystko, co dotąd zrobiono. Zaskoczeni urzędnicy wysokiej rangi w Ministerstwie Kultury, w cenzurze i innych urzędach zgadzali się na jego "żądania", nie będąc pewnymi, czy za jego plecami nie stoi ktoś ważny. Sytuacja w Polsce była ciągle niepewna, wielu wysokich urzędników spodziewało się zwolnienia, więc tym łatwiej przychodziło im podejmować ryzykowne decyzje. "Współczesność" zaczynała się tymczasem rozwijać. Z miesiąca na miesiąc do składającego się z ośmiu osób zespołu zaczęli dołączać nowi ludzie. Ich nazwiska, jako "stałych współpracowników", znalazły się w stopce pisma. Byli to autorzy, którzy zgłosili gotowość stałego drukowania swoich tekstów we "Współczesności". A więc: Jerzy Łojek z artykułami "Cat" o Stanisławie Augustzie, "Ja Klaudiusz - czyli psychologiczny mechanizm dyktatury"; Zbigniew Irzyk z tekstem pt. "O literaturze fantastycznej" i "Szarganie świętości" (o twórczości Z. Nałkowskiej); Jerzy Krzysztoń z opowiadaniem pt. "Lekarz obozowy"; Jan Zbigniew Stojewski, jako autor "Wywiadu z Ojcem Pirożyńskim"; Andrzej Brycht z "Wierszami", a później opowiadaniem pt. "Balbina". Z dawnych współpracowników nie zerwał kontaktu z pismem Aleksander Minkowski, drukując w numerze 6. z 1957 r. opowiadanie pt. "Ławka pod akacjami". Pod koniec roku swe artykuły zaczęli zamieszczać we "Współczesności" Piotr Wierzbicki i Tomasz Burek. Pismo zamieszczało również żaloszny z perspektywy czasu, ale w tamtym okresie mogący

W pierwszym numerze "Współczesności", niezależnie od toczonych wcześniej sporów, swoje utwory zamieścili prawie wszyscy członkowie "Koła młodych". Fragmenty prozy opublikowali członkowie zarządu: Eugeniusz Kabatc i Magda Leja. Wiersz na pierwszej stronie opublikował Roman Śliwonik, a na innych stronach znalazły się utwory W. Albińskiego, J. Bestera, M. Zakrzewskiego, J. Bolka, J. Barańskiego i Z. Sawko. Autorami opowiadań, zamieszczonych w numerze, byli: Monika Kotowska, Andrzej Chąciński, Jerzy Siewierski i Leszek Szymański. Dział krytyki reprezentował poeta Jan Wyka z opublikowanym na pierwszej stronie esejem pt. "Uwagi o najmłodszej poezji", Leszek Szymański - szkicem o twórczości F. S. Fitzgeralda i Andrzej Dobosz rozprawą o sztuce "Lorenzaccio" Alfreda de Musset. W sensie publicystycznym najważniejszym tekstem był artykuł redakcyjny pt. "O sytuacji młodych". Czytamy w nim, co następuje: "Bo ile razy do roku można wydrukować się np. w 'Nowej Kulturze' ? Raz najwyżej i to przy bardzo sprzyjających okolicznościach... Polityka redakcyjna pewnych pism redaktorów działów poezji doprowadza do apatii, jak na przykład w 'Po prostu', gdzie wiersze jako towar niechodliwy, zaakceptowany w końcu do druku, ginie w drodze do drukarni". Stosując do sprawy dzisiejsze kryteria można by powiedzieć, że był to po prostu sygnał członków pewnej grupy zawodowej, upominającej się o wydanie jej zezwolenia na podjęcie nauki zawodu i zaniechanie stosowania kryteriów politycznych podczas rekrutacji. Jednak warto przypomnieć, że w "Kole młodych" było parę osób, które cieszyły się zaufaniem kierownictwa partyjnego. Jedni wchodzili w skład zarządu, inni figurowali na liście szeregowych członków. Przyszłe wydarzenia wykazały, że mimo zmian, jakie miały miejsce w Polsce w latach 1956–57, nie przestali uważać, że to właśnie oni są predystynowani do nadawania tonu środowisku literackiemu...

Do kiosków pierwszy numer "Współczesności" trafił w październiku 1956 roku. W sensie technicznym był zrobiony "na kolanie". Makietę przy pomocy Leszka Szymańskiego i niżej podpisanego wykieł redaktor techniczny z "Expressu Wieczornego" Andrzej Korczak. Numer został wydrukowany w drukarni na ul. Smolnej, na maszynach płaskich, w nakładzie 2300 egzemplarzy.

Jak Szymańskiemu udało się uzyskać zezwolenie na dalsze wydawanie pisma, nie wiemy. To, że takie zezwolenie uzyskał, wynika z faktu, że w dniu 21 listopada 1956 roku ukazał się drugi numer "Współczesności". Wydanie numeru umożliwiła subwencja Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości 20 tys. złotych. Sprawą tą osobiście interesował się minister Karol Kuryluk.

W numerze poza materiałami publikujących dotąd autorów znalazł się wiersz młodego krakowskiego poety Ireneusza Iredyńskiego pt. "Gdzie" oraz poety z warszawskiego "Koła młodych" Andrzeja Jasińskiego pt. "Zbyt często". W dziale krytyki autor ukrywający się za literami "B.A.C." zamieścił esej pt. "O Hemingwayu, czyli próba detronizacji". W dziale prozy na uwagę zasłużyły opowiadania dwóch autorów: Aleksandra Minkowskiego "Dla dobra sprawy" i Eugeniusza Kabatca pt. "Czerwona wyspa samotności". Redaktor starał się, aby "Współczesność" stała się trybuną pisarzy różnych orientacji politycznych. Dwaj ostatni autorzy już wtedy byli znani w środowisku literackim jako reprezentujący kierunek lewicowy.

Pierwsze kłopoty

O tym, że zarówno w poezji, jak i w publicystyce starano się ustosunkować do spraw nurtujących społeczeństwo polskie, świadczył artykuł "Zamiast manifestu" oraz wiersz Romana Śliwonika pt. "Węgrom". W utworze tym, zamieszczonym na pierwszej stronie, czytamy: "Słuchaliśmy tyle lat/ huku młotów/ kujących pęta/ oczy nasze wybielał lęk/ że nie zerwą ich ludzkie ręce/ pod olbrzymią pokrywą milczenia/ szept ochryple rozkrwawiał

jako wielbiciel twórczości Edgara Allana Poe...

Uciekając przed czystką

Zarząd "Koła młodych" okazywał krytyczny stosunek do nowoprzybyłych. Najgorzej widziany był autor kilku opowiadań - Leszek Szymański. Trudno obecnie powiedzieć, czym ściągął na siebie antypatię grupy, rządzącej dotąd kołem. Czy swoim wyraźnym zainteresowaniem prozą angielską i amerykańską? Czy przeczytaniem dwóch czy trzech opowiadań, napisanych "pod" Edgara Allana Poe? Z zebrania na zebranie atmosfera panująca w kole stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Piszę - "z zebrania na zebranie", ponieważ częstokroć wybuchały na nich gwałtowne dyskusje, podczas których lekceważąco odnoszono się do "realizmu socjalistycznego" i tak śmiało poruszano przemilczane dotąd tematy, że prowadzący czuł się w obowiązku przypominać zebranych, że pewien umiar w wypowiedziach ich obowiązuje. W końcu przyszło coś, co niektórzy uznali, że musiało nadejść. Zarząd zapowiedział, że wśród członków koła przeprowadzi weryfikację. Jako powód podano, że "poziom utworów niektórych członków koła jest zbyt niski, by można było uznać, że ich autorzy w przyszłości zostaną pisarzami". W rzeczywistości jednak weryfikacja była wymierzona przeciwko kilku nowoprzybyłym. W ich liczbie pewnie również przeciwko Leszkowi Szymańskiemu. Uznano go za przywódcę grupy "niesfomych".

Szymański na tę groźbę zareagował deklaracją: "Weryfikacja? Dobrze. To my założymy grupę literacką! I niedługo zaczniemy wydawać pismo".

Wypowiedź na temat wydawania pisma wydawała się tak fantastyczna, że w pierwszej chwili nikt jej poważnie nie potraktował. Na razie zorganizowano grupę literacką. Na listę wpisało się parę osób, należących do "Koła młodych", a także paru szkolnych kolegów Szymańskiego. Idea "grupy" wydaje się, że wyraźnie "chwyciła".

Nie było jasne, jaki miało to przybrać kształt. Może zbiorowej próby znalezienia miejsca dla utworów członków koła w jakimś piśmie? Może uzyskania poparcia dla koła ze strony Ministerstwa Kultury? W atmosferze, jaka w tym okresie panowała w kraju, nawet zarząd koła rozumiał, że trzeba coś zacząć robić...

Jakiś czas później, podczas zebrania koła, Szymański zwrócił się do zebranych o składanie na jego ręce tekstów do pierwszego numeru pisma. W krótkim komunikacie przekazanym kolegom oświadczył, że uzyskał z cenzury zezwolenie na wydanie "jednodniówki" pod tytułem "Współczesność", która z czasem zostanie przekształcona na ukazujące się regularnie pismo. Pieniądze na druk i papier grupa literacka "Współczesność" otrzymała od Zarządu Głównego Związku Literatów, "Materiały" do numeru złożyli prawie wszyscy członkowie "Koła Młodych", nie wyłączając zarządu, dotąd tak krytycznie nastawionego wobec Szymańskiego. Do grupy tej należeli: Andrzej Jasiński, Sławomir Kryski, Eugeniusz Kabatc, Magda Leja, Monika Kotowska. Naczelnym redaktorem "pisma" został Leszek Szymański, a w najwęższym "zespole redakcyjnym" znaleźli się Roman Śliwonik, Jerzy Siewierski i niżej podpisany.

Wystąpienie

Pierwszy numer pisma ukazał się na początku października 1956 roku. Na temat tego, czy "Współczesność" jest pismem, czy tylko jednodniówką, w Urzędzie Kontroli Prasy wybuchł spór między cenzorem a przedstawicielami redakcji. Cenzor zakwestionował cyfrę "Nr 1", umieszczoną obok tytułu. Stwierdził, że "Nr 1" sugeruje, iż "Współczesność" jest pismem, na co nie było zgody. "Nr 1" jednak pozostał, dzięki usunięciu z już zatwierdzonego składu części daty wydania pierwszego numeru pisma.

Uważali, że jeden dobrze napisany wiersz albo opowiadanie, jeżeli w odpowiednim czasie trafi do czytelników, może spowodować społeczny niepokój lub coś jeszcze gorszego.

Na krótkiej smyczy

Bardzo ciekawe były sposoby oddziaływania na najmłodszą generację literatów, zrzeszonych w działających przy Związku Literatów tzw. "Kołach młodych". O tym, że istniała jakaś metoda postępowania w tej dziedzinie, świadczą decyzje, jakie podejmowano po opanowaniu względnego chaosu w latach 1956–57. Dużo wysiłku włożono w to, aby niespokojne i trudne do opanowania środowisko literackiej młodzieży poddać wymaganej przez partię dyscyplinie. Starano się pacyfikować powstałe spontanicznie w miesiącach "odwilży" grupy literackie, a wydawane na kolanie periodyki zamykać lub neutralizować. Przykładem mogą być losy członków grupy literackiej "Współczesność", zorganizowanej w oparciu o działające przy warszawskim Oddziale Związku Literatów "Koło młodych". Sprawa dotyczy nie tylko ugrupowania, ale i pisma pod tym samym tytułem.

"Koła młodych" posiadały w latach 1955–57 w Związku Literatów pozycję niewiele różniącą się od statusu Komisji Rewizyjnych, Zarządów czy Komisji Stypendialnych. Działania ich zarządów, jak i sprawy, którymi żyły koła, były kontrolowane przez zarządy oddziałów i nadzorujące je instancje partyjne. W teorii członkiem "Koła młodych" mógł zostać każdy młody kandydat, który przedstawił parę utworów, świadczących, że zainteresowany zajmuje się literaturą. Chodziło o jakieś zaczątki wartości literackich, które w tych utworach powinny były występować. O tym, jak w latach przed "Październikiem" wylaniano kandydatów do "Kół młodych" wiemy mało. Marek Hłasko, który debiutował dwa lata wcześniej niż pisarze ze "Współczesności", pisze, że do przedstawiciela związku został skierowany za pośrednictwem "Trybuny Ludu". Współpracował z nią jako tzw. "korespondent terenowy". W każdym razie, wydaje się, że w werbowaniu nowych członków "Kół Młodych" brały udział redakcje, "organizacje społeczne", a także na pewno związki zawodowe. Kandydaci na nowych "inżynierów dusz ludzkich" byli przez władze starannie sprawdzani i selekcjonowani...

W 1955 roku sytuacja zaczęła się jednak zmieniać. Na fali nowych inicjatyw społecznych, dyskusji o roli partii w kraju i ruchów reformatorskich również Związek Literatów musiał przestać być hermetyczną, odciętą od społeczeństwa organizacją i musiał przystosować się do panującego powszechnie nastroju. Znalazło to również odbicie w działalności "Kół młodych". Sala zebrań na I piętrze Związku Literatów w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu zapełniła się młodymi kandydatami na ludzi pióra, którzy parę miesięcy wcześniej chyba nie śmieliby przekroczyć progów tego lokalu. Od starszych członków koła różnili się między innymi wyglądem, w tym sensie, że np. członków zarządu cechowała urzędnicza schludność, a ci byli jacyś niedomyci, szarzy, źle ubrani. Ważniejsze jednak było coś innego. Podczas gdy członkowie zarządu i osoby z nimi związane zarówno w swoich utworach, jak i w ustnych wystąpieniach nie zapominali o wtrąceniu paru zdań o społecznej roli literatury i ogólnym określeniu "po czyjej stoją stronie", ludziom, którzy ostatnio zasilili koło, tego rodzaju zachowanie nie przychodziło do głowy. Zdarzało się nawet, że się uśmiechali, kiedy np. któryś z członków zarządu wygłaszał kanoniczne zdanie, w rodzaju: "uważam, że literatura powinna odzwierciedlać przemiany w społeczeństwie socjalistycznym i głośno mówić o osiągnięciach, które dokonano".

Podobnie było, jeśli chodzi o sympatie literackie. Młodzi prozaicy wiedzę o warsztacie pisarskim starali się czerpać z lektury pisarzy amerykańskich, których kilka utworów, na czele z twórczością Hemingwaya było dostępnych w księgarniach. Podczas dyskusji padały nazwiska Caldwell, Steinbecka, Dos Passosa... Jeden z nowoprzybyłych określił się nawet

Nasza mała destabilizacja - 1

"Współczesność" była, podobnie jak dużo później "brulion", pismem jednego pokolenia - pokolenia "odwilży"

Jeżeli metody działania partii w środowisku literackim w latach 1949–56 w Polsce zostały przez historyków dość dokładnie opisane, to o sposobach, stosowanych przez nią w okresie po 1956 roku wiemy nie tak dużo. Wydaje się, że po objęciu władzy przez wypuszczonego z więzienia Gomułkę działacze PZPR-u nabrali przekonania, że uda im się wychować tzw. "pisarzy zaangażowanych", którzy jednocześnie byłiby "zaangażowani" i tworzyli dzieła wysoko oceniane przez czytelników: cecha, której pisarzom w poprzednim okresie nie udało się osiągnąć. Recepty, jak uzyskać taki wynik partia jednak nie miała. Zresztą, w momencie dojścia Gomułki, w 1956 roku, w biurach odpowiedzialnych za te sprawy instancji partyjnych panował bałagan. Nie oznaczało to zresztą, że uznano, iż partia może się wyrzec kontroli nad twórczością literacką. Dzisiaj tego rodzaju dążenia mogą wydawać się nam śmieszne, jednak czterdzieści lat temu do sprawy nadzoru nad działalnością prasy, literatury, a także innej twórczości artystycznej, ludzie sprawujący władzę odnosili się ze specjalną troską.

SPOTCZESNOŚĆ

zamiast manifestu

Spotkaliśmy się z zastrzeżeniami, że grupa nasza nie posiada określonego manifestu programowego. Znajdźmy sobie sprawę, że grup nie reprezentują manifesty układane przed rozpoczęciem pracy. Określić je może jedynie konkretna działalność literacka i publicystyczna. Ponizsze wypowiedzi drukujemy aby uczynić znadę łagodnym.

Za słoganość nie odpowiadamy. Mieliszę przebaczyć do tych, którzy w poprzednich latach za słów pełnej troski uczynili słuszne.

ESTEMY grupa młodych pisarzy, których złączyła troska o dalszy rozwój kultury i socjalistycznej kultury i wspólnie podjęli na rolę sztuki w naszym społeczeństwie. Chcemy naś przewrócić dotychczasowe wyobrażenia o literaturze, o społeczeństwie, o sztuce, o życiu. Chcemy być młodzi, chcemy być nowi, chcemy być różni. Chcemy być różni, chcemy być nowi, chcemy być młodzi. Chcemy być różni, chcemy być nowi, chcemy być młodzi. Chcemy być różni, chcemy być nowi, chcemy być młodzi.

[illegible]

roman sliwonik

u q q r o m

Stuchaliśmy tyle iad
huku mieotów
kujących pęta

nocy nasze wybielał lek
 że nie zerwą ich ludzkie ręce
 pod obraymią pokrywą milczenia
 szept ochrypli rozkrwawiał usta

zamienili słonece
ciemną płytę
zamienili dół
w dom odciepłych
kolowali biegali
w kole
popychali w opętany taniec
podeptani płakali w ciemności
ochryply płacili
które nie widzieli słoneca

aś ludzki krzyk
 którym można podnieść gardło
 strząsnąć płytą
 za którą byś cichnie
 przywróciłmy oczom blask
 ustoma oddany uśmiech

frost walki o wychowanie nowych ludzi. Łączymy się z dowództwem sztabu. Co słychać? Odpowiedź najsmutniejsza, jaką można otrzymać: klęska. O rozmiarach klęski dowiadujemy się z komunikatu:

„13 tysięcy przestępstw dokonanych przez nieletnich w roku ubiegłym.
20 tysięcy młodocianych zatrzymanych przez organa MO”

Takie cyfry notują statystyki prze-
szepczoci. O losach naszych staty-
styk coś już wiemy. Wiemy też jaki
procent zeznańców dokonanych prze-
stępstw trafił na karty rejestrów.

[illegible]

„Szuka młodych dolarów na
Dworcu Głównym...”

„W podzięgu jadącym do Szczecina złapano na gorącym uczynku kradzieży ciężki młodocianego Eugeniusza Kijasa. Kijas był już Karany domem poprawczym...
...16 latni Wojciech M. poblił nau-
...stycielką, wychowawczynię 7-jej
...kiasy, do której uczennice już
...drugi rok...
...o zakrępianych imiennach ude-
...rzył nożem. Ma lat 18 i jest sym-
...nem znanego aktora...”

[illegible]

przez front k.
„Sprawiedliwości
trwałoci Rzecz-
wym uśmiechem
szerokim wejście
tego solidnego z
drzwi na prawo
ku chłopów y
Szczupły brunec
do mnie: — Pa-
nię zżółty. „A
was chronię, le-
Spoglądając na
drzwi i wchod-
wrazawie! can 5

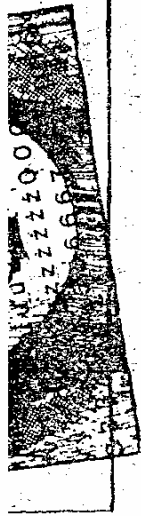
Oświadczamy:
 że dzieje z niej
 wy trafiły w w

Próba	odpowie dział...
-------	---------------------

Byli i inni, i
byli wodzowi,
nam nie kie
Byli ludzie, kt
niewinnych, zry
cie i masakrow



Sno



Andrzej Grun



serio czyjaś przekorę za napomnienie siebie i doradzonę mu Polskę soła.

Natomiast Kedar Nath z C Literackiej „współczesność” po o ażył w... Polsce, zwłaszcza, iż rodzinny Rawalpindi arektowa kistan. Staliśmy się my, członk rozpedzonej na cztery wiatry C Literackiej „współczesność” tycznie podejrzani na co naj dwadzieścia lat.

Pora kończyć te wspominki. bawę „współczesność” dawn skńczyła. Jacyś faceci bez wy ni w tej zabawie zaczęli „we nie wiedzieć co. Pozostało pć nudne, tylko czasopismo, ukradko nam tytuł, przywłasz sobie nasz pot i pracę. Niek chcieli na tym zrobić kariery rackie, ale nie zrobili. Za krz nam wyrażone zapłacili im. Więc nie mamy do nich żał. Wyszło w życiu się płaci. wystawia zachunek. Nam poz satysfakcja i „poczucie” przda społeczeństwu, które nie lubi i czytać swoich twórców.

„Snobizm na „współczesność” Mitotwórca legenda się zwieci. Nikt nie umuje dziś „w czesności” piziego. Raczej każ dodaje. Swojego, od siebie, ba. biel.

Nasi najwięksi krytycy sta później, najlepszymi orędow mitu już nie grupki towarzys rackiej, ale czasopisma i „pokolenia „współczesności”. I brze, że tak jest.

To pokolenie zaczyna przel do historii. Nie na koturnac nadęte, a „pokolenie” wyrob. z pogranicza literatury, kultu lozofii, psychologii. Nasze ma pokolenie ludzi pragnących w c niach dla innych ogrzać się i szabelek i palasz ze szaci stali, ale w szczypcie ciepła zakładanych „rodzin” w szc gniazdko rodzinnej kultury w sach, kiedy zaczyna się tak zalew komiksowej kultury, popadziennikowego przelomu.

Dahuta Mancewicz, Wojciech Slemion, August Kowalczyk, Alicja Zalewska.

Ideę utworzenia teatru poezji nie udało się nam zrealizować — po latach nadał jej kształt i odpowiedni format własnie Siemion. Przyjmie rzał się do jej realizacji i inni aktorzy, ale jakoś im i nam nie z tego nie wyszło, choć przeprowadziliśmy konkursy na talenty aktorskie! i młodego Kantora „obrazy (reprodukcje) roztawialiśmy (po otwarciu Galerii „Krzyżostofory”) i Artura Sandauera, umożliwiając mu u nas debiut prozatorski. Pł „Pamiętnik Arnolda Rozenzweig’a”, podbudowa ny już wówczas akademickim wywiadem krytyka dla „współczesności”. Sandauer już wtedy mentorzył, moralizował i tworzył językowe konstrukcje. figur retorycznych tak smysłone, iż czytało się „to z habożenstwem dla erudyjci, znanomości greki i łaciny, iżysz i innych języków i kultury autora późniejszej głosnej „Bez taryfy ulgowej”. Wielu z nas podkochowało się wtedy w pięknej rzeźbiarce Marii Tatarczuch, stale bywalczyni klubu „Manekin” na Starym Ryнку.

Klub, kawiarnia literacko-artystyczna „Manekin” na warszawskiej Starówce, to była wtedy mekka nas wszystkich, którzyśmy w sztuce, w literaturze zwiertziły interes... „metafizyczny”, „mystyczny”, kon takt ze światem ducha, z życiem duchowym nas zym! Łapałiśmy każdą możliwość konfrontacji z czytelnikami. Regula było, iż po każdym spotkaniu autorskim odbywały się dyskusje. Nie raz do późnych godzin nocnych, jak w laugawskim klubie kultury, który wspaniale i z poświęceniem prowadziła pani Laryssa Kuźnicz.

balamuctw, przekór blichtru i kiku, i rezonerskiego „wiskania” językiem, bywało, wcały wtedy niecierackim... powstała właśnie także specyficzna knajacka proza, literatura.

„Józef, Giełło, Jaś, Himisbach, Andrzejek, Brycht” umieli z tego wykreowywać zupełnie żożne opowiadania... Marianek rzucił na fęcz za kotwiczenia się we „współczesność” swój jeleniogórski teatr profesjonalny, a pracę p.o. kierownika wyróżniał Kultura i Sztuki PWRN w Zielonej Górze. „Głako chłopak” już mialem na Ziemiach Zachodnich, takie stanowisko...)

Najważniejsze było jednak, że wy dawaliśmy czasopismo. „Mieścieńnik” później dwutygodnik, przeważnie „wchodził raz na trzy miesiące.” Dotacji nie było, fundusów na rachunki za druk dla drukarni nie było, ełatów ani ryczałtów nie było. Honorariów za teksty nie było.

Był za to entuzjazm, zaminusz, fantazja i nade wszystko, owa kawalerijska przekora — poza. Roman potrafił z tego uczynić „późniejsze swoje dzieła poetyckie. „Złoty”

Ludzie bez poczucia humoru (i wyobraźni), nadali, szepali, ale kreacji — gły — poz niektórych kolegów po piórze. Artyści są trochę tni niż przetrzeźniające chleba niż Warszawa bazarowa, kombinatorska czy qwanacha...)

„Zatem” wydawaliśmy czasopismo literackie. Z nazwy. Bo, najmniej w tym czasopiśmie, bywało literatury. Za „to sporo, materiałów, z pogranicza literatury, publicystyki, esejistyki z pogranicza poezji, dramatu, sztuki...”

atakowało nas samo „Życie Literackie” w sławnym wtedy artykule „„współczesność” czyli pokolenie „płaskie” piora samego wielkiego krakowskiego krytyka Jerzego Kwiatkowskiego. Kości zostały rzucone. Obwołano nas z dnia na dzień pokoleniem literackim. Wprawdzie z brakami, nie bardzo jeszcze dojrzalym, zaledwie dobrze zapowiadającym się, ale mającym już coś do powiedzenia w literaturze. Jan Rembek, Artur Sandauer, Jerzy Zawieyski, Ludwik Hieronim Morstin pospieszyli z intelektualną „przynaką”, udzielając nam nauk i pouczeń oraz wywiadów prasowych dla „współczesności”. Przeprowadzałem je przeważnie do spółki ze Zbyszekiem Irzykiem. Wywiadu udzielił nam nawet ówczesny wiceminister kultury i sztuki, Kazimierz Rusinek.

Euforia szybko miała przeminać się małymi literkami, za naśladowała lekturze całej serii artykułów atakujących nas. Za podpisywanie się małymi literkami, za „szarganie świętości”, za wiersze, za prozę, za krytykę literacką, za próby wpływania na zmianę lektur w szkołach, za atakowanie drobniomieszczańskiego burgols, kottinstwa, bigoterii, fałszu, obnudy i zaklamania. Stingowany wywiad z Ojcem Pirożyńskim „Pi- rożyński działa!”

Alicji najprędzej były ataki za styl i metody prowadzenia wieczorów autorskich w Kamiennych Schodkach. „Pan Czajkowski, który zwykłe te wieczory prowadzi” — krzyczano tłustymi literami w „Za i Przeciwi” w „Sztandarze Miodych...”

Aż zaczęły nadoić smętne dni, kiedy autentyczna zabawa młodoliteracka, ta nasza wspaniała przygotowana z życiem duchowym... narodu (po

złędu na wartości artystyczne), to zedrzeć najwięcej satysfakcji dawa nam konfrontacja (naszych toków z czytelnikami).

Zasada, ażeby ktoś z nas „prował” każdy wieczór autorski i żeby ktoś krytyk literacki (dojrzałego „pokolenia” czy ktoś młody) miał orowadzenie do prezentowanych tekstów, „dobrze” była przyjmowana zez publiczność. Udział w wieczorach aktorów, plastyków, śpiewaków, kompozytorów — to była zednia zabawa w literaturę, sztukę, teatr, w wernisaże.

Towarzyszący naszym działaniom yszek Kupczyński zaczął wystawać swoje obrazy pod gołym niebem na Starówce, na Krakowskim; łączali inni artyści — malarze jak wiński, Karol Węglaw (pseudonim), Ewa Salamon, Mietek Steccz...

Te wystawki zaczęły się przetrzącać w saloniki wystawiennicze, spotkania autorskie, poetów, no- listów, krytyków, plastyków tam, zie tylko się dało. W klubach pramiedzynarodowej, w domach kultury, fabrykach. Najwspanialsze byspotkania autorskie z robotnikami halach fabrycznych lub w wiel- ch przyzakładowych świetlicach, a oraz w stołówkach, które naprędce zysosowywano do spotkań z „gru- (młodych pisarzy.

Spotkania „autorskie” w kawiarniach i klubach Gdańska, Gdyni, osalina, „Kobroregu” „Szczeci- a. Marynarskie „intercluby” uby stoczniovców, sale konferen- jne ZMS, ZMW, ZSP, TTPR, klub- . Stronnicwa. Demokracjacyjnego, natoria, domy wczasowe.

Irek Irędyński zorganizował nam lka wspaniałych spotkań w klubach i instytucjach Krakowa. Jak ymagalacja, jak wyrobiona „była w publiczność.

I te nie kończące się dyskusje literaturze, kulturze, sztuce, o iążkach i wystawach, o sztukach atających i ich realizacjach. Lecz

3) **harbardzi, zapiekie, alabowara** – garbca, pisarzy i dziennikarzy – formacji posła J. Frankowskiego „Za li przewidy” (co nie przeszkodziło mu później w złożeniu nam imię i przemieli. Baś! Dysymulanci opowoli finansowania i edycji naszego dwutygodnika przez Instytut teozoficki z grupy „Za i przewidy”. Kiedy naszym dwutygodnikiem groziła plajta, zwrotilismy się w kierunku durni podporządkowanie jakiejś instytucji państwowej lub bizdzielni – ówczesny kierownik ura Pasy odmówił.

W tym celu w 1938 roku finansować wydawa-
ł dwunastopięćdziesiąt tysięcy złotych
literackiego „Współczesności”.

Złotych dołychczas zespół redakcyjny "współczesności" i cała grupaelitarna, "władnia" w ul spotwpoeniem, w związku z tą decyzją. Ale wrońny do punktu wyjścia. Jak doszło do utworzenia zespołu redakcyjnego "współczesność", cchłaliśmy przez trzy lata istnieniaiśmy pisma, jak doszło do próbisczenia nas?

Být může wiele nam można być
uczestną, zarówno jako kumpela,
jako i naczynia gospodarki, re-
agowania, mściwiecika czy dwy
rodzika (przedmioty). Nasze pro-
blematyki też były rozmaite. Mo-
żna dobrze się zapoznaliśmy z
wszystkimi! Coś co nas najbar-
ziej fascynowało, to była chem, pasja
różne wszystkim bezinteresowno
wsza społeczeństwa dalała siły
nych. Jak choćby pomaganie w
biutach, w literackim czy publi-
stycznym świecie. A choć robiliśmy
tak dużo szumu, propagandy, za-

psikusów i figli zgoła proweniencji
sztabackiej... rychto miały trafić na
łamy pisra, stakujących Brychia i
Silwonika za ich pozy. Ależ i tych

w stałą współpracę z nami podczas licznych wieczorów poetyckich. Podczas wieczorów autorskich towarzyszył statom debiutantkin aktorzy;

"Szarganie świętości" nam się udawało, choć trąbiłszy (w artykułach) o szarganiu. Może niekiedy wywady (stingowane!) — jak czcny, wywiad z Ojcem Phlorentym — przekończycym (autenty) dla czytelników.

Udaaliśmy i nasiadowaliśmy
turyzmu, imigrantów. Ba, z
włowa po samym Mariniethem E
siela dla mnie i dla Annelo St
zaproszenia imienne na pięcio
stypendia w Italii, w jej pała
Stiern odradzi mi wyjazd na t
pendium, a sam polecał Paul
rinneth przysłała na nasze wie
w Kaniennych Schodkach i
przekładów na język włoski czi
Rzymkiej Akademii Sztuki z
go tłumacza doktora Koltonst
(zitalizowany Polonus). Cieszy
moim „włoszkami” kilkun
przełożył na włoski, wydruk
! przysłał zupełnie przyzwole h
tarium we włoskich walorach.

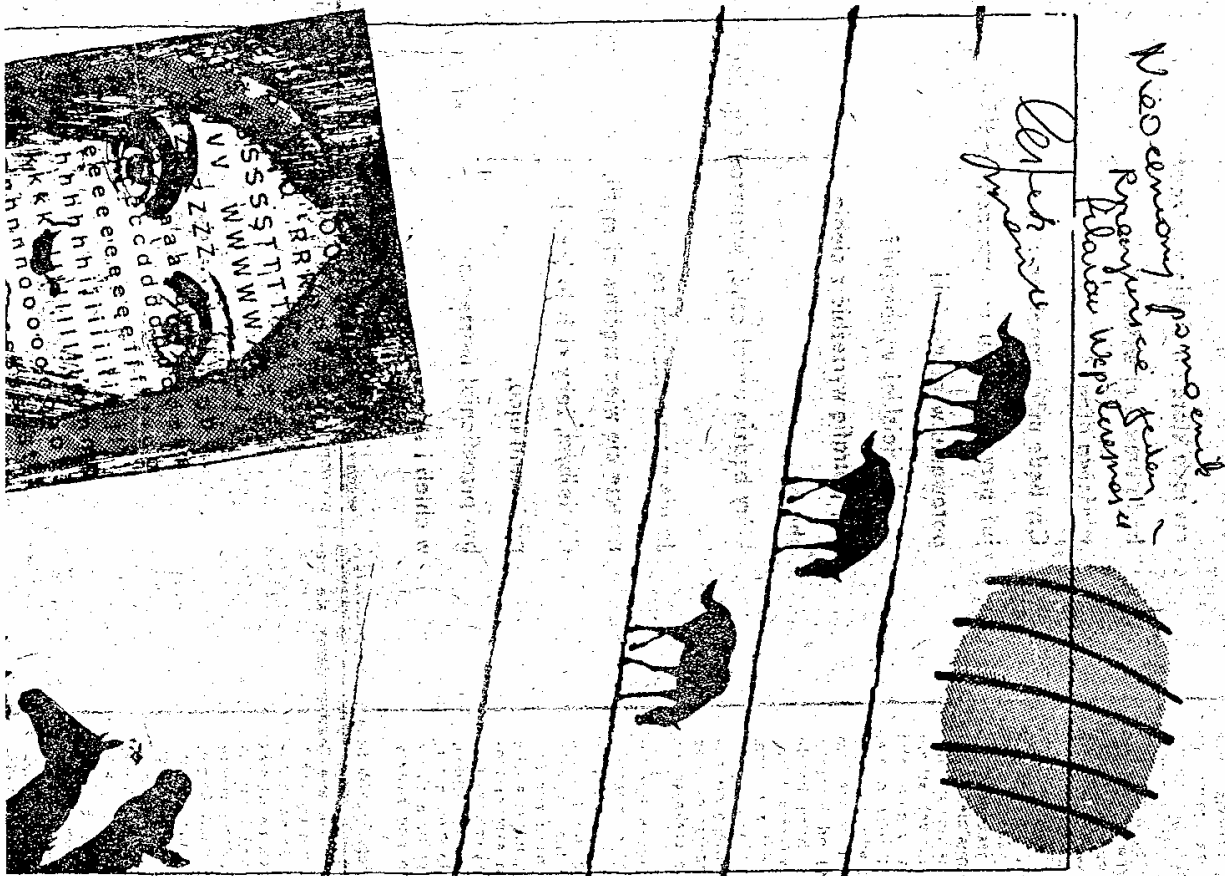
Później była seria nieporo-
dów, której przyczyną się „zappa-
moplene” z „wsiekiem” i
mieszkańcy w Zakopanem zo-
zowali mi wieczory autorskie w
m.ach „TWP”, „satatoriach”, Bibli-
Miejskiej, Roman Brandstaetter
go, snailzowali, moje wieści, i
Morsini cleszy się, że tak ud-
nasładujemy „Bo we „współcie-
ści”, przypominając mu „Jego
dość, jego start literacki.

Z „Prostu” zaprosili na rozmowę i wymanie doświadczenia dakejnych i polkcznych. Nie szliśmy. Gdy doświadczeń pob nych nie melśmy żadnych. Do twardogłowi mieli nas nauczyć...

[illegible]

izm na „współczesność”

**Jerzy
Stanisław
Czajkowski**



wraz z Tadeuszem Strumphem, który objął później funkcję Andrzeja Chacińskiego jako sekretarza redakcji.

Szymanskiemu ułatwiono wyjazd do Indii i obiecano stypendium, które miał wypłacać ambasador Kott, tak długo jak mu zajmie pisanie powieści z epoki Hellenistycznej, będącej kontynuacją „Konca zgody narodów”, Teodora Parnickiego. Powieść olbrzymiej objętości Szymanski napisał. Na wydawcę czeka do dziś dnia. Gdyby odmówił wyjazdu, miał nieoficjalną obietnicę *prawdopodobnego* pozostania w piśmie jako redaktor działu prozy. Obiecano też pracę, albo przynajmniej płatną współpracę oryginalnym członkom grupy, ale pod wyżej wspomnianym warunkiem wstąpienia do Partii.

Szymanski przy pomocy Artura Koestlera i Bolesława Wierzbianskiego, których spotkał w Nowym Delhi, pozostał zagranicą. Na zaproszenie ówczesnego premiera Australii Roberta Menziesa osiadł początkowo w Sydney. Z tamąd po paru latach podał się do Anglii i następnie do USA.

Nie poprosił o azyl, lecz o wizę emigracyjną. Swoją decyzję „wybrania wolności” nie nadal rozgłosu politycznego, różniąc się tym od Marka Hłaski i Andrzeja Brychta. W ten sposób nie nastąpiły żadne represje wobec jego matki, (która później zabrał na stałe do Anglii i USA) i nas. Gomułka nie był mściwy, przynajmniej w jego wypadku.

Natomiast Jerzy Giedroyc zerwał z nim umowę wydawniczą. Zrozumiałe – umowy wydawnicze w Polsce zostały też niedotrzymane. Szymanski wylądował na czarnej liście cenzury. Został prawie całkowicie nieznany w Polsce. O jego późniejszych sukcesach literackich nawet nie wspominało.

Szymanski pisał po angielsku. Twórczość jego pozostaje nadal nieznana w Polsce.

Zapytuje Pani, co jest najważniejsze teraz...

Myszę, że należy jakoś przywrócić naszą narodową tożsamość. Marzyło mi się zawsze, że w niepodległej Polsce powstanie wielki spór o wartości i literatura odzyska należne jej miejsce. Niestety, tak się nie stało. Kolejne elity, pozbawione całkowicie humanistycznej wrażliwości i wyobraźni, zepchnęły sprawy kultury na margines społecznych zainteresowań i potrafiły je skutecznie obrzydzić, schlebując niewybrednym gustom tzw. „szerokiej publiczności” telewizyjnej.

ZBIGNIEW IRZYK

Wywiad przeprowadziła Danuta Błaszak

Powstanie „Współczesności” umożliwiło start niepokornym twórcom młodego pokolenia oraz pisarzom otwartym na nowe tendencje w sztuce, przełamujące artystyczne kanony i wzorce XIX-ego realizmu w jego sowieckim wydaniu, które ograniczały i uniemożliwiały pełną swobodę wypowiedzi twórczej. Udostępnialismy szeroko swoje łamy na zjawiska i nurty artystyczne w naszej kulturze i sztuce światowej przemilczane i nieznane. Pisalismy o literaturze francuskiej, anglojęzycznej, o Dostojewskim, Kafce, Prouście, Faulknerze, literaturze egzystencjalistycznej i o „nowej powieści” we Francji. U nas wypowiadał się o swoim teatrze Jerzy Grotowski, drukował wiersze przyszły reżyser filmowy Jerzy Skolimowski. Współpracował z nami Marek Piestrak. Łaczyli się z nami malarze, rzeźbiarze, aktorzy, fotografowie (najlepiej pamiętam Okołowa i Piotra Krassowskiego) i nawet baletmistrze. Stalimy się frontem młodych tworców – młodzieży artystycznej. Siła z którą partia zaczęła się liczyć i co doprowadziła do naszego ujarzżenia, to znaczy tych co się zostali we „Współczesności”.

Najbardziej „Współczesność” wyróżniała się swym ostrym pamphletycznym zacięciem, otwartością sądów – cechami będącymi czymś zupełnie nowym, nieznanym w całej ugrzecznionej i dworskiej prasie literackiej PRL-u.

Co było potem, po wyjeździe Leszka Szymanskiego?

Znaczenie Szymanskiego dla pisma było ogromne, przede wszystkim, że po zamknięciu nas przez cenzurę po spotkaniu z Gomułą, udało się Leszkowi odzyskać zezwolenie, ale pod warunkiem nie pisanie o polityce. Czyli w opinii nieuswiadomionego ogółu i świadomych, lecz złośliwych krytyków przeciwstawiano nas „Po prostu”. Nota bene, niewiedomo z jakiej racji Eugeniusz Kabatz zaczął sobie przypisywać uratowanie pisma. Kabatz był formalnie współredaktorem, lecz zachowywał ostrożny dystans w stosunku do członków grupy. Nie należał do niej.

Gdyby nie bezczelność, ale i odwaga Szymanskiego po drugim numerze „Współczesność” przestałaby się ukazywać. Oznaczałoby to, że nowo powstałe środowisko pisarzy skupionych przy piśmie zapewne bezpowrotnie straciłoby szansę rozwoju niejako w załączku. Nie tylko nie mieliby gdzie drukować najmłodszy, ale także spóźnieni debiutanci jak Marian Ośniałowski (rocznik papieża), Lech Emfazy Stefański, czy właśnie Miron Białoszewski i Zbigniew Herbert wtedy występujący dopiero swoimi pierwszymi tomikami, ale szerszej publiczności zupełnie jeszcze nieznanymi. Trzeba pamiętać, że ówczesna prasa literacka była potęgą. Kto się w niej nie publikował, praktycznie nie istniał jako twórca. Podobnie jak dzisiaj, gdy nie występują w telewizji. Młodzi nie mieli wtedy wstępu na salony „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego” czy „Życia Literackiego” – które zarezerwowane były głównie dla pisarzy o znanych nazwiskach jak Iwaszkiewicz, Maria Dąbrowska, Kazimierz Brandys, Jerzy Andrzejewski lub dla określonej koterii autorów całkowicie pokornych wobec partii z niesławnym Damskim na czele. „Współczesność” otwierała szanse przed młodymi i niechcianymi gdzie indziej, ale pisarze starsi byli też witani z otwartymi ramionami. Po wyjeździe Szymanskiego do Indii na stypendium Teodora Parnickiego. Partia powoli przejęła „Współczesność”.

Podobno Szymanskiemu nakazano gremialne wstąpienie całego zespołu redakcyjnego do Partii. Zabiegiem wstępnym było nasłanie Józefa Lenarta jako zastępcy naczelnego,

pomogło mu też napisanie entuzjastycznej przedmowy do zbioru opowiadań Szymanskiego. Zbioru zresztą w Polsce niewydanego. Bardzo zawsze cieszył się, gdy go odwiedzałem w czasie wakacji w Pustych Łąkach i na Marszałkowskiej, gdzie przez wiele lat mieszkał. Pod koniec życia sędziwego pisarza przeprowadziłem z nim obszerny wywiad. Zamiast autoryzowania tekstu ucałował mnie w czoło. O tych moich przyjaźniach literackich mógłbym Pani opowiadać bez końca.

Kto wymyślił tytuł. Jakie miał znaczenie?

Jak mi wiadomo, tytuł wymyślił Leszek Szymański (co mu zasugerował tytuł powieści Putramenta „Rzeczywistość” a nie rosyjskie pisma tego tytułu) wtedy już ciekawie zapowiadający się prozaik. (na podstawie jego opowiadania Roman Polański nakręcił swój dyplomowy film z łódzkiej wytwórni.) Tytuł miał usprawiedliwiać wobec PZPR, zwierciadlane odbicie tego, co aktualnie działo się w życiu, wedle Partii zasadniczo pozytywnym. Szymanski kontynuował swe tezy literackie pisać z dużym uznaniem krytyki, po angielsku w Australii i USA. Niestety żadna z książek tego „Conrada” nie została przetłumaczona na polski. Nawet jego monografia Kazimierza Pułaskiego w Ameryce (po raz pierwszy coś nowego od stu lat!) i biografia Pawła Strzeleckiego. Obie odkrywcze i niezwykle pozycje. Obecnie Szymanski pracuje nad biografią Józefa Riza’a poety i prozaika, narodowego bohatera Filipin, praca również w języku angielskim. Ale to dygresja.

Głównym celem pisma było umożliwienie druku młodym twórcom i autorom, często gdzie indziej niechcianym, bez względu na ich ideologię i metodę twórczą, jednak silnie łączyła nas wspólna młodość, byliśmy dziećmi wojny i ruin. Większość naszych literatów urodziła się w latach trzydziestych.

Nie bawiliśmy się w cenzorów metod i tematyki twórczej. Choć Szymanski, chcąc nie chcąc musiał być cenzorem przewencyjnym. Czajkowski czy Osiałowski mogli drukować u Grydzewskiego w Londynie, a Szymanski musiał się za nich gęsto tłumaczyć w Wydziale Prasowym K.C. Omal nas nie zamknęli przez te publikacje. Nakazano wyrzucenie ich z redakcji. Szymanski wyblagał na klęczkach zawieszenie wyroku. Inna wersja głosiła, że postawił nogę na biurku dygnitarza i poprawiając gacie powiedział. Jak was kopnę w kulturę to mi gacie piękne, ale wam gacie i portki zasmierdne. Bedziecie latać z du... czerwona jak sztandar.... pawiana. Talent Partia szanuje!, choć poeci popełniają pomyłki. Ich prawo! Poczytajcie sobie Marxa. Pamiętajcie Słiwonika! Jak chcecie poetów gniebic zadzwoncie do Wiesława. Zobaczymy kto wyleci. Zróbcie to własną reką to bedziecie rekordy Pstrawskiego bili.

Jako Osiałowski i Czajkowski zostali się w redakcji.

Co nowego wniosła „Współczesność” do ówczesnego życia literackiego?

Pośrednio na to pytanie odpowiedziałem wcześniej. „Współczesność” bezspornie stanowiła przełom w naszym życiu literackim. Byliśmy odpowiednikami pod względem wagi zjawiska literackiego „Sturm und Drang” i chronologicznie i socjologicznie Gniewnych Młodych Ludzi (the Angry Young Men).

Drugą osobą bardzo mi bliską był Marian Osniałowski poeta prawie dziś zapomniany, autor przepięknych lirycznych wierszy. Taki polski prevert. Połączyły nas miłość do poezji francuskiej (tłumaczył Rene Chara, Aragona, Ponge'a, Michaux i innych) i wspólne zamiłowanie do długich wędrówek. Kiedyś Marianek przepadł gdzieś na całą noc. Wrócił do hotelu dopiero o świcie. Oznajmił, że na krakowskich Błoniach wahał kwiatki – tak pięknie pachniały. Popelnil sdamobojstwo w Laku Boulonskim obsypany kwiatami.

Zawsze bliski pozostanie mi także Staszek Grochowiak wspaniały poeta zmarły w 1976 roku, z którym wspólnie redagowaliśmy „Współczesność” oraz biesiadowaliśmy w „Kameralnej” oraz u Fukiera, gdy zachodzili tam Dunikowski, Sapocznikow, Andrzejewski, Himilbach. Podziwiałem zawsze kunszt utworów Staszka, jego niezwykłą wyobraźnię. Czytałem często jego utwory jako pierwszy odbiorca. Autor słynnej „Rycerskiej ballady” miał wyjątkowo piękny charakter pisma. Kaligrafował słowa drobnym maczkiem, ale bardzo wyraźnie. Kiedyś poprosił mnie, żebym naszej maszynistce podyktował jego artykuł, bo boli go głowa. Dyktowałem naszej prześlizniętej Ani ponad godzinę. Była to jego znana „Lekcja Faulknerowska”. Staszek miał paskudną cechę. Zawsze wszędzie się spóźniał. Nawet na spotkanie z ówczesnym ministrem kultury Stefanem Żółkiewskim przyszedł o tej samej godzinie, ale dwa dni później, czego byłem świadkiem. Pewnego dnia zorganizowaliśmy w redakcji poważną dyskusję o sytuacji w kulturze, na którą zaprosiliśmy różne wybitne autorytety. Uczestnicy spotkania zgadzali się, że w literaturze panuje straszliwy zastój. I oto w drzwiach Sali konferencyjnej na krakowskim przedmieściu pojawił się Staszek. Radośnie wykrzyknąłem: - Nie ma żadnego kryzysu, jest przecież Staszek. Wszyscy się ze mną natychmiast zgodzili, że skoro mamy takiego znakomitego poetę, trudno mówić o jakimś kryzysie i dyskusja skierowała się an nowe tory. Szkoda, że temu wybitnemu twórcy poświęca się tak mało uwagi.

Z pisarzy starszego pokolenia życzliwie kibicujących naszym poczynaniom szczególnie zapamiętałem Artura Sandauera. Zawsze jako krytyk-polemista z czymś się nie zgadzał, gorąco protestował. W czasie przedstawienia, gdy Miron Białoszewski wystawiał swoich „Osmędeuszy”, potrafił siedząc w jego mieszkaniu na podłodze głośno pokrzykiwać „Nic z tego nie rozumiem”, zagłuszając całkowicie ezoteryczną Ludmiłę Murawską i Herlinga ku niezmiernej konsternacji widowni. Staralem się jemu coś wyjaśnić, ale on nadal pokrzykiwał swym tubalnym głosem.

Autor „Bez taryfy ulgowej” bardzo mnie lubił i był zawsze wobec mnie niezwykle miły. Często odwiedzałem znanego krytyka i jego żonę Ernę Rozenstein w ich mieszkaniu na Iwickiej. Wtedy nie wiedziałem, że oboje, podobnie jak ja, pochodzą z kresów, Sandauer z Sambora, pani Erna z mojego Lwowa. Pewnego dnia, gdy do nich zaszedłem, wyjął z niebieskiej koperty jakiś przedmiot i zaczął mi nim wymachiwać. Początkowo myślałem, że to może jakaś cenna pamiątka po Brunonie Schultzu, z którym się znał i przyjaźnił, a to był mleczny ząb jego syna Adasia, którym chciał się przede mną pochwalić. W tamtych latach naszych literackich początków zaprzyjaźniłem się również serdecznie ze Stanisławem Rembkiem głośnym w dwudziestolecie międzywojennym autorem powieści o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku oraz wspaniałej „Ballady o wzgardliwym wisielcu” należącej do moich ulubionych lektur. Był cudownym kompanem i ogromnie pechowym pisarzem. Stale podpadał cenzurze i żył w biedzie. Wznowienie powieści „W polu” u Giedoycia przeplacił długoletnim milczeniem Nie

To raczej sprawa przypadku, niż z naszej strony jakieś negatywne nastawienie do płci pięknej. Przeciwnie, zawsze nam licznie towarzyszyły różne ślicznotki. Z początku jako muzy, potem jako osoby piszące. Z talentem różnie bywa jak z urodzajem. Wtedy w latach 1956-58 wśród młodych twórców wyraźnie dominowały talenty męskie, a literaturą bardziej zajmowali się mężczyźni. Wybitne poetki ujawniły się nieco później. W samych początkach „Współczesności” jedynie wydały swoje debiuty prozatorskie Monika Kotowska i Magda Leja. Agnieszka Osiecka była zbliżona do marka Hłaski, który z kolei choć nam orzyjazy, szedł o własnych mocarnych siłach. Na szczęście nie istniała w tych latach literatura feministyczna w rodzaju twórczości Gretkowskiej. Osobiście nie jestem zwolennikiem sztucznego dzielenia literatury według płci, gdyż w sztuce liczy się talent, a nie płeć jako taka. W polskiej literaturze, poczynając od czasów pozytywizmu i Młodej Polski, pisarki zawsze odgrywały doniosłą rolę. W ogóle trudno sobie wyobrazić naszą literaturę XX wieku bez takich postaci jak Maria Jasnorzewska-Pawlikowska, Kazimiera Iłakowiczówna, Zofia Nałkowska, Helena Boguszeńska, Maria Kuncewiczowa, Zofia Kossak, Zofia Romanowiczowa, Danuta Mostwin i, oczywiście, nasza znakomita noblistka Wisława Szymborska. Ale jak powiedziałem, w pierwszym okresie „Współczesności” pojawili się głównie ciekawi poeci i prozaicy. Przypomnę, że na łamach naszego pisma od pierwszych już numerów drukowały swoje wiersze Ludmiła Mariańska, Maria Szypowska, Halina Poświatowska, Barbara Sadowska (tak!), Małgorzata Hillar, publikowała swoje przekłady wybitna tłumaczka Jadwiga Kułczanka, a zatem o jakimś uprzedzeniu do kobiet i dyskryminacji nie mogło być mowy. Na nasze wieczory zawsze przychodziły chętnie różne ślicznotki. Kiedyś z Jurkiem Czajkowskim podczas naszego redakcyjnego pobytu w Krakowie do siedziby ZLP na Krupniczej zaprosiliśmy cały rocznik studentek prawa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystkie przyszły ! Obecnie coraz częściej główny ton naszej literatury nadają panie, np. Katarzyna Grochola czy Dorota Masłowska. W konkursach literackich, w których jestem jurorem – występują niemal same poetki. Być może młode autorki wierszy i powieściopisarki potrafią lepiej dostosować się do naszych czasów, niż raczej z reguły bardziej zachowawczy mężczyźni-literaci.

Kogo najlepiej Pan pamięta, jakie wydarzenie?

Po kilkudziesięciu latach, jakie upłynęły od tamtych dni, zacierają się twarze, rysy moich kolegów i przyjaciół, ale jest kilka osób, które na zawsze zapadły mi w pamięć. Do nich należy potężnej postury, były bokser, Andrzej Brycht bezsprzecznie jeden z największych talentów prozatorskich w naszej powojennej literaturze. Wielki zarazem rozrabiaka, będący stale w różnych opresjach życiowych z powodu swoich licznych romansów i bijatyk. Pamiętam, jak ten rodowity warszawiak z Powiśla (po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Łodzi) a nie chłopak z Bałut, jak pisano, mówił z szelmowskim błyskiem w oku „Zobaczysz, Zbyszek, będę większy niż Hłasko”, a w czasie pewnego swojego wieczoru poetyckiego w „Krokodylu” udawadniał pięściami jakiemuś osobnikowi, że jego poezja jest zrozumiała i powinna się podobać publiczności. Brychta zapamiętałem jeszcze z jednego powodu. To ja namówiłem go do współpracy z nami i drukowałem jego pierwsze opowiadania: „Balbinę”, „Blit”, „Cygana”, „Dom bez klamek”. Brycht przyjaźnił się z mikroskopijnym Hindusem, Vaurgise.

językiem Ezopowym. Czasem też Cenzura patrzyła na naszą pisaninę przez palce. Przecież ostatecznie dobrowolnie się rozwiązali. Gomułka nasłala swą ekipę, znacznie srozsza niż uprzednia,

Co było najfajniejsze?

Najfajniejszy z pewnością był niepowtarzalny klimat zbiorowej przygody i niezwykle silnie wtedy przeżywanej fascynacji literaturą. Łączyła nas wspólna pasja i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do środowiska ludzi z sobą zaprzyjaźnionych, dokonana z własnego wyboru. Cieszyliśmy się swoją młodością. Tym, że robimy to, co sprawia nam największą satysfakcję. Literatura była dla nas, dorastających w sztywnych okowach obyczajowych i politycznych swoistym duchowym i psychocznym azylem. Razem czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Redakcja, knajpa, kawiarnia w większości zastępowała nam dom rodzinny. Tak jak pisał Sliwonik w swej świetnej książce „Portrety z bufetem we tle”, kłociliśmy się o wszystko tylko nie o pieniądze. Mimo ustawicznych sporów, przeważnie o linie i jakość pisma, łączyła nas szczerą przyjaźń. Nie było między nami zazdrości i intryg.

Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że byliśmy ostatnią cyganerią XX wieku. Stale spotykaliśmy się na szlaku Nowy Świat – Krakowskie przedmieście – Rynek Starego Miasta – jedynym miejscu Warszawy już powstałym z ruin. Wspólnie redagowaliśmy teksty, czytaliśmy sobie świeże wiersze i opowiadania, wymyślaliśmy nowe akcje. Hucznie, przeważnie w „Kameralnej”, „Manekinie” i w winiarni Fukiera – świętowaliśmy suto zakrapiając alkoholem – sukcesy, często przy tym wdając się w burzliwe spory i bijatyki z przypadkowymi osobami mającymi niepochlebne zdanie o naszej twórczości. Zgola czymś wyjątkowym i niepowtarzalnym były wieczory poetyckie w „Kamiennych Schodkach” i „Krokodylu” gromadzące tłumy publiczności, gdyż w tym okresie panował jeszcze kult artysty, poety jako „inżyniera dusz ludzkich” i dlatego niejedno uchodziło nam na sucho. Oczywiście, pod warunkiem, że nie podpadło się czymś politycznie. Wystarczy poczytać sobie „Pięknych dwudziestoletnich” Hłaski, żeby wyobrazić sobie atmosferę tych czasów. Po wielu latach, jakie minęły od tamtych wydarzeń, najbardziej utrwaliły mi się w pamięci właśnie owe wieczory poetyckie na Starym Mieście, biesiady przy winie w winiarni Fukiera oraz nocne eskapady dorożką pustymi ulicami jakby wymarłej stolicy.

Pamiętajmy, że w tamtych czasach Warszawa była miastem zamkniętym dla rodzimych przybyszów nie posiadających zameldowania, i nawet nie marzyło się nam o zagranicznych podróżach, a zatem taka zabawa i przebywanie we własnym gronie właśnie stanowiło namiastkę wolności. Czymś niezwykle było grupa Hindusów, przyjaciół Leszka, która się nas trzymała. Na czele ich stali Kedar Nath, wybitny pisarz, autor nagrodzonej w jego ojczyźnie książki „Return to India” i Dr George Vaurgise, który stał się znanym ekonomistą i politykiem socjalistą w rodzinnym stanie Kerala. Obaj ci Hindusi mówili płynnie po polsku. Kedar nawet pisał w naszym języku. Sonny został politykiem (faszystowskim!) i wybitnym prawnikiem. Wszyscy trzej z mniejszym lub większym szczęściem, poženili się z Polkami.

Jak tłumaczyć brak kobiet mysogenia? Czy kobiety potrafią pisać? Naprawdę nie było w grupie żadnych slicznotek?

Szczególnie wiersze pisane małymi literami, przeważnie bez kropek i przecinków, a przede wszystkim pozbawione rymu, budziły u wielu czytelników i miłośników akademickiej poprawności święty gniew i oburzenie. Pomysł małych liter i nowatorstwo graficzne były zasługą Andrzeja Korczaka. Małe litery były stosowane także w tytułach. On też wprowadził rzecz wtedy niesłychana – reklamy! Szkoda, że było ich niezbyt wiele. Szymanski proponował reformę ortografii, ale Zdzisław Pietrzak, który miał to firmować, odmówił. Było to zanim ja się dołączyłem do Grupy. Z perspektywy czasu jest jasnym, że Pietrzak miał rację. Reforma ortografii choć potrzebna i rozsądna, by nas osmieszyła. Nietraktowano by nas poważnie i tak zarzucano nam niechlujstwo i nieuctwo. Oburzał się szczerze na nas Antoni Słonimski, wypominając moim kolegom poetom w ich wierszach „brak rymu i sensu”. Był to czas wybitnych talentów w literaturze, zwłaszcza w poezji. Z poetów tej generacji zawsze bliscy pozostaną mi Andrzej Bursa, Roman Śliwonik, Stanisław Grochowiak, a z prozaików Andrzej Brycht, Jerzy Krzysztoń i Marek Nowakowski. Szymanski stał się częścią literatury anglosaskiej.

Kto był głównym wrogiem, przyjacielem?

Co przeszkadzało wrogom?

Mielismy zawsze wokół siebie „Życzliwych”. Którzy urabiali o nas różne dziwaczne opinie. Wynikało to głównie z tak zwanej bezinteresownej życzliwości, czyli głupoty i wszechpolskiej zazdrości zawsze utrudniającej wszelkie społecznikowskie działania – oraz zapewne głównie ze złości władz, że nie daliśmy się okiełznać jak nasi poprzednicy „pryszczaci”, wyróżniający się swoją wyjątkową uległością i serwilizmem (Mandalian, Gaworski, Dąbrowski, Woroszyński).

Co było główną trudnością (cenzura, przydział papieru, zakaz pisania o polityce)?

Myszę, że w początkowym okresie wydawania pisma najbardziej odczuwana przez nas przeszkodą był stały brak papieru, na który należało mieć oficjalne pozwolenie i pieniądze. Zatem wszystko było stale prowizorką. Zmuszało to nas do pewnej pokory i na przekór samym sobie do płaszczenia się przed kolejnymi mecenasami. Szymanski zrezygnował by zachować maksimum swobody. Narzucone strony jaskrawo się różniły od tych naszych. Były niejako obcym ciałem. Z cenzurą po kilku spektakularnych wpadkach nauczyliśmy się dawać sobie radę. W każdym razie nie doprowadzać do drastycznych konfliktów. Mieć w zapasie jakieś wiarygodne usprawiedliwienie, na zarzuty niepraworządności. Ba, nieraz Cenzura dodawała nam niechcący pewnego rozgłosu, gdy interweniowała i coś nam skreśliła. Szczególnie chodziliśmy dumni, kiedy pisała o tym zagraniczna prasa lub mówiła o nas Wolna Europa. Tylko Szymanski się złościł, bo on ostatecznie za to odpowiadał. Nie zawsze miał wyczucie co wolno, a co nie. Tak było w przypadku wiersza Śliwonika „Węgrom”, który był wydrukowany na pierwszej stronie. Tak stało się z moim artykułem o Nałkowskiej, który – mało kto wie – w pierwszej swojej wersji spowodował, że część nakładu czwartego numeru poszła na przymiał. Dopiero ukazał się w wersji mocno okrojonej i w zapisie ZSSR a nie Sowiety – jak to było pierwotnie w moim tekście. Z czasem oswoiliśmy się z cenzurą i staraliśmy się ją jakoś przechrzyć, w poezji posługując się wielką metaforą, a w publicystyce

chaotyczny i wybiórczy o to wszystko, co do tej pory było zabronione i o czym nie wolno było pisać. Pamiętajmy, że istniały w tym czasie, zarówno w historii jak i w literaturze, liczne „białe plamy”. Przemilczana była twórczość religijna, patriotyczna, emigracyjna, nowatorska. Na tej długiej liście autorów zakazanych bądź przemilczanych znajdowali się nie tylko Miłosz, Józef Mackiewicz czy Herling-Grudziński, ale Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Lechoń, Wierzyński, Zofia Kossak jako autorka „Pożogi”, czy Baczyński. Naszym zawołaniem bojowym i hasłem wywoławczym była nowoczesność (współczesność), gdyż właśnie w świadomości społecznej literatura polska i światowa pozostawała wciąż okrojona do wybranych nurtów, zjawisk artystycznych i dozwolonych pisarzy. Byliśmy przez długie lata zarówno odcięci od polskiej tradycji patriotycznej i awangardowej jak i od XX-wiecznej literatury światowej i dlatego staraliśmy się ze swoją twórczością tę ciągłość tradycji i więź jakoś przywrócić. Stąd pisaliśmy o Dostojewskim – wtedy pisarzu jeszcze zakazanym, Kafce, Eliocie, Froscie, Poundzie, Prouście, Faulknerze, Hemingweyu, Caldwellu, Millerze. Szymanski nawiązał kontakt z Ezra Pound, który w tym czasie odsiadywał swą karę więzienną w szpitalu dla obłąkanych. Andrzej Korczak postacią niezmiernie ciekawą i oryginalną choć dziś prawie zapomnianą z kolei skontaktował nas z Normanem Mailerem. Tłumaczył też z Hiszpańskiego i ...Wietnamskiego.

Pisarze dziś standardowi na zachodzie, u nas byli praktycznie nieznani. Chcieliśmy też drukować Henry Millera. Peszło to przez cenzurę, ale w ostatniej chwili cenzorka na dyżurze w drukarni wstrzymała druk Numer wrócił na ulice Mysia i tym razem Miller został zlikwidowany. Przy sposobności ofiarą padło parę rysunków Bohdana Slezkina ilustrujących satyrę Kwiryna na „Zegnaj smutku”. Tak to moralność socjalistyczna nie różniła się od moralności drobnoburżuazyjnej. Drukowaliśmy na naszych łamach wiersze najwybitniejszych współczesnych poetów amerykańskich, hiszpańskojęzycznych i francuskich, pragnąc tym samym przełamać nasze zapóźnienie cywilizacyjne. Osobiście pisałem o markizie de Sade, o młodej Nałkowskiej, o literaturze fantastycznej. Słowem o tym, co było dotąd przemilczane lub zabronione.

We „Współczesności” zamieszczaliśmy utwory różnych poetów i prozaików. Ceniliśmy sobie zwłaszcza wiersze i opowiadania, które uznawaliśmy za nowatorskie, oryginalne, odkłamujące w jakiś sposób naszą rzeczywistość, odbiegające od dotychczasowej sztampy socrealizmu i okolicznościowych panegiryków sławiących władzę i następnie kolejne rocznice rewolucji październikowej.

W poezji przeważały wiersze Ośnińskiego, Czajkowskiego, Bolka, Śliwonika, Bursy, Iredyńskiego, Białoszewskiego, Stachury, Brylla, Herberta, Poświatowskiej, Grochowiaka. W prozie opowiadania Szymańskiego, Brychta, Krzysztonia, Marka Nowakowskiego, Wojdowskiego, Władysława Terleckiego, Odojewskiego. Nowakowski, Brycht, Szymanski, Grochowiak i „outsider” Hlasko reprezentowali w prozie nasze założenia programowe. Łatwiejsze do zdefiniowania niż w poezji. Chociaż Mariusz Tchorek reprezentował styl Kafki. Dzisiaj ten styl reprezentuje Marek Nowakowski. Hlasko jak wiem zmarł, czy też popełnił samobójstwo w Niemczech. Brycht po okresie popularności „wybrał wolność” i za iast zdobył nagrodę Nobla, został zapomniany i zniweczony przez cenzurę. Szymanski nadal pisze jak Hlasko czy Nowakowski, ale twórczość jego pozostaje nieznana w Polsce.

Zadebiutowałem w trzecim numerze wspólnie moim przyjacielem i kolegą szkolnym z gimnazjum Wojciecha Górskiego artykułem „Edgar Allen sfalszowany” stanowiącym polemikę z Januszem Wilhelmim ówczesną szarą eminencją partii, autorem wybranych pism wibitnego poety i prozaika amerykańskiego. Z Jerzym Łojkiem przyszłym historykiem, autorem „Dziejów pięknej Bitynki”, „Agresji 17 września 1939 roku” i „Dziejów sprawy Katynia” połączyła nas więzią przyjaźni nie tylko wspólna pasja pisarska, ale wyjątkowa wspólnota duchowa wynikająca z naszych osobistych losów. Obaj byliśmy sierotami wojennymi, ofiarami represji stalinowskich. Jerzy był synem majora dr. Leopolda Łojka zamordowanego w Katyniu. Mój dziadek Franciszek Irzyk – wiceprezydent Lwowa i ojciec Karol – zostali rozstrzelani przez bolszewików... Wkrótce zostałem redaktorem (od czwartego numeru w kolegium redakcyjnym) i kierownikiem działu krytyki literackiej, autorem wielu publikacji drukowanych na łamach naszego pisma, jak np. „Szarganie świętości” – rzecz o twórczości młodej Nałkowskiej czy szeroko omawianego szkicu o de Sade. We „Współczesności” pracowałem do końca 1959 roku. Zostałem wtedy zwolniony (nigdy nie należałem do ZMP, co poczytuję sobie za powód do dumy) z częścią zespołu – między innymi z Ernestem Bryllem – jako rzekomo członek jakiejś bliżej nieokreślonej „frakcji inteligenckiej”.

Od 1960 roku „Współczesność” stała się integralną częścią życia kulturalnego kontrolowanego w pełni przez władzę, a jej ostatnim redaktorem naczelnym został Jerzy Putrament [sic!] przyszły założyciel „Literatury”. Ale już wtedy byłem w „Kierunkach” życzliwie przyszyty przez Mikołaja Rostworowskiego i Ankę Kowalską. Odtąd już tylko ze smutkiem mogłem się przyglądać pewnej perspektywy dalszym przemianom we „Współczesności”. Obserwować jak nasze młodzieńcze marzenia o wydawaniu wolnego od dyktatu partii pisma młodych całkowicie rozmijają się z rzeczywistością. I tak przez wiele lat byłem w luksusowej sytuacji, znajdując swoisty azyl w Pax-ie, w środowisku pisarzy katolickich, gdzie wolno było pisać o Baczyńskim i Gajcym, i gdzie znalazłem przyjaciół w osobach Zdzisława Umińskiego, Józefa Szczepki – autora pierwszej książki o Janie Pawle II „Droga do Rzymu” i poety Zdzisława Łączkowskiego. Jako wieloletni redaktor w „Kierunkach” i w Instytucie Wydawniczym „PAX” utrzymywałem stały kontakt z Zofią Kossak, Melchiorzem Wańkowiczem, Władysławem Grabskim, Janem Dobraczyńskim, Stanisławem Rembikiem, Aleksandrem Rogalskim, Alfredem Łaszowskim, Zygmuntem Lichniakiem, Kazimierzem Truchanowskim innymi wspaniałymi twórcami. Zatem po przymusowym odejściu ze „Współczesności” przytrafiło mi się jeszcze niezgorzej.

Jakie wiersze Współczesności były publikowane? Czy publikowanie wymagało odwagi, czy już wtedy można było to zrobić?

W tamtych czasach byłem początkującym krytykiem literackim, typowym młodym gniewnym zbuntowanym przeciwko panującemu w literaturze realizmowi socjalistycznemu i twórcom różnych produkcyjniaków autorstwa polskich i radzieckich pisarzy. Do których lektury przymuszano nas w szkole i na studiach. Wraz z moimi kolegami z pierwszego zespołu redakcyjnego utożsamianego właśnie z grupą literacką „Współczesność” w sposób spontaniczny występowaliśmy przeciwko panującemu zakłamaniu i zafałszowaniu w świecie literatury oraz upominaliśmy się w sposób może

Jak powstała Grupa? Jakże są Pana związki ze Współczesnością?

Do grupy literackiej „Współczesność” dołączyłem kilka miesięcy po jej formalnym powstaniu, dopiero jak ukazało się pismo o tej nazwie. O okolicznościach założenia Grupy na Woli w mieszkaniu Alicji Wankracowej wiem tylko z opowiadań Jerzego Siewierskiego i Romana Śliwonika. Wtedy była to pierwsza tego rodzaju grupa literacka, jaka powstała w Polsce po wojnie. Nawiązywała ona do tradycji literackich lat trzydziestych, kiedy istniały u nas „Skamander”, „Zagary” czy „Przedmieście”. Po powstaniu naszej grupy powstała moda na podobne inicjatywy w całym kraju (jak np. Poznański „Swantewit” czy krakowska „Muszyna”). Młodym literatom, poetom i prozaikom, o przeważnie nieznanych nazwiskach łatwiej było wspólnie zaistnieć w życiu artystycznym niż osobno. Formalizacja w owczesnych warunkach polityczno-biurokratycznych była niezbędna.

Zespół Grupy Literackiej „Współczesność”, gdy do niego dołączyłem, był stosunkowo nieliczny i w zasadzie pokrywał się ze składem redakcji. Należeli do niej m.in. Leszek Szymański, (inicjator) Jerzy Siewierski, Roman Śliwonik, Eugeniusz Kabac, Jerzy Czajkowski, Andrzej Chaciński, Marian Osniałowski, Zdzisław Jerzy Bolek, Andrzej Korczak, Andrzej Delinikajtis, Mirosław Malcharek. W większości adepci literatury zrzeszeni w Kole Młodych przy Z.L.P.

Mniej więcej do połowy 1958 roku członkowie Grupy pozostawali głównie redaktorami „Współczesności”. Potem skład osobowy dwutygodnika na skutek częstych interwencji i nacisków różnych czynników zewnętrznych podlegał stałym zmianom. Powstanie grupy niejako zainspirowało jej założycieli do powołania pisma młodych i również w tym sensie stanowiło przełom w naszym życiu literackim.

Moje związki z pismem datują się od listopada 1956 roku. Pełniłem w nim obowiązki redaktora i publicysty, przynosząc „Współczesności” pewien rozgłos swoimi pamfletami i artykułami. Byłem wówczas studentem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim i uczęszczałem na seminarium Jana Kotta. Marzyła mi się kariera naukowa.

„Współczesność” całkowicie odmieniła moje plany życiowe i przyczyniła się do tego, że związałem się na stałe ze środowiskiem młodoliterackim i dziennikarskim. Bezpośrednio do pracy nakłonił mnie mój serdeczny kolega Jerzy Siewierski, redaktor w „Nowych Książkach”, ceniony później autor powieści o tematyce historycznej i kryminalnej. We „Współczesności” w jej bohaterskim okresie panowała duża niezależność i swoboda twórcza, - pismo reprezentowało tworców o różnych metodach i ideach artystycznych (Choć nasi czterej czołowi prozaicy Nowakowski, Brycht, Szymanski i Grochowiak [paral sie wtđy rowniez proza] pisali w pokrewnym duchu) - a także wspierała atmosfera - pomimo ciągle ponawianych nacisków politycznych ze strony władz domagających się od nas jasnej deklaracji ideowej.

dni, a zwłaszcza bardzo natrętni, lub nam na nich specjalnie zależało, otrzymywali czasami honoraria nie przekraczające stu pięćdziesięciu złotych. Członkowie redakcji nigdy. Pewnego razu z przychodów, jakie przyniosła osobista rozprzedaż numerów „Współczesności”, Ośniński kupił buty, gdyż jedyne, jakie posiadał, właśnie się rozleciały.

Wspomniałem o osobistej rozprzedaży numerów. Otóż przez pierwszy rok istnienia pisma, początkowo całość, a potem sporą część nakładu kolejnych numerów sprzedawaliśmy sami. Początkowo dlatego, że Ruch nie chciał podjąć się kolportażu, potem po to, ażeby uzyskać trochę „żywej” gotówki niezbędnej dla zadatkowania kosztów druku (nigdy, aż do przejścia pisma przez profesjonalnego wydawcę, nie wybrnęliśmy jednak z lawinowo narastających długów wobec drukarni) oraz organizowania najrozmaitszych imprez publicznych (niezapomniane wieczory poezji w „Kamiennych Schodkach”).

Kolportaż wyglądał tak: każdy z nas brał pod pachę grubą plik egzemplarzy „Współczesności” i ruszał „w miasto”. Sprzedawaliśmy na ulicach, przed księgarniami i w kawiarniach. Pamiętam, że w kawiarni „Nowy Świat” sprzedałem za dwa złote trzeci numer „Współczesności” ówczesnemu ministrowi kultury Karolowi Kurylukowi. Zawsze też demonstracyjnie usiłowaliśmy sprzedawać kolejne numery w kawiarni Związku Literatów,

co doprowadziło do furi niektórych bywalców tego lokalu, zwłaszcza Stanisława Dygata. W tej kawiarni nikt nigdy żadnego numeru „Współczesności” nie kupił, za to egzemplarze pozostawiane „w komisie” u szatniarki bywały bez reszty rozkupywane. „Starzy” czytali nas, tylko uważali, że nie wypada im się do tego przyznać.

Prowadząc sprzedaż uliczną spotykaliśmy się z zainteresowaniem jednych, obojętnością innych i wreszcie z obelgami niektórych. Zdarzało się, że wyzywano nas od natrętnych żebraków i zakłócających spokój publiczny chuliganów. Proszę mi wierzyć, ten wspomniany z łezką rozrzewnienia przez wielu uczestników „kolportaż osobisty” był w rzeczywistości ciężką i najczęściej mało przyjemną pracą.

Od tamtych czasów minęło lat trzydzieści. Aż trudno uwierzyć, że aż tyle, i że tak wielu z nas już nie ma. Ci, którzy pozostali, mają własną wizję tego, w czym uczestniczyli. I chyba podobnie jak ja czytając teraz uczzone rozprawki o dziejach „Współczesności” czasem się uśmiechają. Najczęściej (choć nie zawsze) są to opracowania sumienne, oparte na drobniuszkiej dokumentacji i w sumie oddające prawdę o tym, co się zdarzyło przed trzydziestu laty. My jednak pamiętamy to trochę inaczej. Nic dziwnego. Dla wielu z nas „Współczesność” była najpiękniejszą przygodą życia. Wspaniałą przygodą, w której już nigdy uczestniczyć nie będziemy.

Krystyna Janicka: Surrealizm. Indeks A. Goguł. Wyd. 3. — Warszawa 1985 WAiF. 160, s. 252, ilustr., egz. 100 tys., tekst, zł 690 75.036.7

Wznowienie, w nowej serii prezentacji kierunków sztuki współczesnej, książki Krystyny Janickiej „Surrealizm” w nakładzie stu tysięcy, to szansa szerokiej popularności tego jednego z najważniejszych nurtów dwudziestowiecznej plastyki, który jednocześnie odegrał wielką rolę także w poezji, filmie i teatrze. Zwięzłe i przejrzyste napisana książka Janickiej (bardzo dobre reprodukcje kolorowe, druk w Jugosławii), pokazuje dzieje powstania i założenia ideowej grupy surrealistycznych twórców na całym świecie oraz przynosi omówienie wizji i obsesji malarstwa surrealistów, głównych twórców tego nurtu, takich jak Giorgio de Chirico, Yves Tanguy, Salvatore Dali, Marc Ernst, Paul Delvaux, Jean Arp, Joan Miró, Francis Picabia, Man Ray, Marcel Duchamp. Autorka książki omawia również

przedmioty i wystawy surrealistyczne, poświęca odrębny rozdział dziejom surrealizmu w Polsce, daje też noty biograficzne najbardziej znanych twórców. Zaś w rozdziale „Znaczenie surrealizmu” pisze trafnie, że „to, co może uchodzić za jego największą i bezsprzeczną zasługę, to istotne poszerzenie granic naszej wrażliwości estetycznej, która dzięki jego sztuce stała się bardziej pojemna i elastyczna, zdolna czerpać bodźce do pozytywnych doznań estetycznych z tych dzieł i zjawisk, które przed pojawieniem się nadrealizmu były „estetycznie martwe”. Rzeczywiście, to surrealizm odkrył wartość i piękno sztuki prymitywnej i naiwnej, nieskażoną wpływami sztuki dziecka, nauczył też — na przekór upodobaniom masowego odbiorcy do sztuki „lekkiej, łatwej i przyjemnej” — „sztytować z ograniczeń i gnuśności naszego rozumu, czerpać satysfakcję z dzieł ezoterycznych, symbolicznych i tajemniczych (...) wyostrażając wrażliwość powściągniętą, zarazem, iż nie należy kapitulować przed irracjonalizmem” (jot)

Zarzucono „Współczesności” prymitywizm, chamstwo, lubowanie się w literackim skandalu, brak szacunku dla wieku i urzędu oraz wszystkie pozostałe grzechy główne.

Zauważyć trzeba jednak, że zaczepna, skandalizująca postawa „Współczesności” była w dużej mierze wyrazem postaw obronnych, które się wśród nas ukształtowały. Proszę zwrócić uwagę, że w pierwszym numerze pisma prawie nie ma śladu owej późniejszej zaczepności i żaden z materiałów w nim zamieszczonych nie ma najmniejszego posmaku literackiego skandalu.

Skandalem, w odczuciu wielu osób, było jednak samo ukazanie się „Współczesności”. Sam fakt jej fizycznego istnienia wydał się niesłychaną obrazą dla tych, którzy także chcieli wydawać „własne” pisma literackie, a z racji swego wieku i dorobku czuli się do tego stokroć bardziej predestynowani od garstki nikomu nie znanych wyrostków. Podejrzewam, że za początkowym stosunkiem „starych” do „Współczesności” kryła się najzwyczajniejsza, brzydka zazdrość.

Ataki, z jakimi się spotkaliśmy, szybko doprowadziły do powstania w naszej redakcji atmosfery obłożonej twierdzy. A że byliśmy młodzi, dynamiczni, więc nic dziwnego, iż instynktownie (nikt się nad tym głośno nie zastanawiał) uznaliśmy atak za najskuteczniejszy sposób obrony i... zaczęło się!

Od drugiego numeru „Współczesności” poczynając i my zaczęliśmy wymierzać ciosy. Często zresztą na oślep... Celem wściekłych ataków stawali się nasi przeciwnicy, ale także (jakże często!) osoby zupełnie przypadkowe.

Obok Antoniego Słonimskiego ofiarami ataków stali się: niedawno wówczas zmarła Zofia Nalkowska, Ewa Szelburg-Zarembina, Józef Ozga-Michalski, Jan Dobraczyński, Włodzimierz Boruński i mnóstwo innych osób.

Zaczeplieni reagowali bardzo różnie. Niektórzy pieklili się i wdawali z nami w regularne „pyskówki”, inni pisali na nas donosy. Jeszcze inni zachowywali pagardliwe milczenie. Ktoś przepłacił atak na siebie ciężką chorobą... Skandal gonił skandal. Bardzo ładnie znalazł się Jan Dobraczyński. Napadnięty przez niżej podpisanego w sposób bardzo złośliwy, i co tu dużo mówić, brutalny, nadesłał obszerną, dowcipną i utrzymaną w kpiarsko-dobrotliwym tonie odpowiedź, którą lojalnie wydrukowaliśmy.

Skandalizująca działalność „Współczesności” wzmogła się, gdy do naszych szeregów dołączył Jan Zbigniew Słowicki. Z miejsca okazał się mistrzem morderczego literackiego pamfletu. Jego ciosy raniły naprawdę, raniły mocno, okrutnie i głęboko.



Jerzy Siewierski i Leszek Szymański

Przez pierwszy rok istnienia redakcja „Współczesności” mieściła się w prywatnym mieszkaniu jej redaktora naczelnego, ściślej — w niewielkim pokoju, w którym Leszek Szymański mieszkał z żoną. Był tam: tapczan, stół, kilka krzeseł, stolik z telefonem i szafa. Mieszkały tu też dwa psy, kot i oswojony gołąb. Jeden z psów miał tylko trzy nogi, ale za to ostre zęby i wredny charakter. Przez cały rok nie przyzwyczaił się do nas i od czasu do czasu gryzł po nogach redaktorów i interesantów. Teraz brzmi to zabawnie, ale wtedy, proszę mi wierzyć, wcale to tak zabawnie nie wyglądało... Chyba żaden z redaktorów nie uniknął bolesnego pokąsania. Kot stale usiłował upolować gołębia, który fruując swobodnie po pokoju paskudził na rozłożone korekty, maszynopisy oraz głowy zgromadzonych.

Pokój wypełniały kłęby papierosowego dymu. Stale ktoś wchodził i wychodził, co chwila kto się z kimś o coś kłócił. Najczęściej byli to Sliwonik i Bolek. Ci dwaj dyskutowali ze sobą najzażarciej. Wiedli nigdy nie kończące się spory o wszystko. Zwykle pierwszy Sliwonik tracił cierpliwość i grzmiał coraz głośniejsze i donośniejsze, Bolek przeciwnie, w miarę im bardziej się denerwował i zapalał, tym mówił ciszej i wolniej. Głosy sprzecających się mieszały się z beztroskimi wybuchami śmiechu. W kącie, na tapczanie przesiadywał Marianek Ośniałowski, cichy skupiony i jakby nieobecny. Miał smutne niebieskie oczy i nieśmiały, zatroskany uśmiech. Był od nas grubo starszy, ale wszyscy nazywali go Mariankiem. Z nim się nikt nigdy nie kłócił. Kłótnia z Mariankiem to było coś wręcz niewyobrażalnego...

Współczesnym młodym adeptom literackiego rzemiosła może się to wydać nieprawdopodobne, ale przez pierwszy rok istnienia „Współczesności” nikt nam ani grosza nie płacił. Autorzy z zewnątrz, jeżeli byli bardzo bie-



Ze wspomnień redaktora

Przopzyja, abym objął reakcję „Współczesności”, pojawiła się dość niespodziewanie. Zawadomila mnie o tym, jeżeli dobrze pamiętam, Zenia Macuzanka, z którą przyjaźniłem się od dawna, jeszcze od zjazdu młodych polonistów z końca lat czterdziestych. Było to późnym latem lub wczesną jesienią 1962 roku. Nie wiem, z jakich powodów opuściła „Współczesność” jej poprzedni redaktor, Stanisław Kuszewski, który jak się z nim w ławalni, przekazał mi skąpą teczkę z bieżącymi materiałami, scharakteryzował pokrótce zespół, zamiary na najbliższą przyszłość, to wszystko. Niewiele z tego wynikało. Musiałem sobie przede wszystkim sam odpowiedzieć na pytanie, jaka ma być moja rola w piśmie, które miało już za sobą parę lat burzliwego istnienia, nieco skandalu, trochę legendy, zdobyło rozgłos dobry i zły, uchodziło za główny organ polonistki debiutującego książkami od 1956 roku i znajdowało się teraz najprawdopodobniej na jakimś rozdrożu. Kariera pisma była dwuznaczna: stały z nim niewątpliwie osiągnięcia, wprowadził nowy ton w literaturze i publicystyce, ironiczny, gniewny i prowokacyjny na przemian, zaimponował swoisty etos młodych ludzi pragnących po doznanych rozczarowaniach spontanicznie przelknąć swój czas i dostroić się do niego na własnej zasadzie, z poczuciem dumy i siły, której towarzyszyła też w osobliwym sposób smuga niemożności zrealizowania się na miarę żywiołowych ambicji. Świadomością wspólnoty, ale też i brak wyraźnego ośrodka, wokół którego mogłaby się ona skryształizować. Nie mówię już o początkach

Wieloletni współpracownik „Niewiele dłużej zawiadywał piśmem Witold De-
mbski, o którym opowiadano mi, że miał dziwne obyczaje: znikał n-
wiele się w tych przerwach troszczyć o losy pisma. Lepiej mogłoby t-
zody odwrócić ci, którzy w nich uczestniczyli. O co innego mi ch-
o tę ciągłą prowizoryczność. W redakcji nie było już ani Siliwonki; ch-
Grochowska, ani Dąbrowskiego. Na pokoleniowej atmosferze ciążył
wnętrzne podziały, wzajemne pretensje, urażone ambicje. Nie miałem
ym dotychczas nie wspólnego. Sledziłem to, co działo się we „Współ-
ności”, z zewnątrz; dopiero od 1961 r., na propozycję Anki Bukow-
ej, zamieszczam na jej łamach recenzje poetyckie: z twórczość
zestęca, Drozdowskiego, Herberta, raczej jako przygodny gość ni-
ły współpracownik.

Byłem wtedy starszym asystentem w Seminarium Historii Literatury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Bilans moich doświadczeń faktycznych przedstawiał się skromnie: po przeniesieniu się z Krakowa do Warszawy w 1950 r. redagowałem dział kulturalny w tygodniku studentów „Po prostu” (jeden rok załedwie), potem, już w pierwszym roku studiów, przedwieństa, od jesieni 1954, wraz z Mieczysławem Kałlen Marinem i Marcinem Naczyńskim, który zdobył później rozgłos oryginalnymi programami telewizyjnymi — „Trybunę Uniwersytecką”, gdzie uwarzywaliśmy recenzjami kolejnym programom Studenckiego Teatru Satyryków i „Współczesności” Witolda Dąbrowskiego, Sławomira Kryśki, Anny Dąbrowskiej, Tadeusza Strumińskiego, Aleksandra Minkowskiego, Ryszarda Zengla (o gdańskim „Bin-Bonie”), „Trybuna” wychodziła do jesieni 1956, z czasem pod redakcją filozofa Jana Garwicza i polonisty Jana Detlefsa uczestnie odbyła się narada redakcyjna pism wydawanych przez niego, poparty przez naszą redakcję, i w związku z tym pismami: „Lutnia”, który utworzyli zresztą redakcyjni, stała się od tej chwili zespołem zwołanym do prowadzenia własnej polityki i gotowym do przyjęcia zań odpowiedzialności. Stanowiła działaniem składa legitymację swojej użyteczności i stara się, by odbiorcy mogli myśleć o gazecie w kategoriach indywidualnych, by widzieli zatem za zadrutowanymi kolumnami ludzkie zarze... Jest doprawdy coś żenującego w tym, jak niewiele aż do ostatnich czasów znaczyły uniwersyteckie w życiu duchowym i materialnym ich pomysły! Przy Klubie Krzywego Koła powstał z początkiem 1956 r. wydawany na powieciacu „Nowy Nurt”, rozwijający się w kierunku ogólnopolskiego pisma Klubów Inteligencji. Juliusz Garłeczki, który poznałem na zebraniach klubowych, wprowadził mnie do redakcji, gdzie zasiadali także przyszli współpracownicy „Współczesności”: Bryll, Kryśka, Jerzy Miłke. W pierwszym zeszycie przypominane zostały dwa lata swojej osoba przetrwał pomost jeszcze dalej, do „Drogi” i K.K. i K.K. z czasów okupacji, które mi przekazał. „Nowy Nurt” w numerze listopada 1956 zapowiadał powstanie „Współczesności”, młodzieżowego pisma literacko-społecznego, które firmowali Słiwonik i Szymański.

Po trzydziestu latach

Jerzy Siewierski

PRZEDSTAWIAMY WSPOMNIENIE O „WSPÓŁCZESNOŚCI” NAPISANE PRZEZ JEDNEGO Z JEJ ZAŁOŻYCIELI, A NASZEGO KOLEGĘ I DŁUGOLETNIEGO REDAKTORA „NOWYCH KSIĄZEK” — JERZEGO SIEWIERSKIEGO.

Gdy czytam uczone rozprawy o pokoleniu „Współczesności” i o dziejach pisma, od którego owe literackie pokolenie miało swe wzięcie, nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Jakże to wszystko napuszone, przemądre i jakże dalekie od rzeczywistości sprzed lat trzydziestu...

W październiku roku 1956 było nas czterech. Wymienię nazwiska w kolejności alfabetycznej: Andrzej Chąciński, Jerzy Siewierski, Leszek Szymański i Roman Sliwonik. To my podpisaliśmy pierwszy numer „Współczesności”. Zadnemu z nas, przysięgam, ani przez moment przez myśl nie przeszło, że nasza stworzona i istniejąca „na wariackich papierach” najzupełniej prywatna inicjatywa wydawnicza wpisze się na trwałe w krajobraz polskiej kultury. Cele nasze były bardzo skromne. Chcieliśmy po prostu stworzyć łamy, na których będziemy mogli zamieszczać własne utwory. I to wszystko.

Oprócz naszej czwórki jeszcze dwie osoby odegrały ogromną rolę w powstaniu „Współczesności”. Nazwisko Jerzego Zdzisława Boleka tylko dlatego nie widnieje w „stopce” pierwszego numeru, że gdzieś na tydzień przed rozpoczęciem druku Bolek pokłócił się z Szymańskim. Obrzął się i kazał swe nazwisko ze „stopki” wyciąć. Pogodzili się zresztą już po kilku dniach i Bolek wziął udział w rozprzedaży pierwszego numeru. Nie ma też w „stopce” Mariana Ośniałowskiego. Tego braku wyjaśnić nie umiem, ale pewny jestem, że Marian przez cały czas był z nami. W kilka dni po ukazaniu się numeru pierwszego do naszej szóstki dołączyli inni i zaczęła się wspaniała, młodzieńcza zabawa, którą każdy, kto w niej uczestniczył, pamiętać będzie aż do śmierci.

Napisałem „zabawa” i z tego się nie wycofuję. Proszę mi uwierzyć, że redagowanie „Współczesności” nie miało wiele wspólnego z mozolną, mrówczą „pracą redakcyjną”. Przez pierwsze dwa lata przypominało raczej nieustanny dynamiczny happening, w czasie którego wszystko mogło się wydarzyć... I zdarzało się!

Wydarzenia goniły wydarzenia, pograżaliśmy się bez reszty w gorączkową atmosferę niezwyklej przygody... Wewnątrz redakcji wciąż wrzało. Trwała permanentna dyskusja i kłótnia (spierano się dosłownie o wszystko), prawie co dnia rodziły się nowe niezwykle pomysły i inicjatywy. Codziennie ktoś się obrażał i z hukiem „składał dymisję”, a ktoś inny się przeproszał i witany radośnie wracał na redakcji łono. Wszystkie te wewnętrzne secesyje i fluktuacje prześledzić można studiując „stopki” redakcyjne w kolejnych numerach „Współczesności”. Każda zawiera trochę inny zestaw nazwisk. Niektóre z żelazną konsekwencją pojawiają się tylko w co drugim numerze. To nazwiska najbardziej obraźliwych. Wszystkie te spory prowadzone zwykle w niesłychanie dramatycznej tonacji (co nie przeszkadzało, że na co dzień panowała w redakcji atmosfera raczej pogodna) były naszą sprawą ściśle wewnętrzną. Na zewnątrz pozostawaliśmy solidarni.

Solidarność ta była stymulowana przede wszystkim przez wściekłe ataki, z jakimi „Współczesność” spotkała się już z chwilą swego powstania. Przeważająca część „starego” środowiska literackiego powitała narodzin „Współczesności” z ogromną niechęcią. Były oczywiście wyjątki. Jan Wyka, Anatol Stern, Kazimiera Iłakowiczówna, Stanisław Helsztyński, Jerzy Putrament (nie wiedzieć czemu zaliczany obecnie przez uczonych komentatorów dziejów pisma do naszych człotowych przeciwników) i kilka innych osób ustosunkowało się do nas przychylnie, ale ogromna większość na czele z popaździernikowym prezesem ZLP Antonim Słonimskim bardzo nas nie lubiła.

Jawnie manifestowane lekceważenie, zjadliwe złośliwości, obelgi nawet, których nam nie szczędzono, były początkowo dla nas czymś zupełnie niezrozumiałym i zaskakującym.

Jerzy Stanisław Czajkowski

dziesiątych, stalinowskich...), ta nasza przygoda intelektualna, literacka, teatralna, plastyczna, muzyczno-kompozytorska (Olkuśnik, Fotek, Penhersi, Pruszyński, Konowalski, Wilma, Wysocki) poczęła rodzić na nas naгонiki. Polityczne (ukryte Putramenta, Starewicz, Lenarta, T. Strumfka), prasowe, paszkwilanckie. Sami też publikowaliśmy artykuły — „paszkwile”. Celowali w nich najbardziej Zbyszek Irzyk i Jan Zbigniew Stojewski.

Wreszcie dobrało się do nas Biuro Prasy. Zabawa w literaturę zaczynała się kończyć.

Miało wkrótce „wybuchnąć” pokolenie „Współczesności”, już przez duże „W”, ale bez członków Zespołu Grupy Literackiej „Współczesność”. Nasz dwutygodnik rychło mieli przejąć rutyniarze dziennikarszczyzny... Na dobitkę Leszek Szymański utknął wraz z azyłem i żoną w Indiach. A za rok miał wrócić z prozą o Indiach.

Po moim debiucie zagranicznym dziwięcioma wierszami na pierwszej kolumnie londyńskich „Wiadomości Literackich” u Mieczysława Grydzewskiego z piśmem od naczelnego redaktora „Wiadomości” walę do dyrektora Biura Prasowo-Wydawniczego „Ruch” p. Ostrowskiego, by mi dał delegację na festiwal do Awignonu. Naturalnie, z dumą pokazałem pismo Grydzewskiego o pokryciu kosztów mego pobytu we Francji funtami honorarium za moje wiersze. Za parę tygodni otrzymałem wypowiedzenie z pracy w redakcji „Współczesności”.

Nie da się ukryć. Miałem zagrania zaiste „współczesnościowe”. Zorganizowałem Państwowe Wydawnictwo „Współczesność” (dyrektor „Ruchu” Herbst i naczelnny redaktor p. Kornatowska podpisali na to zgodę) opublikowałem sam sobie tomik poetycki *Zadymione pejzaże*, podpisując się żem redaktor swojego tomiku (tak kazał prezes Grupy, Leszek Szymański. Byłem jego „prawą ręką” i wszystkie jego rozkazy spełniałem bez zmruczenia powieki!).

Sam sobie przyznałem nagrodę (symboliczną i fikcyjną we „Współczesności”), koleddy ją w Grupie „W” zatwierdzili, a nawet Irzyk ułożył i podał do druku jakies podziękowanie czy uznanie dla mnie z tej okazji...

Pora kończyć te wspominki. Zabawa we „Współczesność” dawno się skończyła. Pozostało później nudne czasopisemko, które ukradło nam tytuł, przywłaszczyło go sobie. Nam pozostała satysfakcja.*

JERZY STANISŁAW CZAJKOWSKI

* Nikt tu niczego nikomu nie ukradł. Autor zapomina, że większość osób związanych z „prehistorycznym” czasem „Współczesności” uczestniczyło i w „historycznym” czasie dwutygodnika. (dop. red.)

Polonez czyli historyczna scen żywcem z arrasów wzięta

Śniły mi się postaci wydłubane z wawelskich arrasów przewiązane paradnie jakby na maskaradę lub na zapusty, powracające z tych lasów bez mchów gdzie gałęzie bezlistne wysmagane radośnie kuśtykając lubo na kłęczkach powracają po łaskę białą

*

cicho

zaraz zapadnie milczenie na twoich ustach, w twoich oczach dotknie nas, obejmie — my także niebios będziemy dotykać!

cicho, uspokój się — o już spadła pierwsza gwiazda

— przerażone nagle przestały świecić i szumieć

trzeba unieść krwiobieg gwiazd znać i

rozumieć

cicho, nie budźmy

Kartezjusza!

*

pocerujesz arrasy?

Megalopolis

Ignacemu Gogolewskiemu

wiatr kolysał cienie gniazda rozrzucone? — ależ inni tu będą

i dokładać do... wydawania dwutygodnika literackiego Zespołu Grupy Literackiej „Współczesność”.

Klub, kawiarnia literacko-artystyczna „Manekin” na warszawskiej Starówce to była wtedy Mekka nas wszystkich, którzyśmy w sztuce, w literaturze zwiertzyli interes... metafizyczny, mistyczny, „spirytystyczny” kontakt ze światem ducha, z życiem duchowym narodu.

Ktoś wpadł na pomysł, że przekształceniu grupy i pisma pomogą wieczorki autorskie, organizowane gdzie tylko to jest możliwe, jeżdżąc gdzie tylko się dało. Za honoraria i bez. Za zwrotem kosztów podróży i nie. Nikt z tego nie robił problemu, nawet jeśli (jak A. Brycht) musiał wracać pociągami „na gapę”.

Po każdym spotkaniu autorskim odbywały się dyskusje. Nieraz do późnych godzin nocnych, jak w augustowskim Klubie Kultury, który z poświęceniem i wspaniale prowadził pani Laryssa Kuźmicz — piękność nad pięknosciami Starych współpracowników „Współczesności” — Hindus Kedar Nath podczas wieczorów śpiewał swoje nowele i... wzbudzał w nas skrukę i nastroje modlitewne zawodzącym jak muezyn głosem, nawoływaniem do... czego, to za grosz pojąć nie byliśmy w stanie. Bo nic z tego się nie rozumiało. Kedar Nath z pewnością dał początek w Polsce poezji śpiewanej.

W czasie swojego poetyckiego „benefisu” Jurek Waleńczyk usiłował naśladować naszego Hindusa w „Kamiennych Schodkach”, ale za dużo wypił bez przekąski i zamiast czytać swoje wiersze tak się rozspierał podniecijszym folklorem, że odcenył naszych nowych mecenasów obrazili. Musieliśmy po tym wieczorze drukować przeprosiny P.T. publiczności i sprostowania.

Zjazdzi (ogólnokrajowego zjazdu młodych twórców nigdy nie udało się zorganizować), festiwaliki, sympozjony, sesyjki krytyczno-literackie, dyskusyjki, polemiki i niebawem wielkie polemiki tak na łamach „macierzystej” — „Współczesności” (wówczas przez małe „w”, podpiśwaliśmy się także małymi literkami), jak i na gościnnych łamach starych czasopism (gdzie niekiedy z naszymi tekstami raczono nas dopuścić).

Najważniejsze było jednak, że wychodziło, że wydawaliśmy czasopismo „Współczesność”. Miesięcznik, późniejszy dwutygodnik. Przeważnie, średnio biorąc, raz na trzy miesiące...

Dotacji nie było, funduszy na rachunki za druk dla drukarni nie było, etatów ani ryczałtów nie było. Honorariów za teksty nie było. „Współczesność” nie płaciła honorariów, o ile ktoś, jak np. „Alif” Wiczorowski, się o nie nie wykiścił... kosztem opóźnienia zapłacenia rachunków za skład i druk „Współczesności”.

Zatem pisywaliśmy do swojego czasopisma, sami je wydawaliśmy, sami gryzmoliśmy artykuły, to wiersze, to prozy i proki, to eseje i recenzjki, to manifesty i programy działania, to „inne” pisma, to polajanki dla startujących w literaturze. [Sławny esek Z. Iryzka Monika, *poprawu się* (Monika Kotowska), po jej debiutkiej książce i półnagrodzie wydawców. Druga półowa nagrody zainkasowała Magda Leja].

Swoją twórczość (nierzaz jak „radosną”) sami zatwierdzaliśmy do druku, sami ją (bywało) ocenizowaliśmy, sami składaliśmy na masyżach płaskich na Smolnej lub na Tarczyńskiej. Oczywiście, pod okiem zecerów, metrapaży, inspektorów produkcji (druku). (Najczęściej „Współczesność” drukowała się wtedy za litr wódki i kilo kiełbasy dla

numery, sprzedawać od razu i od ręki to na dziedzińcu UW, to przec klubami prasy, to na peronach, to na ulicach Śródmieścia.

W administracji „Ruchu” udawało się niekiedy wygnać „Nyskę” z megafonem. Zwrotów numerów „Współczesności” w ogóle nie było. I oto bez dopłat, dotacji, bez planistów, księgowych, bez ogóle leńności co i kiedy będzie drukowane... redagowaliśmy pismo, kolportowaliśmy je, umożliwiając debiuty i starty literackie, plastyczne, a nawet czy Siemion nas odkrył. W każdym razie jego upór w towarzyszeniu, dobrej poezji miał się szybko przemienić w stałą współpracę z nami podczas licznych wieczorów poezji w Warszawie. Najczęściej towarzyszyli startom debiutantów podczas wieczorów autorskich aktorzy: Dajana Radzyńska, Wojciech Siemion, August Kowalczyk, Alicja Zalewska, Joanna Radzyńska.

I Tadeusza Kantora obrazy (reprodukcje) rozstawialiśmy (po jego otwarciu Galerii „Krzysztofor”), i Artura Sandauera, umożliwiając mu w debiut prozatorski pt. *Pamiętnik Arnolda Rozenzweiga*, podbudauwany już wówczas akademickim wywiadem dla „Współczesności”. San-figur retorycznych tak zmyślne, iż czytało się to z nabożeństwem dla tur. jego erudycji, znajomości greki i łaciny, jidysz i innych języków i kul-

Aż oto pewnego pięknego dnia przyszło autentyczne objawienie — oświecenie. Zaatakowało nas „Życie Literackie” w sławnym wtedy artykule „Współczesność” czyli *położenie* płaścisze płaścisze nas z dnia na dzień pokoleciem literackim. Wprawdzie z brakami, nie bardzo jeszcze dojrzałym, jeszcze tylko się zaledwie dobrze zapowiadającym, ale mającym już coś do powiedzenia w literaturze. Jan Rembek, Artur Sandauer, Jerzy Zawieyski, Ludwik Hieronim Morstin popieprzili nam z intelektualną „prynuką”.

Zaprawdę, zaprawdę nie wiedzieliśmy wtedy, co to w ogóle jest literatura i sztuka. Wyrośnięci podówczas młodzieżowcy naprawdę starali się być wobec wszystkich rycerscy. Gra, zabawa, aktorstwo, prętycho mieli trafić na łamy pism, atakujących nas za różne pozy.

Udawaliśmy i naśladowaliśmy futurystów (ja — imaginistów). Ba, zaraz wdawa po samym Marinettim przysłała dla mnie i dla Anatóla Sterna zaproszenia imienne na półroczne stypendia pobytowe w Italii w jej pałacu w... A. Stern odradził mi wyjazd na to stypendium, a sam Schodkach” członka Rzymskiej Akademii Sztuki, znanego tłumacza dra Kolonońskiego. (Chęć się moim wierszami, kilkanaście przełożył na włoski, wydrukował i przysłał zupełnie przyzwolone honorarium we włoskich walorach. Przyszło nowe zaproszenie na pobyt do Italii i w Avigno-nie).

Euforia szybko miała przeminąć po lekturze całej serii atakujących nas artykułów. Za podpisywanie się małymi literami, za naśladowanie futurystów, za „szarganie świętości”, za wiersze, za prozę, za krytykowanie drobno-mieszczanckiego kottuństwa, bigoterii, fałszu, obłudy i zakłamania.

KOSTIUM HISTORYCZNY PRZYGASNY NIECO



Jerzy Czajkowski na wieczorze autor-
skim „Współczesności”. Fot. A. Klu-
kowski 1999 r.

30 lat „Współczesności”. Jak to się wszystko zaczęło? Najpierw konieczne tu będzie nawiązanie do socrealizmu. Szczytna była ta doktryna. Jednakże w realizacji pisarskiej miała przynieść przede wszystkim tak zwane „produkcyjniaki”, o nikłych wartościach artystycznych. „Casy socrealizmu (lata 1949—1965) uformowały dwa pokolenia pisarskie, funkcjonujące do dziś.

Rychło jednak wśród tych, którzy mieli przeciwstawiać się doktryneryzmu, schematyzmowi, dogmatyzmowi twórców „produkcyjniaków”, prym zaczęli wieść nie opierzeni jeszcze wtedy licealiści i studenci.

Było ich niewiele. Garstka skupiona wokół nowych teatrzyków i grup literackich, klubów dyskusyjnych czy wokół nowych czasopism. Lubelska grupa literacka „Pod wiatr” (i pismo literackie o takim tytule), wrocławska grupa literacka „Dlaczego nie?” Bartyńskiego, poznański „Wierzbak”, krakowska „Zebra” (grupa literacko-artystyczna i pismo o takim tytule), grupa „Muszyna” Harasymowicza, gdańskie „Żaki” i „Bim-Bomy”, łódzkie „Pstragi” i „Waleńczyki... Było ich niewiele. Było nas niewiele w „Współczesności” (grupa literacka i pismo o takim tytule). No i przede wszystkim była najbardziej prężna i znacząca wtedy grupa literatów, polityków i dziennikarzy „Po prostu”, mająca za sobą poparcie prawie całej polskiej braci zakowskiej i części młodych polityków wszystkich naszych partii, stronnictw i organizacji studenckich czy młodzieżowych wtedy działających.

Wszystko zaczęło się od naszego spontanicznego artystycznego „dziwactwa” czy „wariaństwa”.

Urządzaliśmy spotkania autorskie, zapraszaliśmy młode aktorki, aktorów, plastyków, plastyków, śpiewaczki, śpiewaków, kompozytorki, kompozytorów, — była to przednia zabawa w... literaturę, sztukę, teatr, wernisáže.

WIECZÓR MŁODYCH ARTYSTÓW

P O E Z J A :
Margarzeta Hiller, Jerzego Czajkowskiego, Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośmielewskiego

M U Z Y K A :
Jana Folka, Benedykta Komowskiiego, Jochima Olkuśnika

WYKONAWCY:

WYKONAWCY:
Jana Folka, Benedykta Komowskiiego, Jochima Olkuśnika

W PRZEDMIOTACH GALERII MICHAŁ PIASNY

JANINA NEUMAN JERZY STANUŁY MONIKA RASSOWSKI

Towarzyszący naszym działaniom Zbyszek Kupczyński zaczął wy-
stawić swoje obrazy pod gołym niebem na Starówce, na Krakowskim;
dotychczas inni artyści malarze jak Sliwinski, Karol Węśław (pseudonim),
Ewa Salamon, Mieczek Stępciewicz...

Takie improwizowane wystawki zaczęły się przekształcać w sa-
loniki wystawiennicze, w miejsca spotkań poetów, nowelistów, krytyków,
plastyków — tam gdzie tylko się dało. W klubach prasy, w domach kul-
tury, w fabrykach. Najwspanialsze były spotkania autorskie w halach
przemysłowych lub w wielkich przyrządowych świetlicach, a nieraz w
kuchni z grupą młodych pisarzy. Bo przeważnie jeździliśmy grupkami, po
dwóch, trzech, czterech.

Spotkania autorskie w kawiarniach i klubach Gdańska, Gdyni,
Szczecina, Koszalina, Kołobrzegu, Marynarskie „Intercluby”, kluby
stoczników, sale konferencyjne ZMS, ZMW, ZSP, TPR, kluby
Stronnicstwa Demokratycznego, sanatoria, domy czasowe. I te w górach,
i te nad morzem, i te na nizinach. (Zakopane, Krynica, Inowrocław).

Irek Iredyński zorganizował kilka wspólnych spotkań autorskich
w Krakowie. Jak wyimagaję, jak wyrobiona to była publiczność. U li-
teratów na Krupniczej, u dziennikarzy, gdzieś dla aktywnego politycznego,
w Galerii „Kryształofony” w piwnicach i klubach studenckich, w klu-
bach TPR Krakowa i Nowej Huty, w teatrach.

I te nie kończące się dyskusje o literaturze, kulturze, sztuce, o
książkach i wystawach, o sztukach teatralnych i ich realizacjach. Ale
najbardziej uprzywilejowana była w naszych działaniach sztuka wszy-
stkich królów-Poezja. Nowa poezja polska. Przerzywaliśmy naukę w

pokoleniu literackiemu. Bez Szymańskiego nie byłoby pisarzy, które stanowiło centrum i biegnie do startu pisarzy, debiutujących w 1956 roku. Gdyby nie "Współczesność", na pewno nie stałoby się z nimi jedność. Inaczej by ich pewnie dziś określano, może nawet pejoratywnie, tak jak to się przytrafiło "Pryszczatym".

Chciałbym zakończyć ten artykuł stwierdzeniem, iż nasza twórczość emigracyjna jest zauważana przez kraj. Uprzednio, gdy pisałem o "Współczesności", nazwisko Leszka Szymańskiego opuszczano, lub sucho odnotowywano jako pierwszego redaktora naczelnego. Chciałbym radować się tym, że w Polsce, chociaż na krótko, byli zauważeni nawet ci pisarze, którzy nie zdobyli Nagrody Nobla. Być może, i ich dzieła dotrą kiedyś do ojczyzny, chociaż teraz wydaje mi się, że droga jest ciągle daleka... Potwierdzeniem tego smutnego faktu są losy twórczości autora, który w polskim piśmiennictwie nadał słowu "współczesność" dzisiejsze znaczenie literackie. Twórczość ta w Polsce pozostaje zupełnie nieznana...

Edward Dusza

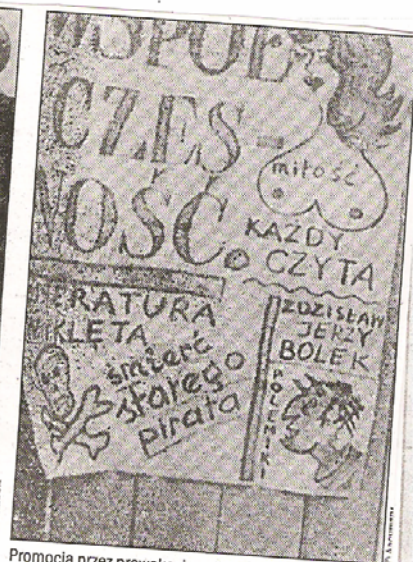
LESZEK SZYMAŃSKI



Leszek Szymański — pierwszy redaktor „Współczesności”



„Współczesność” na ulicy



Promocja przez prowokację

— Miałem, ostatecznie moja książka mimo, że zatwierdzona do druku jeszcze w 1956, z przyczyn cenzuralnych, planowych i innych do tej pory nie ukazała się. — Oczywiście, że tak! — odpowiedziałem — jeśli się nie myli jest zatwierdzona do druku na mój br.

— Tak, ale ukazuje się jedynie wtedy, jeśli pan napisze do nas list, że wszystkie ostatnie nasze kłótnie to tylko nieporozumienie.

Takiego listu nie napisałem i nawet nie miałem gorzkiej satysfakcji zamieszczenia artykułu o paxowskich metodach, bo go nam zdjęła cenzura.

Mimo, że PAX użył wszystkich swych wpływów i groził nam procesem, próba wydarcia pisma nie powiodła się. Przy pomocy „Ruchu”, po raz pierwszy wreszcie wolni od trosk finansowych i bezpośrednich politycznych, zaczęliśmy wydawać takie pismo jakiego chcieliśmy. Zaczęli do nas napływać ludzie. Zgłosił się Grochowiak, Krzysztoń, Dolegowski, Stiller i inni. Skupialiśmy większość młodzieży artystycznej. Udało się nam pozyskać do współpracy takie pióra jak Rembek, Jastrun, Sander. Nakład powoli, ale stale wzrastał.

Jednocześnie Kluby Współczesności w dużych i małych miasteczkach zaczęły przeżywać swe odrodzenie. Klub gdyński skupił całe Pomorze. Toruń był wyjątkowo aktywny i nawet deszczu.

Zaczęliśmy być siłą i to był początek końca. Po kilkunastu konferencjach na najwyższym szczeblu Kluby nasze przeszły pod zarząd Z.M.S.

Następnym szczeblem było przysłanie na zastępcę redaktora naczelnego tow. Józefa Lenart, ex-przywódcy Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Lenart był jednym z naszych najstarszych wrogów. Jeszcze jako działacz Z.M.S. zawezwał mnie i Korczaka do siebie i zagroził zamknięciem pisma, jeśli nie usuniemy z zespołu paru osób i nie przejdziemy do Z.M.S.

Gdy odmówiliśmy, powiedział, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną niż my jeszcze jeden numer wydamy. Lenartowi włosy na dłoni nie wyrosły, ale za to został zastępcą redaktora naczelnego pisma.

Lenart zresztą okazał się przy bliższym poznaniu zupełnie miły, ale jego polityka redakcyjna, którą zaczął na siłę wprowadzać, była dla pisma zabójcza.

Z magazynu o charakterze literacko-artystycznym chciał przejść na pismo będące czymś w rodzaju omnibusu przypominającego w głównych zarysach sławne almanachy Kola Młodych przy Z.L.P.

winnych zadrażniania stosunków międzyrodzinych. Od tego czasu mieliśmy gorzkie przeświadczenie, że nasze skromne pismo jest czytane więcej niż starannie przez najwęższy krąg czytelników w państwie i dziwił się jak im na to, w tak rewolucyjnym okresie, starca czasu.

Nasz los podzieliło kilka innych pism młodzieżowych, jak na przykład „Horyzonty”, które zaczęły stawiać się nienajbardziej popularne niż „Po Prostu”, i „Odnova”.

My jednak desperacko chcieliśmy wydawać nasze pismo. Po wielu dniach udało mi się wręczyć rozmawiając z Władysławem Gomułką. Nie będę teraz przytaczał szczegółów tego charakterystycznego spotkania. W każdym razie, w wyniku długiej rozmowy, Władysław Gomułka skreślił kartkę adresowaną do kierownika wydziału prasowego, Artura Starewicza, i po kilku konferencjach w Partii otrzymaliśmy zezwolenie na wydawanie pisma pod warunkiem, że będzie to pismo czyste i wyłącznie literackie.

Jednocześnie w całym kraju powstawała siatka klubów „Współczesności”, i zaczynał się szary okres walki o byt. Zezwolenie na wydawanie pisma wydrukowane na ładnym papierze i z podpisem samego dyrektora Cenzury wręczyć pieniądze, bez lokalu na redakcję, szanse nasze na przetrwanie były znikome.

W tych warunkach większość naszego czasu poświęcaliśmy na staranie się o pieniądze, nie zaś na redagowanie pisma. Spotkalimy wszystkie osobistości, które mogłyby nam pomóc finansowo, zaczynając od Słonimskiego, a kończąc na Kazi- mieżu Rusinku. W większości wypadków roniło nad nami łezkę, wspominając z rozczuleniem, te złote czasy gdy to się, panie dzieciu, samemu wydawało pisma, „ale wtedy było jeszcze gorzej, bo nie tylko pieniędzy nie było, ale policja prześladowała”. Zaręczaj kończyło się wszystko na obietnicach i wy-naczeniu spotkania za parę następnych miesięcy.

Tymczasem drukarnie wiedząc, że jesteśmy w opresji (taki był bezpośredni rezultat przyjmowania notułów w radiu o naszych kłopotach) zażądały od nas płacenia rachunków z góry. Było to czynić bez precedensu i zaskakującym nas ogromnie, ponieważ waż normalnie wszelkie rachunki wysyłano w parę tygodni po wydrukowaniu numeru.

Zdów musieliśmy wyjść na ulicę ze sprzetem „Współczesności”. Sukces czwartego numeru był olbrzymi. W przeciągu paru dni napelniał cały Warszawę gwarem i sprzetem pokrywając tysiące egzemplarzy. Pomogło to nam do latwotni, każdej sprawy w Polsce i wypłacenia części honorarów tym, którym się już dosłownie buty rozlatywały, i jeszcze starczyło na część długów.

„nac z najwyższymi czynnikami. Jak wymawiał z przekąsem z „czynownikami”.

Pismo miało się zwać „Dekada” stąd rychło utarła się nazwa dekadentów. Kaltenberg koniecznie chciał nas ściągnąć do siebie i nawet obiecał nam całą kolumnę w swym piśmie. Ludziom, którzy go nie znali propozycja wydawała się realniejsza niż walka o własne pismo. Dlatego dopiero po wielu wewnętrznych dyskusjach zrezygnowaliśmy z współpracy z Kaltenbergiem. Program jego wydawał się nam zbyt wielki, jego projekty zbyt wspaniałe aby mogły być rzeczywiście. Przyszłość wykazała, że my, mieliśmy rację. Ten sam Kaltenberg rytersko winał nam podczas jednego z burzliwych zebrań Z.L.P. wydania drugiego „dobrego” numeru.

Numer ten, chociaż również rozkupiony do ostatniego egzemplarza (to tysięcy nakładu), spotkał się z dużą krytyką i niechęcią. Wynikało to z dwu powodów. Pierwszy i najważniejszy, że byliśmy nową grupą w zastalym świecie literackim, nie mieliśmy znajomości i protekcji, byliśmy nieznanymi a mieliśmy pismo. To oburzało.

Drugim powodem było, że wielu ludzi spodziewało się, że jesteśmy jakąś galgą „Po Prostu”, i zawiedli się.

Być ubogą imitacją „Po Prostu” nie było naszym założeniem. Chcieliśmy być przede wszystkim piśmem literackim. Zresztą na to by stać się „Po Prostu”, nie mieliśmy ani ludzi ani bazy materialnej.

Tutaj muszę wyjaśnić, że zawsze uważaliśmy „Po Prostu” za pismo stojące w uprzywilejowanej pozycji do reszty młodzieży. Właściwie prawem kaduka mieli pismo w swoich rękach i odsłaniali wielkie tajemnice, które były rewelacją dla nich samych i dla ex-stalinowców.

Podobna sytuacja istniała również w świecie literackim. Największymi rewizjonistami, przewódcami intelektualnymi państwa. Rzadko i niesmiato dochodzili do głosu ludzie, którzy już od dawna mieli otwarte oczy. Gdy ktokolwiek ośmielił się wspomnieć o niechlubnej przeszłości dzisiejszych przewódców i spytał się o moralne prawo do krytyki, zakrakiwano go natychmiast.

Zwłaszcza zaś młodzi pisarze, którzy nie zdobyli, lub nie mogli zdobyć ostróg literackich w socrealizmie, po prostu nie liczyli się. Prawo krytyki należało do „nawróconych”. (Hłasko był specyficznym wyjątkiem od tej reguły).

Praktycznym i namacalnym dla nas potwierdzeniem tej teorii było zamknięcie nas przez cenzurę w przeciągu 24 godzin, przy pomocy jednego podpisu i nawet bez uprzedzenia nas. To pierwsze zamknięcie bez prawa obrony, pozostawiło na nas wszystkich uraz, który do dziś istnieje. Poczuć niepowinność, brak gwarancji, przeświadczenie, że cały nasz wysiłek w jednej chwili może być zmarnowany, zawsze spletało się z wszelkimi naszymi poczynaniami.

do PAX'u. Potem zawiadomiono nas, że PAX zamierza stworzyć inلودıcıową organizację, w której nasza grupa i pismo miały odegrać decydującą rolę. Mimo kuszących propozycji materialnych nie zgodziliśmy się. Sytuacja była coraz bardziej napięta.

Do kryzysu doprowadziła sprawa wierszy Romana Sliwonika. Już od dłuższego czasu PAX poza cenzurą zewnętrzną wprowadził swoją, wewnętrzną. Bez litości obciachiwano nam nasze materiały a pakowano paxowskie kawałki ideologiczne. Ta polityka doprowadziła do spadku nakładu pisma z trzydziestu pięciu tysięcy do trzech tysięcy egzemplarzy.

Szczawiński wyobraził sobie, że w wierszach Sliwonika są nuty antypaxowskie i polecił do Przetakiewicza, specja od prasy. Przetakiewicz oczywiście podzielił jego zdanie. Postawiłem sprawę na ostrzu noża. Jeśli wiersze Sliwonika nie pójdą, nie, podpiszę numeru do druku. Wezwano mnie do Przetakiewicza.

Przetakiewicz urzęduje na trzecim piętrze odnowionego budynku PAX'u w gabinecie całkowicie obitym materacami. Za wchodzącym automatycznie zatrzymują się drzwi, a w oknach widnieją kraty. Spojrzałem na mnie dopiero po dłuższej chwili ponad kart maszynopisu.

— Tych wierszy nie wydrukujemy i proszę nie dyskutować!

Zapomniałem powiedzieć, że w PAX'ie dyskusja jest czymś niedopuszczalnym. Praktycznie biorąc od decyzji kierownika działu jest tylko jedno odwołanie: do samego wodza — Boleśława Piaseckiego, co nie zawsze bywa przyjemne dla oponenta.

Jednak ośmieliłem się dyskutować. Bezpośrednim tego wynikiem było, że nazajutrz zastaliśmy drzwi do redakcji zamknięte, zaś materiały redakcyjne zarekwirowane przez Centralę na Mokotowskiej.

Nie poddałem się. Zezwolenie, na całe szczęście, było na nas, a nie na PAX. Natychmiast pojechałem do drukarni na Marszałkowską zastrzec numer. Nie było to łatwe. Kierownictwo drukarni wyraźnie odnosiło się do nas z niechęcią. PAX drukował tutaj swe pisma od przeszło dziesięciu lat i stworzył sobie sytuację. Początkowo drukarnia odmówiła nam druku, później zaczęły nam ginać materiały skomponowane na poczekaniu numeru, oraz wszelkie kłisze.

W ostatniej chwili, gdy numer był już na maszynach, zawiadomiono nas, że wywiad z pierwszej kolumny (jedynej materiał ocany ze starej redakcji) jest nieautoryzowany, a osoba z którą go przeprowadzano nie zgadza się na zamieszczenie.

Z tak brutalnymi metodami nigdy dotąd nie spotkaliśmy się. Wkrótce jednak PAX przeszedł do bardziej wyrafinowa-

stwa. Zwiastując, że po naszej akcji ulicznej rozwiązaliśmy sytuację szeroką skalę, nagle staliśmy się znanymi. W prasie pojawiły się nieprzychylnie, wzmianki. Przypisywałem je początkowo zawadze zażartości, później jednak doszedłem do wniosku, iż była to zupełnie prawidłowa reakcja. Otoż ni stąd ni zowąd pojawia się grupa młodych smarkaczy i od razu pismo, podczas gdy stary i zasłużeni literaci doprosić się nie mogą. Oczywiście z pismem kojarzą się wysokie zarobki redakcyjne, lokal i czas na wydawanie. Dlatego też nierówny poziom pojawiających się się nieraz na tej samej stronie artykułów i fatalną korektę tłumaczono sobie jednoznacznie: — nieuctwo.

Natomiast zupełnie był dla mnie niezrozumiały atak Przetakiewicza. Ni mniej ni więcej oskarżył nas on o faszyzm, o nawiązanie do faszystowskich poczuj Marinetiego i do innych irracjonalnych prądów, jak np. do futurystów polskich z ich straszliwym wodem Anatolem Sternem na czele.

Takie oskarżenie wychodzące spod pióra prezesa Z.L.P. miało swój ważki ciężar gatunkowy. Nie mogliśmy tego uznać za słuszny sposób rozwiązywania sporów literackich i zmuszeni byliśmy niemniej energicznie odpowiedzieć. W ten sposób wdaliśmy się w niesmaczną kłótnię, która przeciągnęła się parę miesięcy.

Rychło stanęło przed nami widmo zagłady naszych dwuletnich już wysiłków. Problemu finansowego nie mogliśmy rozwiązać. Zawiodła nawet rozpaczliwa próba drukowania rozkładu, która przyniosła więcej zarobku „Szpilkom” niż nam. Tylko znikoma część firm pokryła rachunki.

W tym to krytycznym okresie zwrócił się do nas PAX z propozycją pomocy w finansowaniu pisma. Propozycja została przedstawiona w sposób delikatny przez jednego z najinteligentniejszych paxowców P. Mieczysława Kurzynę.

— Chcemy wam pomóc bezinteresownie — powiedział — jesteście cenna inicjatywą kulturalną a nam zależy na popieraniu każdej inicjatywy kulturalnej. Nie wymagamy od was nic. Proponujemy brzmiała szczerze i uczciwie. Mimo skrzyknięcia obracania jej na wszelkie strony nie mogliśmy znaleźć żadnego haczyka.

Mimo to, przed ostateczną zgodą, zawiadomiliśmy wszystkie czynniki oraz Stronnictwo Demokratyczne, które od dłuższego czasu wahało się czy nie przegarnąć nas pod swe skrzydło, jednak po którymś „rewolucyjnym” numerze wycofało swe propozycje.

Ponieważ od nikogo nie otrzymaliśmy nawet najskromniejszej pomocy finansowej, a na samowystarczalność przy ostrzej cenzurze prasowej nie można było liczyć, nie mając innego wyjścia, po wielu burzliwych dyskusjach, zgodziliśmy się na pomoc PAX'u. Ponoc to była skromna, redaktorzy się na zarabiali na życie, ale umożliwiała wydawanie pisma. Byliśmy zadowoleni.

Incydent ten pobudza jednak do poważniejszych refleksji, jeśli weźmiemy pod uwagę, że Jacek Wilczur był za okupacji jednym z najdzielniejszych partyzantów. Późniejsze lata zamieniły go w człowieka bojącego się własnego cienia i dbającego o spokój za wszelką cenę.

Pierwszy numer „Współczesności” przeleżał w drukarni przeszło trzy miesiące. Nie trzeba chyba udawać jak to odbiło się na aktualności pisma... Mimo to jednak rozszedł się do ostatniego egzemplarza.

W międzyczasie cała praca redakcyjna skupiała się w moim małym pokoiku na ulicy Ludnej. Redaktorzy, interesanci, ludzie którzy przychodzili pogawędzić, przesiadywali całymi dniami, a w okresie druku i nocami.

Wkrótce po ukazaniu się pierwszego numeru „Współczesności” „Życie Warszawy” wydrukowało ciepłą wzmiankę, i zaraz potem zdjęła nas kronika filmowa. Film jednak nigdy nie ukazał się na ekranach. Prawdopodobnie nie chcieli nas zrobić zbyt popularnymi.

Żeby uzyskać pieniądze na wydawanie następnych numerów zmieszani byliśmy zainjonować zapominając w Polsce formę sprzedaży ulicznej i po kawiarniach. Na ulicach witano nas z entuzjazmem, często zresztą spowodowanym tym, że brano nas za „Po Prostu” — w każdym razie tak zwana opinia publiczna i starzy literaci byli zaszokowani.

Po krótkim okresie samozadolenia przystąpiliśmy do dalszej „pracy”. Były to niekończące się konferencje z przedstawicielami Ż.G.Z.L.P., z członkami K.C. i R.S.W. Prasa. Tym razem szybko otrzymaliśmy bezcenną rzecz — papieraś z podpisem prezesa Rajskiego, który wówczas trząsł prasą polską a obecnie zdaje się jest zagranicą, pozwalający nam na wydawanie miesięcznika pod nazwą „Współczesność”, kolumn 12.

W tym to okresie minister Kuryluk, o którym głośno utrzymywano, że ma węża w kieszeni, zdobyl się na wielkoduszny gest i po jeszcze jednej konferencji przeznaczył nam aż 20 tysięcy! Tym razem była to suma nie do pogardzenia, i mimo wszystkich późniejszych zdradzień pozostałismy mu wdzięczni. Z dumą spoglądaliśmy na „dekadeny”, którzy przedtem usilowali pochwyć nas w swe szpony. Historia tej cieniowej grupy jest niesłychanie charakterystyczna dla nastrojów poprzeczających państwa. W owym okresie rozluźnienia cenzury (podobno na jednym z zebrań P.O.P. Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk uchwalono, że cenzurę należy rozwiązać. Cenzury co prawda nie rozwiązano, lecz zmieniono wielu cenzorów) nie tylko nie rozwiązano, lecz zmieniono wielu cenzorów (konkurentem — bo wydanie jednego zezwolenia najrzadziej wykluczało inne) był Lew Kaltenberg. Kaltenbergowi, przemienionemu mitomanowi, udało się skupić wokół siebie silną grupę, dziennikarzy, poetów i prozaików. Zbierał ich co tydzień po różnych lokalach i karmil pokrzepiającymi sprawozdaniami z legendarnych konferencji, które miał odby-

ściom, którym nie ufano. My byliśmy niezapisaną kartą, a prócz tego mieliśmy mniejsze wymagania. Chcieliśmy tylko zezwolenia na wydawanie pisma, choć takie zezwolenie bez zezwolenia finansowej oznaczało naturalną śmierć pisma w warunkach, gdy cała prasa jest subsydiowana. Jednym słowem byliśmy niezdolni.

Na początek starczyło nam zezwolenie na jednolitość Putramenta i Broszkiewicza, Z.L.P. wyasygnował na ten cel trzy i pół tysiąca złotych.

Był to dopiero początek naszej krzyżowej drogi. Uplynęły jeszcze nieskończone godziny oczekiwań na korytarzu na punkcie widzenia planowej gospodarki może się okazać, a co nie. Nawiasem mówiąc C.U.W. pod zmienioną, kamuflażową nazwą — z panią Zatorską na czele — istnieje nadal i rozwija się pod opieką skrzydłami Ministerstwa Kultury, podczas gdy opinia publiczna jest przeświadczona, że instytucja ta dawno przestała istnieć.

Otóż do wyżej wymienionej pani Zatorskiej udało się nam dotrzeć pod koniec miesiąca wczekiwać, dzięki desperackiej odwadze kol. Turskiego, który wtargnął na jedną z Nadzwyczajnych Konferencji i zdobył cenny podpis.

Teraz pozostawały tylko dwie, zdawałoby się proste, sprawy: zdobycie papieru i miejsca w drukarni. Papier jest ściśle reglamentowany i brankiem jego tłumaczy się wszelkie ograniczenia nakładu prasy, podczas gdy jest tajemnicą Poliszynela, posiadane go w kieszeni zezwolenia na wydanie jednego numeru „Współczesności” byliśmy bezradni. Nie mieliśmy działu papieru. Rozdzielnik był już dawno opracowany i nadzwyczajny przydział nie mogliśmy liczyć.

Ze znalezieniem drukarni sprawa przedstawiała się podobnie. Wszystkie drukarnie w Warszawie odmówiły przyjęcia „Współczesności”. Nie byliśmy w planie, a ponadto byliśmy prywatnym wydawnictwem. Na skutek przestarzałego parku maszynowego, braku fachowców i nadmiaru pism, drukarnie były zawalone robotą i broniły się rękami i nogami przed przyjmowaniem nowych zamówień.

Na całe szczęście w rozwiązaniu tego problemu pomógł nam kol. Wilczur. Dzięki osobistym znajomościom wpakował nas do drukarni i zdobył „scinki”, na których wydrukowaliśmy pierwszy numer. Zresztą ten sam człowiek tak śmiertelnie przeżył się zobaczywszy „rewolucyjną” treść pisma, że ze względu w Z.L.P. agentami imperializmu. Na poparcie tej tezy przytoczył argument że cały nakład został rozkupiony, przez przedstawicieli wrogich naczarstw jak Z.S.S.R. To przeżywanie nie się uratowało nas. Sada długo się nie mogła uspokoić i nikt na serio nie wziął argumentów Wilczura. X wierszyk
miał podobne rzeczy Semons miastobos
powieśnianie C.O.A.

Adam Ważyk ściągał tłumy obietnicą pojawienia się i w ostatniej chwili zawodził, a Kuśmierzek tragicznym głosem przytaczał rewelacyjne odkrycia z prowincji.

W wypełnionej papierosowym dymem sali Z.L.P. panował prawdziwie konspiracyjny nastrój. Reformowano wszystko, usuwano wszystkich, domagano się powrotu Władysława Gomułka i kardynała Wyszyńskiego. Z bólem głowy łapało się ostatni tramwaj do domu, by od jutra zacząć wszystko od nowa.

Jednak między młodymi nie było prawdziwej jedności. W owych czasach Koło Młodych pod przewodnictwem Eugeniusza Kabatca i Magdy Leji było Niemniej skłócone niż tak zwany „Stary Związek”.

Z jednym tylko zgadzali się wszyscy. Młodym potrzebne jest pismo. Ich własne, w którym mogłoby stosować swoje kryteria i oceny, gdzie nie byłoby klik i protekcji.

Projekt stworzenia ogólnego pisma młodzieży literackiej pod nazwą „Współczesność” spotkał się jednak z ogólną niechęcią i pesymizmem.

„Ty chcesz pismo założyć! Tytuł przed tobą próbowało, szkoda czasu. My, jako Koło Młodych, w to się nie mieszaamy” — oznajmił Kabatek.

„Wielu było takich co pisma zakładali a pismo nie ma. Ostatnio byłem chyba na stu zebraniach, na których zakładano pisma” — stwierdził Andrzej Dobosz.

Mimo to na pierwsze historyczne zebranie „Współczesności”, odbyte w mieszkaniu kol. Pankracowej na Woli, stawiała się przeszło połowa Koła Młodych i wielu niezrzeszonych.

Cenna zwłaszcza była współpraca dwu poetów młodego pokolenia Romana Sliwonika i Z.J. Bolka.

Warunki dla powstania pisma młodych literatów były sprzyjające. W kraju narastała ogólna fala niezadowolenia, oraz rozruchu intelektualnego. Wrzało zwłaszcza między młodymi. Niezadowolenie ich często wynikało przede wszystkim z niemożności druku. Powstanie pisma młodzieżowego mogło rozładować napięcie, zwrócić z powrotem uwagę młodzieży na zagadnienia literackie.

Partia, najważniejszy czynnik w kraju, zławała sobie z tego sprawę. Latwiej było zaryzykować danie zezwolenia na wydawanie pisma młodym, nieznanym ludziom, niż osobisto-

KULTURA - PARYŻ Kultura
Paryż

„Współczesność”

1959?

Na samym wstępie tego artykułu chciałbym się zastrzec, że w miarę możliwości będę starał się ograniczać do faktów i unikać komentarzy. Zdając sobie sprawę, że fakty te ni w każdym razie, a historia „Współczesności” przez wiel jest przeinaczana, przekręcana, lub po prostu nierozumiana. To, że drukuję niniejszy artykuł w „Kulturze”, może stać się także pretekstem do wielu zarzutów, dlatego jeszcze raz muszę powtórzyć: taka właśnie była historia „Współczesności” — dobra czy zła, i nie na to nie mogę poradzić.

Dzieje „Współczesności” to spłót nierozdzielnie złączonych wydarzeń tragicznych i komicznych. Nasze perypetie, bez wątpienia zabawne dla osób patrzących z dystansu, były przez nas odbierane śmiertelnie poważnie.

„Współczesność” była chyba jedynym pismem w kraju, demokracji ludowych i Z.S.S.R. wydawanym prywatnie. Nibymyśmy też pismem żadnej organizacji, żadnego związku, lecz po prostu grupą ludzi. W tym kryła się nasza niezwyczajność, która zdumiewała wszelkie oficjalne osobistości, z którymi mieliśmy do czynienia.

— Jak to, nikt was nie wydaje?

— Jak to, od nikogo nie zależy?

— Co, jesteście samodzielnymi?

W tym było coś podejrzanego i zazwyczaj odmawiano nam załatwienia sprawy. Dopiero od chwili, gdy słowo *eksperyment* stało się modne, mieliśmy bardziej znośne życie. Psychika biurokratów zaszereżowała nas pod tą nazwą.

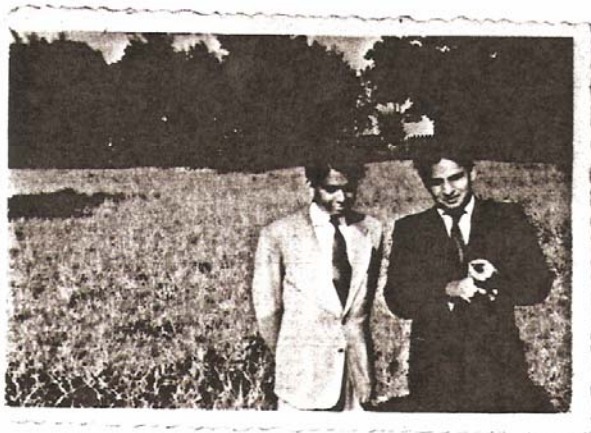
Data powstania projektu wydawania pisma i samej idei „Współczesności” zbiega się ze śmiercią Bieruta.

Rok 1956 był rokiem narastania rewolucyjnej fali, śmiałych żądań, okresem rewizji oficjalnie podanych do wierzenia dogmatów. Młodzi pisarze i poeci pierwsi podchwycili rewolucyjną

No i były też dzielne żony, Niezbyt wiele, ale były: Ania Siewierska i Jadwiga Szymańska. Brakowało jakoś "girl friends" i żeńskiej młodzieży literackiej. Jedyna wybitniejsza osoba tego gatunku Magda Leja, nienawidziła mnie. Agnieszka Osiecka i Monika Kotowska trzymały się Marka Hłaski.

Skąd ten brak dziś tak licznych poetek, pisarek, dziennikarek itp, niech wyjaśni ktoś mądrzejszy ode mnie. Ja kobiet nie wyganiam, mogą o tym zaświadczyć z trzech kontynentów moje były małżonki.

Leszek Szymański



ANIA
SIEWIERSKA

Dł., George Vauvaise & Kober Nath
Parkodpoczynku i kultury
Warszawa, 1956

Park Odpoczynku i Kultury
Powiśle, w pobliżu ul. Lubnei

Wojtek
Siewierski
to już lato
80-te



Henry Siewierski
lata 70-te

Później podejrzewałem Edwarda Duszę o te wyczyny poetyckie, ale okazał się być niewinnym.

Mówiąc poważnie.

Nie wymieniałem w tym artykule wielu osób, którym by się należała przynajmniej wzmianka. W tej chwili przypominam sobie (z góry przepraszam za przekręcenie nazwisk i imion), Janusza Kieszczyńskiego, Jerzego Tuszewskiego, Piotra Wierzbickiego, Władysława [Rocha] Łukomskiego (zginął wraz z Iwo Placheckim w wypadku samochodowym), Tadeusza Makomaskiego, Monikę Kotowską (dziwne, że praktycznie biorąc nie było między nami kobiet pisarek) i Hindusów Kedara Natha i dra George Vaurgisa (z oboma kontynuowałem przyjaźń w Londynie).

Udało mi się też ustalić, że Andrzej Delinikajtis miewa się dobrze i mieszka w Warszawie. Wojtek Albiński nie "wypadł z Literatury", a po karierze geodety w Południowej Afryce, pisze doskonale powieści.



*Signature
of holder*

Date of issue

*for Secretary to Govt. of India,
Ministry of Information
and Broadcasting.*

GOVERNMENT  OF INDIA

130

PRESS CARD

Valid up to Feb. 28, 1959.

Name Mr. L. Szymanski

Nationality Polish

Newspaper/ix *represented*
News Agency

*The Contemporary,
Warsaw.*

*Accreditation is personal and
not transferable.*

No i były też dzielne żony. Niezbyt wiele, ale były: Ania Siewierska i Jadwiga Szymańska. Brakowało jakoś "girl friends" i żeńskiej młodzieży literackiej. Jedyna wybitniejsza osoba tego gatunku Magda Leja, nienawidziła mnie. Agnieszka Osiecka i Monika Kotowska trzymały się Marka Hłaski.

Skąd ten brak dziś tak licznych poetek, pisarek, dziennikarek itp, niech wyjaśni ktoś mądrzejszy ode mnie. Ja kobiet nie wyganiam, mogą o tym zaświadczyć z trzech kontynentów moje były małżonki.

Leszek Szymański



Jadzia
Szymańska



Leszek Szymański
c. 1956



Dr George Vourgiste
i Kedar Nath



ANIA
SIEWIERSKA

Dr. George V.

Paru odpoc
Warsz.

Paru o

Powish.



Nath

był

był



Wojtek
Siewierski →
to już lato
po-te
Leszek Szymański
c. 1959
←



Leszym
Jony Siewierski.
~~to to to~~
lata szkolne

Bohdan Sleskim
nie mam fotografii, daje jego rysunek

Talent

Pamięć LESZEK SZYMAŃSKI
Kosmiczny

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nego mogło się z nimi stać. Odtąd żywność jest pod moją kontrolą.

...Helena po śniadaniu dostała ataku hysterii. Mimo, że jest moją żoną, muszę stanowczo stwierdzić, że nie wywiązuje się z zadania tak jak przystało na uczonego. Dostaje taką samą porcję, jak każdy z nas. To jest niemoralnie domagać się więcej!

...Sytuacja jest coraz ostrzejsza. Pożywienia starczy na krótko. Lotu mamy przed sobą przynajmniej kilkanaście dni.

Robert nie odzywa się godzinami. Gdy się odwróć, czuję jego wzrok na plecach. Zaczęłam nosić przy sobie rewolwer. Dobrze, że tylko ja mam broń w pocisku.

...Helena patrzy na wszystkich takim wzrokiem, jakby chciała za-

wie osiągnąć wszystko. Gdyby nie Franciszkowie, Roberta by dziś nie było z nami. Czy myślicie, że on pojechał, żeby zdobywać wiedzę dla ludzkości, tak jak ja. Nie, on wyruszył po nowe zaszczyty, po nowe tytuły. Przez całe dwadzieścia lat ciężkiej pracy nie osiągnąłem tego, co on w pięć lat po ukończeniu uniwersytetu.

...na Helenie zawiodłem się tak jak na nikim w życiu. Nie można okazywać strachu w tak ohydny sposób. Każdy z nas jest słaby, każdy cierpi, lecz powinniśmy zachować godność. Tylko godność odróżnia nas od zwierząt. Czyżby wszystkim kobiety były jednakowe

...przez to, że ją kocham jej zachowanie poniża mnie bardziej niż Helenę. Nie mogę znieść myśli, że wszelkie zapewnienia o miłości giną na widok skórki chleba.

wy niczego nie osiągnie. Dobro stało się dlań wada, słabością, którą zaciekle zwalcza.

Szedł bezwzględnie i osiągnął wszystko, czego pożądał, lecz wszystko to robił wbrew swej naturze. O ile szczęśliwszym by był, gdyby mu się nic w życiu nie powiodło. Każdy sukces potwierdza regułę, w którą nie chce wierzyć.

Czuję się podłym i poniżonym. Strach zaczyna mnie ogarniać. Od strachu do nienawiści jest tylko krok. Dlaczego ludzie, boimy się śmierci?

...pożywienia starczy nam na pewno...

(Z NOTATNIKA ROBERTA)

...odkąd nabrałem pewności, że statek nasz nigdy nie wróci, zdałem sobie sprawę, że stałymi się tylko czwórka ludzi. Wszystkie stosunki społeczne, jakie nas łączyły, przestały istnieć. Nie ma siły, która potrafiłaby mnie zmusić do uznania czegoś wbrew mej woli. Profesor przestał być moim zwierzętnikiem. Jest po prostu gderliwym, szpakowatym pedantem o zarozumiałej twarzy. Bądźmy jednak konsekwentni. Nie to jest ważne, że profesor przestał być moim zwierzętnikiem, lecz to, że Helena przestała być jego żoną.

Nawet będąc na bezludnej wyspie, można by się obawiać ewentualnego wyciągnięcia konsekwencji przez prawo. Tu sytuacja jest idealna. Nikt do nas nie dojrze i my nigdy nie wrócimy. Muszę więc postąpić tak jak nakazuje rozum. Tylko rozum różni człowieka od zwierzęcia.

Mam dopiero trzydzieści lat, profesor po czterdziestce. Jestem silny, profesor jest słaby. Nie rozumiem dlaczego on ma mieć tę piękną kobietę. Na ziemi to byłoby ważne. Teraz nie ma praw i ich strażników. Prawo ja stwarzam...

...profesor zaczął coś podejrzawać, nie rozstaje się z rewolwerem. Śmieszny głupiec. Podwójny głupiec. Po pierwsze nie wie, że go i tak nic nie uratuje. Po drugie powinien mnie dawno zabić. Żywności by wtedy starczyło dla niego i Heleny. Oczywiście po usunięciu Franciszka. Z tym nie byłoby kłopotu.

Franciszek jest jeszcze jednym potwierdzeniem mojej tezy. Młodszy, jest jednym z najwybitniejszych fizyków w Europie i coś osiągnął. Nie ma nic, pieniądze, sławy, nawet samochodu. Profesor wykorzystał "wszystkie" jego odkrycia. Żeby chociaż był szczęśliwy, nie jest zbyt mądry i ambitny by nie spostrzec, co utracił przez swą ślamazarność i tchórzostwo. Tak, Franciszek zbyt kocha życie i obawia się śmierci, by nie biadał nad utratą powabów tego istnienia.

Aby go zgładzić, wystarczyłoby mu nie dawać jedzenia. Choć to okrucieństwo, lepiej go zabić.

Rysunek Bohdana



Bohdan Sleskim →

Rys. Bohdan Sleskim

pianistka, znosili chmare hałasliwych, często podchmielonych literatów, z niehumanitarną cierpliwością. Ojciec nawet pożyczał pieniądze tym najbardziej potrzebującym. Na jego zaproszenie przebywali w Polsce Vaugise i Kedar. Pisał bardzo mądre książki o telekomunikacji, których do dziś dnia nie potrafie zrozumieć. I to w tym gwarze i zamieszaniu i dyskusjach, które się omal nie kończyły bijatyką. Znał się na i interesował literaturą. Linguista władał kilkoma językami. Matka nie mogła grać na pianinie. We własnym mieszkaniu byli „burzujami” i nie mile widzianymi gośćmi. A ja młodociany duren uważałem, że powinni cierpieć dla Literatury.

Niniejsza "Księga Pamiątkowa" zawiera materiały, w których są rozmaite nieścisłości, a także opinie i stwierdzenia bynajmniej nie pochlebne dla "Współczesności" i piszącego te słowa.

Wdawanie się w polemiki, prostowanie mylnie podanych faktów zajęło by zbyt wiele miejsca i zmieniło charakter tej publikacji.

Pragnę jednak wzmiankować, że pewnego wczesnego ranka, a było to w okresie egzystencji "Współczesności", gdy wydawało się nam, że każdy podmuch nieprzyjawnego wiatru wtrąci nas w przepaść nicości, zjawił się u mnie w mieszkaniu na Ludnej (ciekaw jestem czy wmurowano tam historyczną tablicę), pewien wysoki, przystojny kolega. Ku memu zdumieniu, bez większych wstępów zażądał pieniędzy. Gdy odmówiłem, zagroził, że wywali taki artykuł, iż nas zamkną. Pracowałem wtedy w sztandarowym piśmie literacko-politycznym, którym Gomułka zastąpił "Nowa Kultura" i "Przegląd Kulturalny". Jeszcze tego samego ranka pośpieszyłem do redakcji, gdzie przyjął mnie uprzejmie naczelny, wtedy beniaminek tow. Wiesława, a w przyszłości czołowa postać polskiej polityki.

Złowrogi artykuł (a mieliśmy na ten temat kompleks) nie ukazał się. Natomiast ukazały się liczne złośliwości w innych pismach, pióra owego kolegi, skierowane pod moim i pisma adresem.

Inny nieprzyjemny incydent miał miejsce, gdy na zebraniu w ZLP, Jacek Wilczur (a nie Wilk, przepraszam za ustawiczne przekręcanie nazwisk) oskarżył nas, że jesteśmy finansowani przez CIA, a ambasada amerykańska wykupuje z kiosków setkami numery "Współczesności". Oskarżenie wydało mi się absurdalne, ale wiele lat później dowiedziałem się, że attache kulturalny ambasady, mój imiennik, ale znany jako Edward Symans miał związki z wywiadem.

Z innej beczki.

Ponieważ Grupa Literacka "Współczesność" została ipso facto zaakceptowana, starały się dobić do nas prawdziwe, ale organizacyjnie słabiotkie grupy literackie np. "Helikon" Leszyna, "Kafkanie" Tchorka i prywatna inicjatywa, czyli demokraci literaccy, nie pamiętam pod czyim przewodem. W miarę możliwości staraliśmy się otwierać im łamy. To było nasze szczerze i prawdziwe zobowiązanie.

Pamiętam też proletariacko-ludowego poetę mianem Dusza, który pisał zajadłe fraszki i satyry polityczne. Utkwiło mi w pamięci zdanie, "a Rząd kwiczał jak świnia". Nie mogliśmy tego drukować. Poeta nawymyślał mi od tępotliwych stalinistów i zniknął. Jak fama głosiła wyjechał do Ameryki.

Później podejrzewałem Edwarda Duszę o te wyczyny poetyckie, ale okazał się być niewinnym.

Mówiąc poważnie.

Nie wymieniłem w tym artykule wielu osób, którym by się należała przynajmniej wzmianka. W tej chwili przypominam sobie (z góry przepraszam za przekręcenie nazwisk i imion), Janusza Kiszczczyńskiego, Jerzego Tuszewskiego, Piotra Wierzbickiego, Władysława [Rocha] Łukomskiego (zginął wraz z Iwo Placheckim w wypadku samochodowym), Tadeusza Makomaskiego, Monikę Kotowską (dziwne, że praktycznie biorąc nie było między nami kobiet pisarek) i Hindusów Kedara Natha i dra George Vaurgisa (z oboma kontynuowałem przyjaźń w Londynie).

Udało mi się też ustalić, że Andrzej Delinikajtis miewa się dobrze i mieszka w Warszawie. Wojtek Albiński nie "wypadł z Literatury", a po karierze geodety w Południowej Afryce, pisze doskonałe powieści

Należy też wymienić cierpliwe i wyrozumiałe żony Anie Siewierska i moja owczesna malzonka Jadwiga z domu Ornowska. A także rodzice. Mojemu ojcu Kazimierz, naczelnik, czy też zastępca naczelnika wydziału zagranicznego w Ministerstwie

w kawiarniach i restauracjach, przed kinami i teatrami, w parkach, z ciężarówek. Płaciliśmy honoraria tylko tym, którzy by bez nich zginęli. Nie wedle zasad wierszówki, ale potrzeby. Pewnego razu największe honorarium dostał Marian Ośniałowski, bo w zimie chodził w tenisówkach. Później się okazało, że nie używał on innego typu obuwia bez względu na porę roku. Kiedyś Leszyna szef "Helikonu" pożyczył nam pieniądze, które zebrał w istnej odysei na pismo poetyckie, na które nie dostał pozwolenia. Daliśmy mu parę stron pisma na "Helikon". Roman Śliwonik był najwybitniejszą osobą w naszym gronie. Prowadził dział poezji. Andrzej Chaciński był wspaniałym sekretarzem redakcji, Andrzej Delinikajtis zorganizował administrację. On to nas poinformował, że musimy być osobą prawną i zarejestrować nas jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Nasi władcy też chyba się nie znali na prawie, bo zezwolenie otrzymane na moje ręce opiewało na grupę literacką "Współczesność". Jerzy Czajkowski był moim niezmordowanym pomocnikiem. Wiele innych osób, których nazwisk nie pomnę lub których wyliczanie byłoby zbyt nużące w tym miejscu, pomagało nam piórem lub fizycznie w utrzymaniu pisma. Był to okres bohaterski.

Brak pieniędzy zmuszał nas do szukania rozmaitych protektorów, włączając w to Stronnictwo Demokratyczne i PAX. W zamian dawaliśmy im po parę stron, wyraźnie różniących się od reszty pisma. Tak jak zrewanżowaliśmy się "Helikonowi". Oczywiście była to nienormalna sytuacja, nie było możliwości utrzymania politycznej linii pisma i słusznie zarzucano nam lawirancтво. Odpowiedzieć nie mogliśmy. Cały czas balansowaliśmy na linie i każdy zarzut, oskarżenie czy złośliwość, choćby pomówienie o propagowanie grafomaństwa mogło nas zlikwidować. Dlatego pośrednie oskarżenie nas o faszyzm, to jest kontynuację poezji Marinettiego (oskarżył nas Antoni Słonimski, a głównie zawinił Jerzy Czajkowski), czy Drozdowskiego pod pseudonimem Zoila (Drozdowski w końcu został redaktorem "Współczesności") mógł zakończyć naszą karierę linoskoczków.

To były sprawy polityczno-kuchenne, mało komu wiadome, ale co było wyraźnie widoczne, to fakt, że w ustroju totalitarnym reprezentowaliśmy "free radical", dość już potężną grupę nie tylko pisarzy, ale młodzieży twórczej i kilka niezłych numerów pisma.

Pewnego dnia Starr telefonicznie polecił mi stawienie się w KC. Rozmawiałem tam z tow. Bębenkiem. Ten bez ogródek poinformował mnie, że albo przejdziemy do "Ruchu", albo zostaniemy skutecznie zlikwidowani. Obiecał mi etaty redakcyjne i normalizację wydawania pisma, a na politruka przysłał mi Józefa Lenart, obiecującego działacza młodzieżowego, redaktora ze "Sztandaru Młodych" i byłego sekretarza Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej. Dorzucono mi jeszcze Tadeusza Sztrumfa. Nakaz KC PZPR miałem trzymać w ścisłej tajemnicy, ale oczywiście musiałem poinformować kolegów, choć nie wymieniałem nazwisk.

Józef Lenart, który kiedyś się wyraził, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną nim ja wydam "Współczesność", teraz zaawansował na mojego zastępcę. Muszę mu przyznać, że był taktowny i nie panoszył się. Ale okres naszej niepodległości był zakończony. Nakazano mi wstąpienie do Partii wraz z kolegami, bez wyznaczenia terminu, ale prędzej czy później.

Wybrałem wolność. Byłem wtedy w Indiach. I tak zaczęło się moje życie emigracyjne, przez Australię do Anglii, z Anglii do USA. Zacząłem pisać po angielsku. Z polskiego pisarza stałem się pisarzem australijsko-amerykańskim. Metody twórczej nie zmieniłem. Do tej pory jestem wierny "współczesności".

P.S.

Poznańskich" zamknął wszystkie pisemka młodzieżowe, ze szlachetnym wyjątkiem "Po prostu". Józia zwano wtedy czasem Sucha Rączka, po jego wypowiedzi, że kto podniesie rękę na Socjalizm, to mu ręka uschnie, a jak nie uschnie to mu się ją obetnie. Antoni Slonimski dostarczył precedensu pisać, że skoro pisał przeciw socjalizmowi prawa reka, to teraz pisze wychwalając socjalizm lewą nogą, pardon reka. Czego ten człowiek nas atakował to trudno mi wytłumaczyć czym innym jak złościwością.

Udało mi się odzyskać zezwolenie bez większego trudu, prestiżem Kuryluka i Broszkiewicza, paru innych pisarzy oraz Koła Młodych. Nawet młodzi literaci mieli wtedy swój ciężar gatunkowy i honorowe miejsce na oficjalnej piramidzie godności. Pamiętam, że gdy przyjęto mnie do Koła Młodych odetchnąłem z ulgą, bo jako niepracującemu chuliganowi z więzienną (polityczną) przeszłością, groziła mi deportacja z Warszawy. Zwłaszcza, że uwielbiałem wąski spodzien, kolorowe skarpetki i długie włosy zaczesane w jaskółkę. Moim własnym dodatkiem były bakenbardy à la Mickiewicz.

Stroj ten był też wyrazem protestu przeciw reżymowi. Pamiętam jak mnie zdumiało, gdy mój kolega Mikusiak, jeszcze bardziej elegancki niż ja, zdradził się ze przyodziewa się w bikiniarskie szaty nie by być „przeciw”, ale bo to jest modne.

Ta druga likwidacja pisma była już na serio. Wiesio zaczynał kasać mlecznymi ząbkami. Nie pomogły konferencje z roznorakimi dostojnikami i ponowne interwencje przyjazne do nas nastawionych starszych pisarzy. Dzisiaj jestem pewien, że ta ich pomoc miała odwrotny skutek.

W końcu udało mi się przydybać tow. Wiesława na wiecu w Pałacu Kultury i dał nam zezwolenie na wydawanie pisma, nadal bez papieru i pieniędzy, a co najgorsze pod surowym zakazem pisania czegokolwiek o polityce. Warunek, który w owych rozgorączkowanych czasach był ekwiwalentny wyrokowi zgłady, a w opinii publicznej automatycznie przeciwstawił nas "Po prostu". Przypominam zgryźliwie organowi byłych Zetempowców. Pamiętam, że w czasie mojej krótkiej rozmowy z Gomułą, poinformował mnie, że czołgi sowieckie były już na przedmieściu Warszawy, że to on uratowali nas przed rosyjską inwazją i że pisarze nie będą rządzić Polską.

Od tego czasu zamykano nas jeszcze kilka razy, bez konkretnych zarzutów, chyba na znak ostrzegawczy, abyśmy nie podskakiwali. Zezwolenie odzyskiwaliśmy bez większych trudności. Przestrogi były skuteczne, bo stałem się cenzorem własnego pisma. Być może zamykano nas by zrobić komuś nas protegującemu na złość. Pewnego razu zamknięto nas prawie skutecznie, za ogólnie niewłaściwą linię pisma. Uratował nas wtedy Zdzisław Jerzy Bolek, chyba jedyny wtedy przedstawiciel proletariatu w naszej grupie. Wysoki blondyn o orlich rysach twarzy, odznaczał się niesłychaną energią

i optymizmem. Co najdziwniejsze znalazł chyba wszystkich młodszych i starszych pisarzy. On to ściągnął do nas Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośnialowskiego, a w pewnym okresie Mirona Białoszewskiego i Zbigniewa Herberta. Zapewnił nam też protekcję Jerzego Putramenta, który słynął z konkretnej pomocy udzielanej pisarzom. Znał też wiele innych ważnych osobistości.

Tenże Putrament później, gdy zostałem na emigracji, wymyślał mi w radio i prasie. Nie dziwię mu się. Najpierw Miłosz, później ja, zrobiliśmy mu takiego samego szpasa. Przykro mi do dziś dnia, bo Putrament nas popierał. Sympatycznie byli do nas ustosunkowani Jan Wyka, Anatol Stern, Jerzy Broszkiewicz i Stanisław Rembek. Zezwolenie odzyskaliśmy, ale ciągle byliśmy na własnym gamuszu, bez pieniędzy i niezbędnego przydziału papieru. Sprzedawaliśmy numery pisma na rogach ulic,

Hłasko wtedy na Parnasie szedł o własnych siłach. Monika Kotowska i Agnieszka Osiecka trzymały się jego, a nie nas.

Grupa "założyła się" formalnie w mieszkaniu Alicji Wankracowej, studentki historii i koleżanki Jerzego Siewierskiego. Jej, a właściwie jej rodziców, obszerne pomieszczenie, znajdowało się symbolicznie na wałach Woli.

Mając grupę, mogliśmy się starać o pismo. Ówczesny Minister Kultury, Karol Kurtyka, był do nas przychylnie nastawiony i wyasygnował bodaj dziesięć tysięcy złotych, nie na periodyk, ale jednodniówkę.

Zebrałiśmy materiały, bynajmniej nie imponujące. Nikt z nas nie miał pojęcia o drukarstwie, ale dołączył się do nas Jacek Wilk, zawodowy redaktor techniczny z Expressu Wieczornego. On nam pomógł złamać numer. Dzięki niemu dołączył do nas Andrzej Korczak, jego redakcyjny kolega i towarzysz z partyzantki. Obaj byli od nas starsi. Numer został zamontowany latem 1956 roku. Ukazał się na początku października. Pomysłem Korczaka było wpakowanie zdjęcia miotanego wichrem drzewa, na pierwszą stronę. Nolens volens nabrało to symbolicznego znaczenia.

W dalszym ciągu nie mieliśmy zezwolenia na drukowanie pisma, ale udało mi się przeszmugłować datę 1-go października tak, że wyglądało to jak numer pierwszy. Myślę, że ktoś w Cenzurze patrzył na to z przymrużeniem oka. Cenzura choć nie mogła się przeciwstawiać zasadniczym instrukcjom Partii, była zarażona gorączką liberalizmu. Ostatecznie cenzorzy sami się rozwiązali. Oczywiście przyszła nowa ekipa, bardziej gorliwa i drobiazgową.

Ten to numer "pierwszy" został przyjęty przez niezwiązanych z nami członków Koła, szyderstwami, drwinami i oskarżeniami o grafomanię.

Takie czy owakie, prywatne pismo było w tym czasie bez precedensu. W dodatku przez trik numeru pierwszego było faktem dokonanym. Nie ukazanie się numeru drugiego byłoby oskarżeniem o zamknięcie niewinnego "grafomańskiego" pisemka. Zapewne oskarżenie nie wielkiej wagi, ale zawsze... zwłaszcza, że sytuacja była przedrewolucyjna i wielu starych partyjniaków oskarżonych o utrzymywanie Kultu Jednostki (co to była za jednostka, masę mogły się tylko domyślać) drżało o swe przywileje i wołało się nie narażać nowym władcom, nawet tym w pisarskim narybku. Surową krytykę przyjęliśmy konstruktywnie. Ktokolwiek nas słusznie krytykował był zaproszony do współpracy i polepszenia pisma. Takie podejście przyniosło sukces.

Przybyło nam współpracowników. Doszli też ludzie z poza Koła Młodych, tak jak Czajkowski, Brycht, Nowakowski, Delinikajtis, Irzyk, Słojewski, Z. J. Bolek. Udało mi się też wydębnić wreszcie pozwolenie na wydawanie pisma, choć bez przydziału papieru i pieniędzy.

Andrzej Korczak dodał nam rozmachu. Złamał numer super nowoczesnie. Wprowadził tytuły małą literą, co było straszliwą innowacją. Zaproponował nawet reformę pisowni. Zdobył reklamy, rzecz wtedy niesłychana no i nowy powód do drwin. Z kolei ja zaproponowałem Zdzisławowi Pietrzakowi, jednemu wtedy między nami poloniście, firmowanie takiej reformy. Odmówił, nie chciał się narażać profesorom.

Korczak dostarczył nam tłumaczeń prozy amerykańskiej. Znal Hiszpański a nawet Wietnamski. Jako zawodowy redaktor „Expressu” miał też dostęp do prasy zagranicznej. Ja wystarałem się o parę artykułów na temat poezji, choć to nie był i nie jest "my cup of tea". Pomógł nam też hinduski członek grupy Kedar Nath oraz George Vaurgise. Numeru 2-giego nie było co się wstydzić. Była to prawdziwa bomba! Na pierwszej stronie widniał wiersz Romana Śliwonika "Braciom Węgrom". Wiersz ten wpadł, jak mi doniesiono, w oko Gomułce i nastąpiła katastrofa. Cofnięto nam zezwolenie. Dwa numery i dwie likwidacje na koncie. Pierwsza była prewencyjna, nim pismo się ukazało. Tow. Józef Cyrankiewicz po "Wypadkach

Z drugiej strony ludzi, którzy od dawna protestowali przeciw rzeczywistości nadal nie dopuszczano do głosu. Monopol na głoszenie nagle olśniewającej prawdy nadal mieli obecni lub dawni posiadacze legitymacji partyjnych, łącznie z tow. Wiesławem. Na przykład główny socrealistyczny krytyk Jan Kott się nawrócił. W „Po prostu” rej wodził Leszek Kołakowski niegdyś gorliwy partyjniak itd., czyli Ci co mogli się drukować za stalinizmu. Upřednio i obecnie była umiarkowanym wyjątkiem prasa katolicka, która liczyła się moralnie, ale nie miała wpływu na rządzenie krajem.

Gomułka wykorzystał odwilż po śmierci Stalina. To samo i ja zrobiłem, bez złudzeń, że w dalszej perspektywie tow. Wiesław będzie się rozkoszował wonią stu czy tam więcej kwiatów kultury. Większość ludzi, którzy nie doświadczili stalinizmu, nie zdaje sobie sprawy, że tylko rzeczy przepuszczane przez cenzurę tj. wydział prasowy KC, mogły być drukowane i upowszechniane. Tak było przed i po Gomułce. Za stalinizmu, Tygodnik Powszechny został bez zbytniego hałasu zlikwidowany przez zmianę składu redakcyjnego. Gdy „Po prostu” za bardzo się rozbrykało i ufne w swą popaździernikową popularność zaczęło się stawiać, Gomułka „po prostu” i bez ceregieli je zlikwidował. Rozruchy zostały zlikwidowane w zalazku przez milicję i O.R.M.O. Nowa Kultura i Przegląd Kulturalny też padły. Gomułka zastąpił te pisma „Polityką”, pod redakcją swego beniaminka Mieczysława Rakowskiego i Stefana Żółkiewskiego. Dziwnym trafem nasz kolega ze „Współczesności” Aleksander Wieczorkowski nagle wyladował w Polityce.

W takiej sytuacji szczeniakowate zachłyśnięcie się pseudokowbojską literaturą Krystyna Wanda, nota bene wyegzekwowane piórem Zbigniewa Słojewskiego, spełniło podwójne zadanie, a) pokazało, że prócz literatury rozczarowanych marksistów istniała jakaś inna, b) że chłopcy, którzy potrafią się zachwycać kowbojską literaturą, nie mogą zagrażać ustrojowi.

Podobnemu celowi służył długi reportaż Romana Śliwonika o sytuacji młodych pisarzy w NRD. Zarzucano nam, że byliśmy zawodowym piśmem młodych literatów głównie zainteresowanych możliwością druku i wysokością honorariów. O to właśnie chodziło!, żeby czynniki decydujące tak myślały.

Nie będę tu poruszał kulisów powstania „Współczesności”, rozmaitych sprawy lawirancich manewrów i ostatecznego przejęcia nas przez partię. Omówiłem to i w artykule w paryskiej „Kulturze” i w wywiadzie Danuty Błaszak. Sa te sprawy na ogół poprawnie omawiane w artykułach innych kolegów.

Tu chciałbym ponownie zwrócić uwagę na to, że niektóre wytwory badaczy literatury oparły się głównie na oficjalnych wypowiedziach reżymowych pisarzy i publicystów. Na tych pierwszych artykułach oparli się następni badacze. I tak począł się mirażowy, optyczny telegram.

Z makrokosmosu do mikrokosmosu powtórzę, że nigdy nie byłem na utrzymaniu żony, bo udawało mi się utrzymywać z pióra i że dostałem trzecią nagrodę ZLP za opowiadanko o Mickiewiczu, a nie paxowską nagrodę. Otrzymałem także równorzędną nagrodę Teodora Parnickiego, która ułatwiła mi wyjazd do Indii i pozostanie na emigracji. Do wyjazdu zachcił mnie Wydział Prasowy. Do pozostania na emigracji nakaz wstąpienia do partii, i to z kolegami.

Grupa bazowała zasadniczo na członkach Koła Młodych przy ZLP. Do mojego projektu założenia grupy literackiej dołączył się od razu Roman Śliwonik, wtedy głośny autor „My”, tak sławny w poezji, jak Marek Hłasko w prozie, również i jego wtedy nieodłączni koledzy Wojtek Albiński i Andrzej Chaciński. Eugeniusz Kabatz i Aleksander Wieczorkowski trzymali się na uboczu. Ale Kabatz wszedł do redakcji. Magda Leja była nastawiona wrogo. Ciekawe, że w grupie nie było kobiet. Marek

polityczni, w ogóle przedstawiciele elity narodowej byli mordowani w pierwszej kolejności. Przyjaciele ci i znajomi jeśli w ogóle coś wiedzą o niemieckiej okupacji Europy, zestawiają okupację Polski z okupacją Francji, gdzie kwitło życie intelektualne i były otwarte uniwersytety. Opinia ta utrwaliła się do dziś. W latach siedemdziesiątych napisałem tekst książki "Warsaw Aflame" i zebrałem fotografie. Mój przyjaciel Czesław Bąsiewicz dorzucił grafiki, wmontował fotografie i wydał książkę. Polonia oczywiście go nie poparła. Ot, smutna refleksja na temat ludzi, którzy podnoszą krzyk, gdy ktoś ich oczernia i uważają się za patriotycznych Polaków.

Po wojnie zapadła Żelazna Kurtyna odcinająca nas od Zachodu. Szczególnie trudna do spenetrowania, dla nas najmłodszych, którym kazano patrzeć się na „osiągnięcia” literatury sowieckiej, którym nie mieliśmy nic współczesnego do przeciwstawienia.

Dzieciństwo mojego pokolenia przypadło na lata wojny. Większość moich kolegów była wychowana przez matki. Ojcowie zginęli za Okupacji, lub pozostali na emigracji. Nasza wczesna młodość przypadła na stalinizm, szczęśliwie w jego końcowej, stosunkowo łagodnej fazie. Byliśmy zbyt młodzi by pamiętać okres przedwojenny. Coś nieco z tego okresu tykaliśmy w latach bardzo względnej swobody (łagodnej rewolucji) zaraz po wojnie, gdy starsi usiłowali nawiązać brutalnie zerwany kontakt z Zachodem, gdy książki różnych polskich autorów, nawet tych z emigracji były jeszcze drukowane, gdy jeszcze istniały szpary w żelaznej kurtynie.

Ale lata naszej wczesnej dojrzałości przypadły na tryumfujący stalinizm. Nie mówię tu o prześladowaniach i sterroryzowaniu społeczeństwa. Większości z nas (przynajmniej tych, którzy nie mieli ojców w Anglii) terror groził tylko pośrednio. Przyjmowaliśmy to jako coś naturalnego, zło normalne, nie mając skali porównawczej.

W literaturze obowiązywał socjalistyczny realizm. Jako wzór międzynarodowej proletariackiej powieści służyła "Matka" Maksyma Gorkiego, radzieckiej "Jak Hartowała się Stal", a rodzinnej "Numer 17 Produkuje" i "Pamiętka z Celulozy". Przypomina o tym w swej twórczości Marek Nowakowski. W malarstwie i rzeźbie panowali Lenin i Stalin w rozmaitych wcieleniach oraz wyidealizowani robotnicy i chłopcy. W muzyce Kantata o Stalinie i piosenki o bojowych traktorach, o podawaniu czerwonej cegły. W filmie był to człowiek z karabinem i jasne łany. Borejsza rządził „Czytelnikiem” a młodemu powojennemu pokoleniu pisarzy przewodził Roman Bratny. Przedwojenni pisarze, albo się podporządkowali PRL-owskiemu regułom produkcyjnym, albo znaleźli schronienie w wydawnictwach katolickich lub paxowskich, albo przestali pisać lub pisali do szuflady.

Po latach socrealistycznego zniekształcania współczesności, wiersz sztandarowego poety Adama Ważyka o Nowej Hucie, gdzie zauważył, że nie wszystko było tam idealnie, opowiadania Marka Hłaski (nie staram się umniejszyć jego talentu) i artykuły w "Po prostu" typu król jest nagi, o sklepach za żółtymi firankami, o czystkach stalinowskich i rewelacja, że AK nie było takim zapłutym kartem reakcji jak to się wydawało uprzednio -mogły stać się rewelacją. Nie tyle przez geniusz autorów, ile przez tematykę i fakt, że cenzura przepuściła to drukiem. Bez zrozumienia soc-realizmu i terroru psychicznego nie można pojąć dlaczego „Dwu Ludzi z Szafa” stało się sensacją. Podobny film z Laurem i Hardym pozostaje śmiesznym, ale apolitycznym w wydźwięku. Nawet moja „Kłozet babcia” raczej ezoteryczne opowiadania z którego roman Polanski zrobił krótkometrażówkę, cieszyła się powodzeniem.

Miłosza w "Oficynie Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków, którym zasugerowałem tytuł ich kwartalnika „Oficina Poetów”).

Nikt nie mógł się zaprezentować bez oficjalnego szyldziku. Nawet organ prasowy hodowców gołębi, czy esperantystów. Pisma katolickie i paxowskie też musiały mieć oficjalną akceptację, no i przydział papieru i stosować się do przepisów gry. Niestety kamuflaż był jedną z reguł. Na próżno Kisielewski błagał o zezwolenie na lojalną opozycję. Ludzie nie znający reguł gry, nie byli dopuszczani do szachownicy. Sięgając po współczesną analogię, nawet geniusz musi znać szyfr operowania komputerem. Bez hasła "sezamu" skarbnica się nie otworzy. Należy odnotować, że większość porządných i cenných ludzi starszych pokoleń trzymała się z dala od gry i jej obrzydliwych przepisów. W rezultacie szlachetnych pobudek świnie i łajdaki miały otwarte pole do popisu. Nigdy nie zapomne, gdy na jednym z zebranych Z.L.P. mowca stwierdzał, „Wszyscy jedliśmy ropuche”, a Egeniusz Żytomirski odkrzyknął, „Nieprawda, tylko h.... damskie!”

Na pierwszych pracach o "Współczesności" oparli i będą się opierać następni badawcze. Jak na przykład na artykule p. Ewy Glebickiej. W ten sposób odbicie krzywego zwierciadła zostanie przekazane mirażowym łańcuchem w niewiadomo jak odległą przyszłość.

Pragnę się zastrzec, że to co ja pamiętam o powstaniu pisma i grupy "Współczesności" może, a nawet powinno być poddane rewizji i uzupełnieniom. Zwierciadło moich wspomnień też zaszło mgłą zapomnienia. Ostatecznie 50 lat to pół wieku. Rozmawiając z Jurkiem Siewierskim w Los Angeles po kilkudziesięciu latach niewidzenia się, zestawiliśmy nie odmienne, ale różne wersje naszych lat szkolnych. Czytając moje wspomnienia o Marku Hłasce pisane na świeżo po jego śmierci, parę lat temu z przerażeniem stwierdziłem, ile rzeczy zapomniałem. Mówiąc na temat zawodności pamięci prostuję, że nigdy nie byłem na utrzymaniu żony. Chyba od szesnastego roku życia udawało mi się dorabiać piórem, pisząc do Świata Młodych. Debiutowałem zarobkowo w "Szpilkach", później w większych i mniejszych pismach włączając w to "Kobietę i Życie". Wszystkie płaciły sute honoraria. Zdobyłem trzecią nagrodę w konkursie ZLP za opowiadanie o Mickiewiczu, a nie w paxowskim konkursie. Nota bene, przypominam, że PAX przy wszystkich swych wadach i paskudnej roli, był oazą zdrowego rozsądku, gdzie wielu dobrych, a nie reżymowych pisarzy znalazło przytułek. Staszek Grochowiak debiutował w Pax'e. Z Paxu Irzyk sciągnął do nas Brychta. Pax dał przytułek Stanisławowi Rembekowi i innym. Tam się produkowali Teodor Parnicki, Stanisław Cat Mackiewicz i Melchior Wankowicz. Lista jest długa.

Z innej beczki: Ania Siewierska przytacza anegdotkę, gdy byłem świadkiem jej kościelnego ślubu, niezbyt dokładnie. A było to tak. Ksiądz spytał mnie o zawód. "Pisarz, odpowiedziałem dumnie". Osoba duchowna spojrzała na mnie z powątpiewaniem, "Pisarz, a gdzie to?" – A przy gminie. – To jeszcze są tacy?" Ano, paru się zostało."

I tak zostałem uwieczniony w księgach kościelnych jako ostatni pisarz gminny. Myślałem, że był to casus bez precedensu, tymczasem parę miesięcy później Kwaternik Miejski potraktował Stanisława Grochowiaka jako pisarza wiejskiego, ale o tym na innym miejscu.

Moich przyjaciół nie-Polaków zadziwia, że za Okupacji średnie szkoły i uniwersytety były zamknięte, że nie wydawano polskich książek, że intelektualiści i działacze

Zaczyna się wrzenie przedrewolucyjne. Bierut udał się na kongres sowieckiej partii Komunistycznej, gdzie Chruszczow wygłosił swe słynne i trzymane w Polsce pod stołem, antystalinowskie przemówienie. Bierut wygodnie umiera. Berman i Radkiewicz zostają usunięci. Ochab antystalinowiec ma otwarte pole do działania. Antoni Słonimski staje się prorokiem nowego liberalizmu. Rewelacyjne artykuły, wiersze i opowiadania oficjalnie akceptowanych pisarzy, ukazują się w prawie wszystkich pismach. Pojawiają się rozmaite pisemka studenckie i satyryczne teatryki. Partia przeprowadza rozmaite rozróbki w swym łonie.

W Poznaniu dochodzi do rozruchów krwawo stłumionych.

Tworzą się jednak rozmaite rady robotnicze i zakładowe. Ludzie wiecują i żądają demokratyzacji, a nawet suwerenności. Ochab dokoptował Gomułkę, który obok kardynała Wyszyńskiego nagle stał się bohaterem ludowym "bo siedział". Sowietci szykują się do marszu na Warszawę ze swych polskich baz. Robotnicy na Żeraniu, pod przywództwem nowego bohatera ludowego prototypu Wałęsy – Goździka, szykują się do odparcia czołgów. Do Warszawy przylecieli Chruszczow, Mołotow i Mikołaj. Gomułka przekonał ich o swej wiernopoddaniczości. Na zewnątrz wykorzystał jednak antysowieckie nastroje, by pod pretekstem "polskiej drogi do socjalizmu" zagarnąć władzę i zlikwidować antykomunistyczną opozycję.

Dziś, gdy każdy może założyć sobie własne pismo, czy pisemko, nawet niekoniecznie drukowane, bo Internet rozwiązuje kwestię papieru, druku i kolportażu, większość tych młodych ludzi nie zdaje sobie sprawy, jakim przełomem była "Współczesność", a właściwie ruch młodzieży twórczej dziś określanej jako Pokolenie Współczesności. Był to przełom! - reakcja na socjalistyczny realizm, pierwszy haust wolnej twórczości, choćby zakamuflowanej żargonem marksistowskiego "newspeak'u".

Czasem pył przeszłości jest kurzem spowodowanym przez tych, którzy są obecnie u władzy i którym zależy na chwalebnej dla nich interpretacji wydarzeń. W miarę postępu chronologicznego, historyczna prawda staje się coraz trudniejsza do ustalenia i coraz mniej ważna.

Pamięć ludzka jest bardzo zawodna i nawet, starając się zachować obiektywizm, mimowolnie ubarwiamy i selekcjonujemy przeszłość. Czasem jednak jest to stosowanie świadomego filtru. Niektórzy historycy i badacze literatury, w przypadku "Współczesności" oparli się głównie na wypowiedziach reżimowych pisarzy, mimowolnie lub świadomie przekazując skrzywiony obraz. Żle to świadczy o ich rzetelności. Obowiązkiem historyka jest zdawanie sobie sprawy z kryteriów i tła epoki i zastosowanie tej wiedzy do specyfiki opisywanych wydarzeń. Nie można brać oświadczeń i deklaracji pisanych dla cenzury i wydziału prasowego PZPR poważnie. Na przykład nasz manifest omawiany ze znanostwem i bardzo na serio, czy ten zawstydzający "sąd" na Markiem Hłasko, wyreżyserowany niczym procesy moskiewskie.

Grupa literacka nie mogła istnieć bez manifestu, ale manifest musiał być napisany tak, by został zaakceptowany przez Partię. Dziś, ktokolwiek chce założyć pismo literackie, może je założyć bez deklaracji ideowych. Adam Ważyk wyczuwał nasz kamuflaż. "Co właściwie łączy? Czym jest wasza grupa"? Łączył nas wiek i wspólne krytyczne spojrzenie na otaczającą nas współczesność. Reprezentowaliśmy nie tylko literatów, lecz całe ówczesne twórcze pokolenie muzyków, aktorów, filmowców, plastyków, a nawet tancerzy. Tą twórczą gromadą zajmowali się głównie Jerzy Czajkowski, Roman Śliwonik i Anna Siewierska. W pamięci utkwiło mi tylko parę nazwisk: Okołow, Bohdan Slezkin, Marek Oberlander, Janusz Kieszczyński, Krzysztof Komeda, Piotr Krassowski, Wojciech Siemion (spotykałem go i Czesława

leszek szymański

o współczesności po prostu

Przeszłość abstrakcyjna mgła, która nabiera kształtów i barw w naszej wyobraźni, ulega dalszemu zniekształceniu odbioru, spowodowanemu próchnym nieuniknionej zagłady.

W 1956 roku tak odległymi były dla mnie wydarzenia Rewolucji 1906 roku, więc pięćdziesięciu lat wstecz, jak obecnie są wypadki 56-roku dla wnuków twórców "Współczesności".

Jak wiele może wiedzieć o tych sprawach pokolenie obecnych 25-latków, a nawet pokolenia wcześniejsze? Świadkowie Historii, w dodatku nie zawsze wiarygodni, ciągle ubywają. Nieuniknienie teraźniejszość rzutuje na zrozumienie przeszłości. Był określa świadomość, jak uczono nas na lekcjach Marksizmu-Leninizmu. Wnukowie, a nawet synowie założycieli "Współczesności", pytają się ze zdumieniem, co takiego niezwykle było w tym piśmie? Ot, tak jak "Po prostu", jeszcze jedno pismo młodzieżowe z zamierzchłej przeszłości, mniej ważne niż "Chimera". Ot, jedna z kilkuset grup wymienionych w dziele "Grupy Literackie w ZLP". Dla pełni obrazu podaję zarys wydarzeń od roku 1945 do Października 1956 (przepraszam za niesamowite uproszczenia).

W połowie 1945 Sojusznicy w nagrodę za nieugiętość i pomoc w wysiłku wojennym, oddali Polskę Stalinowi. Zbrojny opór zakończył się w 1947. Żelazna Kurtyna jednak nie zapadła gwałtownie. Zmiany wprowadzono stopniowo, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy kulturalne i literackie. Jerzy Borejsza przewodził łagodnej rewolucji. Bolesław Bierut stalinowski pionek pozbył się Gomułki. Od 1949 Jakub Berman przewodził frontowi ideologicznemu, który zaakceptował socjalistyczny realizm jako oficjalną linię, a w następnym roku aparat terroru zaczął sprawnie funkcjonować. Kongres ZLP w Warszawie zaakceptował nie tylko "sorealizm" jako jedyną metodę twórczą, lecz podjął się roli ideologicznego centrum. Tłumaczenia z literatury sowieckiej zalały kraj. Kościół, który się znajdował w quasi akceptowanej ideologicznej opozycji, zaczął być prześladowany. Rozmnożyli się księża-patrioci, wzrosły wpływy prorządowych katolików zorganizowanych w "PAX". Wreszcie kardynał Stefan Wyszyński został aresztowany.

W marcu 1953 roku Stalin zmarł. Bierut przestał otrzymywać rozkazy z Kremla, względnie otrzymywał sprzeczne instrukcje. Zaczęły się wewnętrzne rozgrywki w Politbiurze sowieckiej Partii Komunistycznej. Beria szef bezpieczeństwa sowieckiej został rozstrzelany. Malenkov zainicjował łagodniejszy kurs. Nasi partyjniacy zaczęli się obawiać o swe posady, a nawet skóry. Bierut siedział jednak mocno w siodle i trzymał w ręku aparat bezpieczeństwa. Jednak usunął się częściowo z widowni powierzając funkcje premiera staremu socjaliście Józefowi Cyrankiewiczowi. W Moskwie Bułganin usunął Malenkowa i udzielił poparcia Bierutowi. Jednak wielu starych partyjników zorientowało się, że z Moskwy wieją inne wiatry. Inni partyjniacy, którzy nie mieli tak dogodnego miejsca przy żłobie, zaczęli kombinować, jak usunąć stary zespół i zająć opróżnione miejsca.

Dziwnym trafem pismo Związku Młodzieży Polskiej "Po prostu" zaczęło drukować pseudo rewelacyjne artykuły stwierdzające, że król jest nagi. Choć była to prawda naoczna, ujrzanie potwierdzenia tego w druku było czymś niezwykłym. Nakłady „Po prostu” rosły fenomenalnie, a pismo stawało się sztandarowym organem „rewolucji”.

Roman Sliwonik

Z cyklu *Chłopcy*

*Coś jest w powietrzu zachodzącego słońca
coś w nim jest I w zmierzchu I w świetle
że chłopcy z równin Z gór Z miejsc dla innych nijakich
nagle ruszają przed siebie Jakby naprawdę wiedzieli gdzie iść
wpływają w ocean Chcą wejść w niebo We wszechświat
Kolumbowie Kopernicy*

*Coś jest w powietrzu Jakaś wielka tęsknota
nagle zabrzmiał w pierwszej linii czyjś wiersz W muzyce
albo po prostu w powietrzu jest taka wielka cisza
że trzeba jej pomóc Albo ją przerwać
i na równinie Na piaszczystym kawałku ziemi
zaczyna grać Chopin i jest to
jakby w pustce narodził się nagle strumień*

*coś musi być
oprócz pór czasu Rodzenia Umierania
chłopcy z małych domów Jedynie zarysy twarzy zza szyb
stają się wielcy Przelatują przez epoki
i powstają kontynenty Symfonie Itaki
ulotność zamyka się w marmur
jak to bywa że chłopiec rozsuwa obłoki
i potrafi dotknąć smugi po przelocie ptaków*

Z TOMU TYLKO WZRUSZENIE

1996

leszek szymański

o współczesności po prostu

Przeszłość abstrakcyjna mgła, która nabiera kształtów i barw w naszej wyobraźni, ulega dalszemu zniekształceniu odbioru, spowodowanemu próchnem nieuniknionej zagłady.

W 1956 roku tak odległymi były dla mnie wydarzenia Rewolucji 1906 roku, więc pięćdziesięciu lat wstecz, jak obecnie są wypadki 56-roku dla wnuków twórców "Współczesności".

Jak wiele może wiedzieć o tych sprawach pokolenie obecnych 25-latków, a nawet pokolenia wcześniejsze? Świadkowie Historii, w dodatku nie zawsze wiarygodni, ciągle ubywają. Nieuniknienie teraźniejszość rzutuje na zrozumienie przeszłości. Byt określa świadomość, jak uczono nas na lekcjach Marksizmu-Leninizmu. Wnukowie, a nawet synowie założycieli "Współczesności", pytają się ze zdumieniem, co takiego niezwykłego było w tym piśmku? Ot, tak jak "Po prostu", jeszcze jedno pismo młodzieżowe z zamierzczłej przeszłości, mniej ważne niż "Chimera". Ot, jedna z kilkuset grup wymienionych w dziele "Grupy Literackie w ZLP". Dla pełni obrazu podaję zarys wydarzeń od roku 1945 do Października 1956 (przepraszam za niesamowite uproszczenia).

W połowie 1945 Sojusznicy w nagrodę za nieugiętość i pomoc w wysiłku wojennym, oddali Polskę Stalinowi. Zbrojny opór zakończył się w 1947. Żelazna Kurtyna jednak nie zapadła gwałtownie. Zmiany wprowadzano stopniowo, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy kulturalne i literackie. Jerzy Borejsza przewodził łagodnej rewolucji. Bolesław Bierut stalinowski pionek pozbył się Gomułki. Od 1949 Jakub Berman przewodził frontowi ideologicznemu, który zaakceptował socjalistyczny realizm jako oficjalną linię, a w następnym roku aparat terroru zaczął sprawnie funkcjonować. Kongres ZLP w Warszawie zaakceptował nie tylko "sorealizm" jako jedyną metodę twórczą, lecz podjął się roli ideologicznego centrum. Tłumaczenia z literatury sowieckiej zalały kraj. Kościół, który się znajdował w quasi akceptowanej ideologicznej opozycji, zaczął być prześladowany. Rozmnożyli się księża-patrioci, wzmożyły się wpływy prorządowych katolików zorganizowanych w "PAX". Wreszcie kardynał Stefan Wyszyński został aresztowany.

W marcu 1953 roku Stalin zmarł. Bierut przestał otrzymywać rozkazy z Kremla, względnie otrzymywał sprzeczne instrukcje. Zaczęły się wewnętrzne rozgrywki w Politbiurze sowieckiej Partii Komunistycznej. Beria szef bezpieczeństwa sowieckiej został rozstrzelany. Malenkov zainicjował łagodniejszy kurs. Nasi partyjniacy zaczęli się obawiać o swe posady, a nawet skóry. Bierut siedział jednak mocno w siodle i trzymał w ręku aparat bezpieczeństwa. Jednak usunął się częściowo z widowni powierzając funkcje premiera staremu socjaliście Józefowi Cyrankiewiczowi. W Moskwie Bułganin usunął Malenkowa i udzielił poparcia Bierutowi. Jednak wielu starych partyjników zorientowało się, że z Moskwy wieją inne wiatry. Inni partyjniacy, którzy nie mieli tak dogodnego miejsca przy żłobie, zaczęli kombinować, jak usunąć stary zespół i zająć opróżnione miejsca.

Dziwnym trafem pismo Związku Młodzieży Polskiej "Po prostu" zaczęło drukować pseudo rewelacyjne artykuły stwierdzające, że król jest nagi. Choć była to prawda naoczna, ujście potwierdzenia tego w druku było czymś niezwykłym. Nakłady „Po prostu” rosły fenomenalnie, a pismo stawało się sztandarowym organem „rewolucji”.

Siewierski Jerzy

nym klubie", czyli morderstwo po szwedzku. 1985, 47 s.; Umarli nie składają zeznań, czyli morderstwo po polsku. 1985, 39 s.

Przekł. całości: bułg.: Pet p'ti ubijstvo. [Przel.] L. Vasileva. Sofija 1982, - niem.: 5 x Mord. [Przel.] R. Fischer. Berlin 1980.

Adapt. radiowe poszczególnych opowiadań: Morderstwo po szwedzku. Radio 1984, - Kabala panny Barłowe, czyli morderstwo po angielsku; Sprowadź mi męża, Barłowi Radio 1985.

7. Jestem niewinny. [Powieść]. *Gaz. Olszt.* 1978 nr 232-296. Wyd. osob. Wwa: KAW 1981, 151 s.

8. Zaufajcie Drakuli. [Powieść]. *Głos Pozn.* 1977 nr 298-301; 1978 nr 1-63; *Dz. Zach.* 1978 nr 40-72. Wwa: KAW 1979, 189 s.

Podp.: George Quiryn. Przekł. słowac.: Dóveruje Drakulovi. [Przel.] J. Heroldová. Bratislava 1983.

9. Powieść kryminalna. [Studium]. Wwa: KAW 1979, 161 s.

Dot. historii i typologii gatunku.

10. Nalewka na wilczych jagodach. [Powieść]. Wwa: KAW 1980, 252 s.

11. Tam, gdzie diabeł ma młode. [Powieść]. Wwa: KAW 1981, 146 s.

12. Opowieść o duchach i gorejącym sercu. [Powieść]. Wwa: Iskry 1983, 34 s.

13. Sześć barw grozy. [Opowiadania]. Wwa: Czyt. 1985, 189 s.

Zawartość: Zwierciadło Wenus; Upiór i czarownica; Inwokacja; Vaya usted Con Dios, Sencr; Zemsta z za grobu; Duch w Harrow Manor.

14. Panią naszą upiory udusiły. [Powieść]. Wwa: Iskry 1987, 175 s.

15. Powrót Wilczycy. [Scenariusz filmowy]. Wwa 1987, 100 k., powiel. Ekran. 1990.

16. Łza Księcia Ciemności. [Scenariusz filmowy]. Wwa 1990, 98 k., powiel.

Przekł. estoń.: Kuradi Pisard. Ekran. 1992.

17. Przerazliwy chłód. Powieść niesamowita. Wwa: Alfa 1990, 133 s.

18. Choć nas potępią umysły zacięte ... Opowieść o masonach, obyczajach i pięknej Kasieńce. [Powieść]. Wwa: Iskry 1990, 206 s.

19. Dzieci wdowy, czyli Opowieści masońskie. [Praca popularnohistoryczna]. Milanówek: Warsztat Spec. 1992, 156 s.

20. Maska Szatana. [Powieść]. Wwa: Ofic. Wydawn. „Profi” 1992, 206 s.

Podp.: George Quiryn.

21. Wolnomularstwo a Konstytucja Trzeciego Maja. [Szkic popularnohistoryczny]. Wwa: Wielki Wschód Polski [1997], 20 s.

22. Legenda o Hiramie z Tyru, synu wdowy - uczniu egipskich mędrców - budowniczym świąty-

ni. [Opowieść]. Wwa: Wydawn. Współcz. MOJE [1999], 33 s.

23. Łysa Góra. [Poemat]. Wwa: Wydawn. Współcz. MOJE [1999], 22 s.

24. Upadły anioł z Podola. Opowieść o Tadeuszu Grabiance. Wwa: CLIO 2001, 160 s.

OPRACOWANIA (wybór)

Ank. ok. 1988. - Wypowiedź: J. Siewierski. Zaczepiłem się tylko na trochę. *Nowe Książ.* 2001 nr 1. - Wywiad: Zajęcie dla zdolnych, pracowitych i cierpliwych. Rozm. A. Kowalski. *Radar* 1984 nr 34.

[Spadkobiercy pani Zuzy:] A. Hampel: Banda pani Zuzy. *Dz. Łódz.* 1971 nr 235; [Z. Macużanka] ZRA: Nasz krytyk na cenzurowanym. *Nowe Książ.* 1971 nr 20; B. Sowińska: Coś z życia ... *Życie Warsz.* 1971 nr 302. - L. Borski: Doświadczenia S. *Nowe Książ.* 1974 nr 16 [rec.: Dziewczyna, z którą nikt nie tańczy]. - S. Zieliński: B jak Barlet. *Nowe Książ.* 1976 nr 21, przedr. w tegoż: Wycieczki balonem. Wwa 1978 [rec.: Pięć razy morderstwo]. - W.P. Kwiatek: Trzy noce sieżanta K. *Nowe Książ.* 1978 nr 22 [rec.: Nie zabija się świętego Mikołaja]. - A. Urbański: Czas rekolacji. *Nowe Książ.* 1980 nr 21 [rec.: Nalewka na wilczych jagodach]. - A. Ziembicki: X razy morderstwo. *Nowe Książ.* 1980 nr 2 [rec.: Powieść kryminalna]. - [Sześć barw grozy:] B. Twardochleb: Z prababinej biblioteki. *Nowe Książ.* 1986 nr 4; J. Lewandowski: Pastisz z dreszczykiem. *Tyg. Kult.* 1986 nr 12. - J. Rurawski: Czy nowy gatunek? *Nowe Książ.* 1991 nr 3 [rec.: Przerazliwy chłód; Choć nas potępią umysły zacięte...]. - K. Głogowski: Opowieści masońskie. *Pol. Zbroj.* 1993 nr 55 [rec.: Dzieci wdowy, czyli Opowieści masońskie].

K.B.

SIKIRYCKI Igor

1920-1985

Pseud.: (ja); Jerzy Gordan.

Poeta, satyryk, autor książek dla dzieci, tłumacz.

Urodzony 31 lipca 1920 w Brześciu nad Bugiem; syn Mikołaja Sikiryckiego, telegrafisty Polskich Kolei Państwowych, i Bronisławy z Zygańców, nauczycielki i bibliotekarki. W 1927 zamieszkał w Lublinie, gdzie uczył się w Państwowym Gimnazjum im. J. Zamoyskiego; w 1939 zdał maturę. Debiutował w 1937 opowiadaniem „Pasażerka na gapę”, opublikowanym w czasopiśmie młodzieży lubelskich szkół średnich *W słońce* (nr 3; podp. Siekierycki); w 1938-39 był redaktorem tego pisma. W czasie okupacji niemieckiej pracował kolejno jako ślusarz w Lublinie, drwal na Zamojszczyźnie, murarz w Warszawie oraz kreślarz w Lublinie. Uczestniczył w działalności konspiracyjnej - członek AK; był też autorem pieśni partyzanckich. Po wyparciu Niemców, został w lipcu 1944 zatrudniony jako spiker w lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia. Podjął studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Rozpoczął też działalność literacką, publikując wiersze w czasopiśmie *Gontyna* (1944; także członek zespołu redakcyjnego) i *Odrodzenie* (1944-49). W 1945 zamieszkał w Łodzi, gdzie do 1951 pracował jako spiker radiowy. W 1945/46 kontynuował też studia na Uniwersyte-



MIESZKANIE NA SZLAKU Anna Siewierska



Jurka poznałam w sierpniu 1957 r. na pielgrzymce do Częstochowy. Po przedwczesnej śmierci mojej matki (kwiecień 1957) i zerwaniu z narzeczoną byłam w psychicznym dołku. Kiedy najbliższa moja koleżanka, Alicja Wankrac powiedziała mi, że w sierpniu wybiera się na pielgrzymkę do Częstochowy, zdecydowałam, że ja też pójdę.

Jurek, kolega ze studiów Alicji, wybrał się poniekąd „służbowo”. Jako redaktor „Współczesności” nowo powstałego pisma literackiego, miał zamiar napisać reportaż o Jasnogórskiej pielgrzymce. Ciekawa byłam jaki? Przecież w tamtych latach władza traktowała religię jako „opium dla ludu”.

Reportaż nigdy nie powstał, gdyż jak powiedział mi parę miesięcy później, już w pierwszych dniach pielgrzymki zaniechał tego pomysłu. Ślub wzięliśmy w Boże Narodzenie 1957 r. w kaplicy św. Barbary przy ul. Emilii Plater.

Oficjalnymi świadkami byli koledzy Jurka: Zdzisław Pietrzak i Leszek Szymański. Ten ostatni na pytanie kościelnego kancelisty o wykonywany zawód odpowiedział przekornie: pisarz gminny! I tak zapisano!

Mieszkanie Jurka matki przy ul. Poznańskiej 37 przez wiele lat było „mieszkaniem na szlaku”. Przychodziło do nas mnóstwo osób. Toczyły się tam gorące dyskusje, odbywały zebrania oraz spotkania kolegów ze „Współczesności”.

Bywali też cudzoziemscy goście, m.in. lewacki pisarz amerykański Jerome z żoną Alicją, który przez Warszawę leciał do Moskwy na kongres pisarzy komunistycznych.

Innym cudzoziemskim gościem był pisarz hinduski, Kedar Nath, który przybył do Polski wraz z dwoma innymi Hindusami na Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Tak mu się Polska spodobała, że tu pozostał.

Ożenił się z Polką, którą po jakimś czasie porzucił, wybierając inną kobietę. Zdradzona żona postanowiła zemścić się na romantycznym Hindusie. To ona, zapewne przez swoją głupotę, sprowadziła na naszą rodzinę (mieszkaliśmy z Jurka matką Janiną i był już syn Wojciech Kwiryn) „OBLAWĘ”. W liście, jaki wysłała do Urzędu Bezpieczeństwa, oskarżyła Kedara o szpiegostwo na rzecz krajów zachodnich. Kedar został wydany z Polski, a naszą rodzinę objęto ścisłą obserwacją.

Jurek był, pod byle pretekstem zatrzymywany i legitymowany na ulicy, a od czasu do czasu „wzywany pod eskortą” do pałacu Mostowskich. Jak się później okazało, wśród osób, które przychodziły do naszego mieszkania na Poznańskiej 37, bywała również „ubeczka”! Jurek spotkał ją w wymienionym pałacu!

Pogrzeb matki Jurka (w 1967 r. na Powązkach), starej 75-letniej kobiety, został sfilmowany jawną kamerą. Od jesieni 1956 r., po założeniu przez Szymańskiego „Współczesności”, Jurek wszedł do zespołu redakcyjnego.

Oprócz artykułów zaczął tam też drukować swoje pierwsze utwory literackie.

Po wyjeździe Leszka Szymańskiego do Indii nowi redaktorzy naczelni, w większości z nadania partyjnego, zaczęli pozbywać się dawnych kolegów i współpracowników Leszka, w tym i Jurka. Pozostał w redakcji „Nowych Książek”, gdzie rozpoczął swoją pierwszą pracę po studiach. W tejże redakcji dał się poznać jako dobry, ale i „ostrzy” krytyk literacki. Wkrótce zaczął pisywać do wielu innych pism literackich.

W roku 1970 Jurek zadebiutował jako pisarz sensacyjną powieścią „Spadkobiercy pani Zuzy”, na podstawie której nakręcono film.

Niezależnie od pracy redakcyjnej pisał i wydawał następne książki, z których jedna osiągnęła nakład 300 tys. egzemplarzy!

Kiedy ostatnia redaktor naczelna ukarała go za jakiś drobny błąd polityczny, wyrzucając z etatu w „Nowych Książkach”, postanowił żyć z pisania. I, dziwo, udało mu się! Napisał i wydał ponad 20 książek, kilkanaście scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Po latach, z właściwym sobie poczuciem humoru, powiedział szefowej, że dzięki temu kopniakowi został pisarzem.

MIESZKANIE Anna Siewierska NA SZLAKU

Jak wspominają Jerzego Siewierskiego jego kuzyni: Róża i Leszek Wilgatowie i Małgosia Malczewska-Doczkał

Jurek był oryginałem i zarazem dobrym człowiekiem. Miał dużą wiedzę, a równocześnie usposobienie dziecka. Można powiedzieć, że było to połączenie dziecka z mędrcem. Był oryginałem. Lubił ludzi zadziwić. Zbierał sobliwości, którymi fascynował ludzi.

Miał bogatą wyobraźnię oraz zdolności plastyczne. Często się izolował i zamykał w świecie w swej wyobraźni. Był świetnym obserwatorem ludzi i świata. Kochał dom i rodzinę. Ważna dla niego była tradycja - korzenie rodzinne. Pragnął je przekazać synowi i potomnym.

Jurek był gościnnie, kochał biesiadę i zabawę.

Kochał zwierzęta i często porównywał je do ludzi. Często mówił o duszy zwierząt.

Prawdopodobnie bał się śmierci i dla odreagowania pisał horrory. Szukał miejsc przedziwnych i kolorowych wrażeń, pewnie po to, by zamaskować szarzyznię dnia codziennego.

W ciągu pierwszego roku istnienia pisma łączyły nas przede wszystkim więzy osobistych przyjaźni, wspólne pragnienie realizacji możliwości swobodnej wypowiedzi (temu celowi miało służyć nasze pismo), wrogość do teorii, a zwłaszcza praktyki socrealizmu oraz żywiołowa niechęć do literackiego „establishmentu” podsycana nieprzyjaznym i pogardliwie lekceważącym stosunkiem większości tego środowiska do naszej grupy.

Po latach okazało się jednak, że łączyło nas znacznie więcej. Kiedy dziś przegląda się pierwsze numery „Współczesności”, zwraca uwagę właśnie ogromna jednolitość materiałów w nich zamieszczonych. Jednolitość nie tylko ideowa, ale także (przy wszystkich różnicowaniach zdeterminowanych indywidualnymi predyspozycjami i skalą talentu) i artystyczna. Środowisko młodych twórców skupionych wokół „Współczesności” od początku było autentyczną grupą literacką połączoną wspólnymi postawami wyraźnie zarysowanym programem ideowo-artystycznym. Postawy te sformułowane zdania nie napisanego nigdy manifestu, wyrażał piękny wiersz *My* Romana Śliwonika zamieszczony na pierwszej stronie pierwszego numeru „Współczesności”...

Paradoks polega na tym, że wtedy, przed ćwierćwieczem, zachłynięci poczuciem wolności, zafascynowani możliwością wyrażania własnej niepowtarzalnej indywidualności, z faktów tych nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy.

Jerzy Siewierski

czało jednak politycznego indyferentyzmu. Treści materiałów zamieszczanych na naszych łamach łączyły nas z ogólnym popaździernikowym, „wolnościowym” nurtem naszej literatury, a pozornie ściśle literackie czy historyczne rozważania (np. eseje Jerzego Łojka o powieściach historycznych Gravesa czy Stanisławie Auguście Cata Mackiewicza) miały nie dwuznaczną wymowę polityczną.

Już od pierwszych numerów we „Współczesności” zarysowała się tendencja szerokiego otwarcia w kierunku współczesnej (i nie tylko ściśle współczesnej) literatury światowej, od której byliśmy przez wiele lat szczególnie izolowani. W każdym z numerów ukazywały się przekłady poetów francuskich, angielskich, amerykańskich, hiszpańskich itd. Na naszych łamach ukazał się chyba po raz pierwszy w naszym kraju esej o twórczości markiza de Sade i towarzyszący mu pierwszy polski przekład fragmentu prozy tego dwuznacznego klasyka. Na kolumnach „Współczesności” znalazł się też pierwszy polski przekład prozy Henry Millera, pisarza, którego żadna z książek po dziś dzień nie doczekała się polskiego wydania.

Na zakończenie wypadnie się zastanowić, czym w owym okresie była grupa młodych pisarzy skupionych wokół „Współczesności”. Na zewnątrz występowaliśmy jako „grupa literacka”, prawdę jednak mówiąc zupełnie nie czuliśmy się grupą literacką w tradycyjnym znaczeniu tego pojęcia. Jak już kilkakrotnie pisałem, we „Współczesności” toczyła się permanentna dyskusja. Tematami jej były sprawy poważne, mniej poważne i zupełnie błahe (te ostatnie szczególnie potrafiły rozpalać namiętności!). Nie przypominam sobie jednak z tamtych czasów ani jednej dyskusji poświęconej choćby najogólniejszej próbie sformułowania wspólnego artystycznego credo. Pewne zapędy w tym kierunku od czasu do czasu przejawiał Jerzy Bolek, ale bywał natychmiast „gaszony”.

Tekst zatytułowany *Zamiast manifestu* umieszczony w drugim numerze „Współczesności” napisany został na kolanie przez Leszka Szymańskiego i przyjęty przez nasz zespół do wiadomości bez żadnej dyskusji. Poprawiony następnie pośpiesznie pod względem stylistycznym przez kogoś z nas, podrzucony został do drukarni taksówką na kilka godzin przed rozpoczęciem druku numeru. Jego kopię zawiózł ktoś tymczasem do dyżurnego cenzora, który nie wyraził żadnych zastrzeżeń.

Nikt z nas nie przywiązywał znaczenia do tego zbioru prawd oczywistych i sloganów. Kulisy powstania tego tekstu, który dziś z wielką uwagą bywa analizowany przez krytyków, wyglądały następująco:

W rozmowie z nami minister Kuryluk kilkakrotnie i to z naciskiem wyrażał zdziwienie, że w pierwszym numerze „Współczesności” brak jest jakiegokolwiek próby werbalnego samookreślenia się owej „odrębnej grupy literackiej”, która pragnie posiadać pismo motywując to właśnie swą „artystyczną odrębnością”...

O tych istotnych zastrzeżeniach ministra przypomniał sobie ktoś przytomnie w dniu wyznaczonym na rozpoczęcie druku. Wobec czego, aby zadowolić możnego decydenta, Szymański usiadł i w ciągu piętnastu minut skleił tekst zatytułowany *Zamiast manifestu*.

Prawdę mówiąc, pamiętając dopiero się kończący okres socrealizmu przejawialiśmy wówczas żywiołową niechęć do wszelkich normatywnych estetyk, do wszelkich prób zbiorowych samookreśleń, traktując tego rodzaju deklaracje jako ograniczenia naszej wolności. Uważaliśmy, że bardzo się od siebie różnimy, i byliśmy dumni z tych odrębności. Podejrzewałem, że nasi poeci w tych czasach potraktowaliby każdą próbę wykazania jakiegokolwiek, nawet najogólniejszego, pokrewieństwa artystycznych łączących ich poezję, jako ciężką osobistą obelgę. Czas wspólnego artykułowania programów nadszedł dopiero potem, w dwa, trzy lata później, a kata-

wykraczają już poza ramy artykułu poświęconego pierwszemu rokowi istnienia pisma

W ciągu tego roku wokół „Współczesności” i w stale rozrastającym się zespole redakcyjnym grupowali się przede wszystkim poeci i pisarze wywodzący się z warszawskiego Koła Młodych przy ZLP oraz ich prywatni znajomi. Mechanizm był bardzo prosty. Ja na przykład nie byłem członkiem Koła, ale szkolnym kolegą Szymańskiego — członka Koła. Moimi z kolei kolegami ze studiów byli Zbigniew Irzyk, który swą karierę krytyka literackiego i pamfletisty rozpoczął na naszych łamach bulwersującą rozprawką o twórczości młodej Nalkowskiej, i Jerzy Łojek, dziś znakomity historyk i publicysta historyczny, rozpoczynający właśnie we „Współczesności” swą prywatną świętą wojnę ze Stanisławem Augustem Poniatowskim, trwającą zresztą po dzień dzisiejszy.

Ich z kolei znajomymi byli: Jan Zbigniew Słojewski i Piotr Wierzbicki. Takie łańcuszki personalnych powiązań rozchodziły się na wszystkie strony od pierwotnego jądra grupy „Współczesność”. Niektórzy współpracownicy trafiali jednak do nas innymi drogami, niekiedy dosłownie wprost z ulicy. Tak było w przypadku Jerzego Czajkowskiego, który gdy prowadził uliczny kolportaż kolejnego numeru, podszedł do nas i zaofiarował swoją pomoc. Czołowymi poetami „Współczesności” byli w omawianym okresie przede wszystkim Roman Śliwonik oraz Marian Ośniałowski i Jerzy Zdzisław Bolek. Ich poezja (a zwłaszcza Śliwonika) dominowała na naszych łamach. W pierwszym roku istnienia „Współczesności” drukowali też u nas swe wiersze m.in. Wojciech Albiński, Ernest Bryll, Stanisław Swen Czachorowski, Ireneusz Iredyński, Andrzej Piotrowski, Lech Emfazy Stefański, Maria Szypowska i wielu innych.

Proza obrodziła znacznie skromniej. Przeważały teksty młodych pisarzy wywodzących się z Koła Młodych, takich jak Andrzej Chąciński, Eugeniusz Kabatc, Monika Kotowska, Magda Leja i Aleksander Minkowski. Drukował też oczywiście we „Współczesności” swe opowiadania Leszek Szymański (po to przecież zakładał pismo!). W skład zespołu redakcyjnego w owym okresie, oprócz oczywiście Chącińskiego i Szymańskiego, z młodych prozaików wchodził jednak tylko i to przejściowo Kabatc.

Przeważali poeci i prozaicy z Warszawy. Od czasu do czasu drukowaliśmy jednak i materiały nadesłane z innych miejscowości (np. wiersze Czesława Kuriaty czy opowiadania Romana Samsela).

W zakresie krytyki, publicystyki i eseistyki czołową rolę w ówczesnej „Współczesności” odgrywali Zbigniew Irzyk, Jerzy Łojek, Aleksander Jerzy Wieczorkowski, Jan Zbigniew Słojewski oraz niżej podpisany. Trafiały się też teksty innych autorów, np. Andrzeja Dobosza (szybko się z nami pokłócił), Leszka Radzikowskiego i Piotra Wierzbickiego.

W ciągu pierwszego roku istnienia „Współczesność” zamieściła teksty kilkudziesięciu osób, z tym, że wyżej wymienione nazwiska powtarzały się najczęściej.

Zwraca uwagę brak Stanisława Grochowiaka, Bohdana Drozdowskiego, Władysława Terleckiego czy Andrzeja Brychta, pisarzy, których osobowości i twórczość odegrały ogromną rolę w burzliwych dziejach „Współczesności”. Trafili oni jednak do pisma trochę później.

W pierwszym roku istnienia przeważały we „Współczesności” materiały ściśle literackie. Wiersze i proza dominowały nad refleksją o poezji i prozie, choć i takiej refleksji nie brakowało.

Represje, jakie nas dotknęły po ukazaniu się drugiego numeru, uświadomiły nam kruchość podstaw istnienia pisma i spowodowały wykształcenie się w zespole silnej autocenzury wewnętrznej. Bezpośrednia problematyka polityczna zniknęła z ówczesnej „Współczesności”, co nie ozna-

o wiele skromniejsza. Rozmowa była bardzo krótka. Trwała zaledwie kilka minut. Zmęczony i wyraźnie zniecierpliwiony Gomułka pozbawił się natręta wręczając mu wydartą z notesu kartkę, na której wypisał numer telefonu jakiejś osobistości z KC. Pod ten numer miał zadzwonić Szymański i powołując się na polecenie Gomułki prosić o ponowne rozpatrzenie sprawy zawieszenia „Współczesności”.

I to Szymańskiemu wystarczyło. W pięć dni później byliśmy w posiadaniu dokumentu stwierdzającego, że Grupa Literacka „Współczesność” (tu następowało kilka nazwisk) może wydawać dwutygodnik pod tym samym tytułem. W dalszym ciągu nie rozwiązana została sprawa finansowania pisma. Dziwny ten dokument nie nadawał też nam tak zwanej „osobowości prawnej”, nie mogliśmy więc założyć bankowego konta, wystawiać rachunków, posiadać pieczęci itd.

Instytucje, z którymi wypadało nam się stykać, w żaden sposób nie potrafiły pojąć podstaw prawnych naszej egzystencji. Z punktu widzenia formalnoprawnego twór taki jak „Grupa Literacka” po prostu nie istniał... Aby przezwyciężyć tę nieznośną sytuację, która dosłownie paraliżowała naszą działalność, wczesną wiosną roku 1957, za radą znajomego prawnika, cichaczem przekształciliśmy Grupę Literacką „Współczesność” w... spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o tej samej nazwie. Rozwiązywało to trudności formalnoprawne, ale ani o włos nie poprawiło sytuacji finansowej pisma. Podstawę jego istnienia stanowiły dochody z prowadzonego na własną rękę kolportażu i nielicznych ogłoszeń, które udało się dla „Współczesności” zdobyć. Na łamach pisma literackiego reklamowaliśmy m.in. zakłady kosmetyczne, prywatne zakłady rzemieślnicze, kawiarnie itp. Stawało się to powodem szyderstw nieprzyjawnie do nas nastawionej prasy.

Trudności finansowe i permanentny brak papieru sprawiły, że „Współczesność”, teoretycznie dwutygodnik, ukazywała się bardzo nieregularnie. W ciągu pierwszego roku istnienia pisma udało się nam wydać zaledwie osiem numerów, a fakt wydania każdego z nich, prawdę mówiąc, graniczył z cudem. Z każdym numerem było zresztą trudniej. Rosło zadłużenie, drukarnie domagały się zapłaty zaległych rachunków, wysychały źródła dostaw papieru, „Ruch” w dalszym ciągu odmawiał kolportażu. Poza tym musieliśmy z czegoś żyć. Przypominam, że „Współczesność” nie płaćła swoim redaktorom ani honorariów, ani symbolicznych nawet pensji.

Powoli stawało się jasne, że dłużej kontynuować radosnej zabawy w wydawanie niezależnego pisma literackiego nie sposób... Trzeba się było rozejrzeć za „mecenase”. Czyniono różne próby i starania w tym względzie, rodziły się rozmaite koncepcje. Ci, w których my chcieliśmy widzieć naszego mecenasa, jakoś nie spieszyli się nas przytulić, za to natrętnie wysuwali swe oferty inni, którzy znowu nie bardzo odpowiadali większości z nas.

W końcu, późną jesienią roku 1957, mniej więcej na początku drugiego roku istnienia „Współczesności”, wybór „mecenasa” został dokonany. Nie został on jednak zaakceptowany przez cały zespół redakcyjny. W redakcji nastąpił pierwszy poważny rozłam. Przedtem też bywały rozłamy i secesje, niekiedy bardzo dramatyczne, ale zawsze kończące się radosnym „kochajmy się”! Tym razem było inaczej, z redakcji odeszła duża grupa osób (i ja byłem między nimi), która nie widziała możliwości współzycia z nowym „mecenase”. Po kilku miesiącach, kiedy „Współczesność” w pańczących skandalami okolicznościach (wywoływanie wszelkiego rodzaju skandali stało się specjalnością pisma) porzuciła pierwszego „mecenasa”, wszyscy ponownie spotkaliśmy się w jednej redakcji... Te jednak historie

W tym samym mniej więcej czasie piórem Kazimierza Koźniewskiego zaatakowano nas w „Polityce”, a więc w piśmie wobec „Poprostu” antagonistycznym. Wszystkie te ataki przyjmowaliśmy z humorem i nawet z satysfakcją (— Ale musieliśmy im dosolić zdrowo, jeśli się tak wściekają!). Przysnąć trzeba, że wytwarzały one jednak w naszym zespole coś w rodzaju atmosfery obłożonej twierdzy, co sprawiało, że nasze ataki stawały się coraz gwałtowniejsze i wymierzane były w dużej mierze na oślepa. Ich ofiarami stawały się osoby z bardzo różnych parafii. Z jednakową furią wymierzano ciosy ojcu Marianowi Pirożyńskiemu — redemptoryście, niezyskającej Zofii Nałkowskiej i prezesowi ZLP Antoniemu Słomskiemu.

Wszystko to zaczęło się wraz z drugim numerem „Współczesności”, mało jednak brakowało, aby historia naszego pisma zakończyła się gwałtownie na tym numerze... Materiały w nim zamieszczone wzbudziły niechęć nie tylko środowiska literackiego, ale także bardzo nie spodobały się władzom. Kiedy mniej więcej w dziesięć dni po ukazaniu się drugiego numeru „Współczesności” mieliśmy prawie gotowe do składu materiały do numeru następnego, okazało się, że pozwolenie na wydawanie „Współczesności” zostało cofnięte.

Oficjalnie poinformowano nas wprawdzie, że nie jest to definitywne cofnięcie, tylko „zawieszenie” pozwolenia, lecz jednocześnie dano nam do zrozumienia, iż nie ma co liczyć na wznowienie publikacji. Zawartość całego drugiego numeru „Współczesności” wzbudziła zastrzeżenia, ale bezpośrednią przyczyną decyzji o „zawieszeniu” był wydrukowany na pierwszej stronie wiersz Romana Śliwonika i mój felieton. (Z tego felietonu wypadło mi tłumaczyć się jeszcze wiele lat później przed oficerami służby bezpieczeństwa prowadzącymi jakieś tajemnicze dochodzenie dotyczące między innymi... początków „Współczesności”, która wówczas właśnie przygotowywała się do swego jubileuszu...).

Cios, który nam wymierzono pod koniec listopada 1956 roku, przeżyliśmy bardzo ciężko. Pamiętam, że jeden z nas — chłopak wcale nie sentymentalny — po prostu się rozplakał.

Oczywiście natychmiast rozpoczęliśmy starania o zmianę krzywdzącej nas decyzji. Znowu zaczęła się wędrówka po Wysokich Urzędach, ale wszystkie drzwi zastawaliśmy zamknięte. Nie było mowy o nowej audiencji u ministra. Na wysokim szczeblu rozmawiać z nami nie chciano, a niższe instancje, zasłaniając się niekompetencją, rozkładały ręce i grzecznie, ale zdecydowanie, mówiły: NIE.

Mijały tygodnie, sytuacja się nie zmieniła. Wydawało się, że „Współczesność” nieodwołalnie zesła już do grobu. Tylko Szymański wierzył w cud, ale on zawsze był niepoprawnym optymistą.

W styczniu 1957 roku odbywały się pierwsze popaździernikowe wybory do Sejmu PRL. Punktem kulminacyjnym kampanii wyborczej FJN był wielki wiec w warszawskiej Sali Kongresowej. Wśród publiczności na sali znalazł się Szymański i kilku redaktorów „Współczesności”. Po zakończeniu wiecu Szymański dokonał niewiarygodnego wyczynu. Myląc służbę porządkową i funkcjonariuszy ochrony przedarł się do pomieszczenia w kuluarach Sali Kongresowej, gdzie właśnie po wygłoszeniu wielogodzinnego przemówienia odpoczywał Władysław Gomułka. Szymański podszedł do niego i przedstawił naszą sprawę.

Bezpośrednich świadków tej rozmowy nie było. Współtowarzysze Szymańskiego obserwowali jej przebieg z pewnej odległości. Później, przebywając już na emigracji, Szymański przedstawiał różne wersje tego wydarzenia. W kolejnych relacjach rozmowa ta zaczęła urastać do rangi poważnych rokowań na najwyższym szczeblu. Rzeczywistość była jednak

tości, nie towarzyszyło mu też żadne wsparcie finansowe ni przydział pa pieru. Istniało jednak i to było najważniejsze.

W połowie listopada ukazał się drugi numer „Współczesności”, wydrukowany podobnie jak pierwszy na kredyt, na papierze zdobytym niezbyt legalnie i rozpowszechniany następnie przede wszystkim w ulicznym kolportażu. Ukazaniu się numeru towarzyszyła tym razem atmosfera małego skandalu, która odąd otaczać będzie wszystkie kolejne numery „Współczesności” w pierwszym roku jej istnienia. Czytelnika przyzwyczajonego do dotychczasowego stylu naszej prasy literackiej we „Współczesności” szokować musiało wszystko: dynamiczny sposób łamania kolumn, brak dużych liter w nazwiskach autorów i tytułach, agresywna grafika, treść zawartych w piśmie materiałów a przede wszystkim niesłychanie zaczepny ton wypowiedzi, brutalne ataki personalne i brak nawet cienia szacunku wobec aktualnie uznawanych literackich świętości i hierarchii. W pierwszych numerach „Współczesności” obiektami złośliwych zaczepiek, czasem zaś wręcz wściekłych ataków stali się między innymi: Zofia Nałkowska, Ewa Szelburg-Zarembina, Kornel Filipowicz, Adolf Rudnicki, Stanisław Dygat, Alfred Łaszowski, Władysław Kopaliński, Stanisław Cat Mackiewicz i sam, ogromnie w środowisku literackim popularny popaździernikowy prezes Związku Literatów Polskich, Antoni Słonimski (w tym wypadku stwierdzić jednak wypada, że on zaczął pierwszy...). Nie darowano też pisarzom zagranicznym. Ostro na przykład potraktowany został Ernest Hemingway, którego proza w kręgach literackiej kawiarni uchodziła wówczas na szczytowe osiągnięcie literatury światowej. Proszę wyobrazić sobie sytuację: wszyscy literaccy święci palą kadzidła i w pokorze gną karki przed „mocarzem słowa” zza oceanu, a tu jakiś nieznany nikomu młodzik pobłażliwie klepie „mocarza” po ramieniu i łaskawie przyznaje mu rangę „dobrego autora literatury przygodowej”... Fe! Co za nietakt! Tonem obowiązującym wszelkiej literackiej krytyki i publicystyki uprawianej wówczas na łamach „Współczesności” był z reguły ton zjadliwego pamfletu...

Wszystko to budziło, bo musiało budzić, zdecydowany opór i niechęć środowiska „starych” literatów. Na „Współczesność” posypały się gromy. Wyzywano nas od chuliganów, grafomanów i pozbawionych elementarnej kultury dzikusów. Utrzymane w tej tonacji felietoniki i wzmianki na łamach „starych” pism literackich kwitowały kolejne numery „Współczesności”. Wokół pisma i jego środowiska wytworzyła się pustka. Dosłownie na palcach jednej ręki wyliczyć można „starych” pisarzy, którzy chcieli z nami mieć coś wspólnego. Należeli do nich między innymi Jan Wyka i Anatol Stern, który nawet przez jakiś czas (z dość mizernym skutkiem) usiłował spełniać rolę patrona i mentora naszych poetów. Poeci z grzecznością szacunkiem traktowali weterana polskiego futurizmu, ale i tak pisali po swojemu. Nie odciął się także od nas Stanisław Helsztyński, którego piękne przekłady wierszy Roberta Frosta zamieściliśmy już w drugim numerze (nie płacąc mu oczywiście ani grosza honorarium).

Chłodną rezerwę w stosunku do „Współczesności” zachowywało też przez cały czas swego istnienia sztandarowe pismo polskiego Października — „Prostu”. Ponawiane kilkakrotnie nasze próby nawiązania kontaktów ze środowiskiem „Prostu” napotykały na mur obojętności.

Podejrzewam, że redaktorzy „Prostu” pogrążeni po uszy w wirze wielkiej polityki oceniali naszą działalność jako coś w rodzaju hałaśliwej dywersji na tyłach, mającej odwrócić uwagę od zasadniczego frontu walki politycznej... Tak przynajmniej można mniemać na podstawie kilku wierszowej, pogardliwej wzmianki o „Współczesności” zamieszczonej w ostatnim, jaki się ukazał, numerze „Prostu”.

wnie
iąga-
lżeń
nife-
ypa-
etni-
swo-
owej
pol-
ym,
gro-
tura
nam
ego
po-
po-
es-
ym
bel
nie
Po
to-
ta-
u,
o-
e-
u-
o-
zy
ci
je
li
:-
e-
-
a
-

ka, która uprzednio miała oznaczać dzień pierwszego października, stała się liczbą porządkową numeru pisma wydanego w październiku roku 1956... Szymański w dalszym ciągu bardzo liczył na wymowę faktów dokonanych i miał rację... Moze się to komuś wydać śmieszne i nieprawdopodobne, ale fakt istnienia tej skromnej cyferki pod tytułem pisma już po kilku dniach okazał się ważkim argumentem na naszą korzyść...

Redaktor techniczny wykonał polecenie Szymańskiego, ale potem tak się przestraszył, że w kilka godzin później powrócił do drukarni i co-bicie wyskrobał z metalowego składu „stopki” redakcyjnej swoje nazwisko. Potem zadzwonił do redakcji i oświadczył, że to, co się stało, jest bezczelnym czuikowaniem cenzury, on zaś nie ma zamiaru się narażać i zrywa z nami wszelkie kontakty.

O okolicznościach kolportażu pierwszego numeru „Współczesności” napisałem na wstępie. Już następnego dnia w redakcji rozdzwonił się telefon. Dziesiątki osób spieszyły z zapytaniami, gratulacjami i pretensjami... Przeważał ton niedowierzającego zdziwienia. Nasi rozmówcy nie potrafili pojąć, jak nam się udało wydać „coś takiego”.

W ciągu pierwszego tygodnia dostaliśmy z Warszawy i z całej Polski (dotąd nie rozumiem, w jaki sposób do innych miejscowości dotarł nasz pierwszy numer, którego małe nakład w całości rozprowadziliśmy w Warszawie) ze setkę listów, w których oprócz pozdrowień były wiersze, opowiadania, artykuły. Okazało się, że istnieje ogromna rzesza chętnych do dostąpienia zaszczytu druku na łamach pierwszego w Polsce niezależnego pisma literackiego młodych.

Chodziliśmy w glorii sławy, zadowoleni z siebie i dumni jak pawie. Zmienił się też radykalnie stosunek do nas „starszyny” warszawskiego Koła Młodych, która do tej pory zachowywała sceptyczną powściągliwość wobec poczynąń grupy skupionej wokół Szymańskiego i Sliwonika. W tym środowisku „Współczesność” została z miejsca zaakceptowana.

Pierwszy numer naszego pisma rodził się bardzo długo, materiały do numeru drugiego skompletowaliśmy w ciągu kilku dni. I były one zdecydowanie różne od zamieszczonych w numerze pierwszym. Odbijała się w nich wyraźnie gorąca atmosfera otaczającej nas rzeczywistości, wpisywały nowe pismo w kontekst burzliwych przemian polskiego Października.

Pozostawała do usunięcia tylko jedna „drobna” trudność... W dalszym ciągu nie mieliśmy pozwolenia na dalsze wydawanie „Współczesności”.

Starania tym razem, pomijając wszystkie szczeble pośrednie, zaczęliśmy od samej góry. Szymański w biyskawicznym „rewolucyjnym” tempie załatwił audiencję u nowego ministra kultury Karola Kuryłuka. W długiej rozmowie z ministrem brali udział, jak pamiętam, Szymański, Sliwonik, Chęciński, ja i chyba ktoś jeszcze...

Od pierwszej chwili staliśmy twardo na stanowisku, że faktycznie istniejemy już jako pismo (dowód — owa cyferka jeden pod tytułem!), chodzi więc tylko o załatwienie czystej formalności, zmiany pozwolenia „tymczasowego” na „stałe”... Minister ripostował, że taka zmiana nie jest bynajmniej li tylko formalnością, ale — o potęgę sugestii! — przyjął nasz punkt widzenia, że „Współczesność” istnieje już jako czasopismo. O jakiejś tam jednodniówce nikt się nawet nie zająknął...

Nie pamiętam wszystkich szczegółów tej rozmowy, tylko jej gorącą atmosferę. W każdym razie argumentowaliśmy na tyle przekonująco, że z gabinetu ministra wyszliśmy jako zwycięzcy z pozwoleniem na dalsze wydawanie pisma. Pozwolenie było bardzo enigmatyczne, nie określało ani częstotliwości ukazywania się „Współczesności”, ani obję-

wszystkich Wysokich Urzędach rozprzestrzenił się właśnie gwałtownie „duch odnowy” połączony z ogólnym bałaganem. Przeczuwając nadciągające zmiany nawet najbardziej twardogłowi urzędnicy z dnia na dzień zmieniali skórę i przyłączając się do „sił odnowy” ostentacyjnie manifestowali swój liberalizm oraz potępienie dla niedawnych błędów i wypa-

Urzędnik, który w końcu czerwca „zapomniałszy” o swej obietnicy udzielenia poparcia naszym staraniom wyrzucił Szymańskiego ze swojego gabinetu, teraz przyjął go z otwartymi rękami i zapewniał o swojej opiekuńczej protekcji dla młodych twórców stanowiących nadzieję polskiej kultury. Inny, który przed dwoma miesiącami na wzmiankę o tym, że istnieje już drukarski skład pierwszego numeru „Współczesności”, groził prokuratorem, teraz gratulował zaradności i inicjatywy. Koniunktura była wyjątkowo sprzyjająca, wydawało się, że wszyscy nieba chcą nam przychylić, tylko że... zezwolenia jak nie było, tak i dalej nie było.

W końcu jednak znalazł się urzędnik (funkcjonariusz dość niskiego szczebla), który zapragnął wykazać się samodzielnością i odwagą w podejmowaniu decyzji, w rezultacie czego w połowie września byliśmy w posiadaniu papierka, na którym napisano, że Grupa Literacka „Współczesność” ma pozwolenie na wydanie... jednodniówki literackiej pod tym samym tytułem. Jednodniówka to wprawdzie nie tygodnik, ale wróbel w garści lepszy od kanarka na dachu. I tak wydarzyło się coś zupełnie bez precedensu w dotychczasowej historii prasy w Polsce Ludowej. Po raz pierwszy ukazać się miało zupełnie legalnie wydawnictwo nie firmowane przez żadną oficjalną instytucję czy organizację społeczną, ale stanowiące wynik najzupełniej prywatnej inicjatywy kilku zapaleńców...

Nikt nie zapewnił nam ani grosza dotacji, ani kilograma papieru, ani miejsca w państwowej drukarni. Mieliliśmy radzić sobie sami. I doskonale sobie poradziliśmy. Papier pożyczono z drukarni „Expressu Wicczornego” (były to tak zwane „zrywy” z bel papieru rotacyjnego), drukarnia, w której leżał gotowy skład numeru pierwszego, zgodziła się dokonać druku. Wszystko to jednak trwało jeszcze kilka tygodni. Pierwszy numer „Współczesności” miał nosić datę 1 października, w rzeczywistości ukazał się trzy tygodnie później.

W ostatniej chwili pojawiły się trudności cenzuralne. Ingerencje były dość liczne. Był wtedy właśnie króciutki okres, kiedy z cenzorami można było dyskutować. Klóciliśmy się zjadle o każdą poprawkę, o każde skreślenie. Najwięcej kontrowersji niespodziewanie wzbudziła po prostu niewinna linijka wersalikowego składu umieszczona pod tytułem „Współczesność”. Szymański próbował zapewnić dalszy żywot naszego pisma metodą faktów dokonanych i w związku z tym treść tej linijki przedstawiła się następująco:

GRUPA LITERACKA „WSPÓŁCZESNOŚĆ” WARSZAWA NR 1, 1 X 1956

W ostatniej chwili przytomny cenzor zauważył, że pozwolenie opiewające na jednodniówkę, nie może więc być mowy o żadnym numerze pierwszym... Dyskusja trwała bardzo długo. Cenzor nie dał się jednak przekonać, że pozwolenie jest tymczasowe i lada dzień zmienione zostanie na stałe. Bezlitośnie wykreślił cyfrę jeden po literach NR. Zapomniał jednak wykreślić tych liter... Wtedy Szymański podjął napoleońską decyzję. Poleciał redaktorowi ściśle zastosować się do cenzorskiej ingerencji. Usunięta została cyfra jeden, ale tylko ona, pozostawiono natomiast litery NR, o których cenzor w ferworze dyskusji zapomniał. Litery te następnie zostały mocno przesunięte w prawo w kierunku daty. W rezultacie jedyn-

tylko o to, aby Szymański już jutro mógł podać owemu urzędnikowi jakiś tytuł projektowanego pisma. Potem, gdy ktoś naprawdę zechce dać nam zezwolenie, tytuł ten możemy, a nawet powinniśmy zmienić na jakiś bardziej nam odpowiadający... Wniosek mój, acz niechętnie, przyjęto i do sprawy właściwego tytułu czasopisma postanowiono wrócić w najbliższej przyszłości. Jakoś jednak do tego nigdy nie doszło i „Współczesność” pozostała „Współczesnością”...

Gdzieś w końcu maja czy też na początku czerwca starania Szymańskiego osiągnęły pierwszy sukces. Na razie uzyskaliśmy ustne zapewnienie pewnej wysokiej osobistości, że możliwe będzie wydawanie czasopisma grupy literackiej „Współczesność”, jeżeli grupa postara się o... papier, miejsce w drukarni i zdobędzie pieniądze na sfinansowanie tego wszystkiego.

Dziś, z perspektywy ćwierćwiecza, oceniam tamtą obietnicę, jako typową próbę „wpuszczenia nas w maliny”, ale wówczas myśleliśmy inaczej. W nasz zespół wstąpił nowy duch. W tym okresie nie miałem zbyt ścisłych kontaktów z redakcją, gdyż kończyłem pośpiesznie pisanie pracy magisterskiej, i nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób Szymański znalazł drukarnię, która na kredyt, bez żadnego zabezpieczenia zgodziła się dokonać składu całości materiałów przeznaczonych do pierwszego numeru „Współczesności”. Podejrzewam, że była w tym wielka zasługa naszego pierwszego redaktora technicznego Jacka W., gdyż Szymański nie posiadał żadnych kontaktów i znajomości w środowisku drukarskim. W ostatnim tygodniu czerwca zobaczyliśmy po raz pierwszy długie szpalty drukarskiego składu naszych utworów... To graniczyło z cudem. Tak to wtedy przynajmniej odczułem. Ogarnęła nas euforia...

Ale zaraz przyszło otrzeźwienie. Krwawe wypadki poznańskie i towarzyszący im wzrost napięcia usztywniły stanowisko władz. Decydent, który zapewnił Szymańskiego, że grupa „Współczesność” otrzyma zezwolenie na wydawanie pisma po samodzielnym rozwiązaniu sprawy papieru, druku i finansów, teraz wyparł się swych obietnic. Zanosilo się na to, że koszty składu pierwszego numeru wypadnie nam pokryć z własnej kieszeni (planowaliśmy użyć na ten cel pieniądze ze sprzedaży egzemplarzy czasopisma), a co gorsza sprawa samowolnego wykonania bez jakiegokolwiek pozwolenia składu drukarskiego utworów literackich o dość kontrowersyjnej wymowie politycznej mogła diablo łatwo stać się powodem dochodzenia organów bezpieczeństwa do niedawna mocno wyczulonych na wszelkie próby pichcenia „nielegalnej bibuły”... Jeśli wziąć jeszcze przy tym pod uwagę przeszłość Szymańskiego (jeszcze stosunkowo niedawno temu był więźniem politycznym) to sytuacja wyglądała naprawdę niewesoło. Nie wiem, czy wszyscy członkowie zespołu redakcyjnego zdawali sobie wówczas sprawę, w co się właściwie wplątali...

W lipcu byłem na obozie wojskowym. Gdy wróciłem, w Warszawie nie było właśnie Szymańskiego. Wydawało się, że redakcja przestała istnieć, że „Współczesność” nigdy się nie ukaże i dobrze się skończy, jeśli nasza dotychczasowa działalność nie stanie się przedmiotem donoszeń i represji.

Ale Szymański nie był z tych, którzy łatwo dają za wygraną. Drugiej połowie sierpnia wrócił z wczasów do Warszawy i znowu wziął się do roboty. Zwołał niedobitków redakcji (tych nielicznych, którzy nie ulegli zniechęceniu i nadal mieli ochotę do zabawy w redagowanie nie istniejącego pisma) i z nową energią ruszył do szturmowania Wysokiego Urzędu.

Tam sytuację znalazł radykalnie odmienioną. Odeszli już decydenci, pojawili się nowi. Przejściowe poczerwcowe zamrożenie na poziomie kulturalnym należało już do zapomnianej przeszłości, a jednocześnie we

podpisów osób nieobecnych na zebraniu. Między innymi udało mu się uzyskać podpis Marka Hłaski, który już wtedy, jeszcze przed wydaniem *Pierwszego kroku w chmurach* zaczynał uchodzić za wschodzącą gwiazdę polskiej literatury. Uzyskanie jego podpisu było wielkim sukcesem, bo na petycji było to jedyne nazwisko, które mogło coś mówić decydentom, do których petycja była adresowana.

Na tym incydencie skończyły się wszelkie dalsze kontakty naszej grupy z Markiem Hłaską. On uważał się za poważnego literata i nie poczuwał się do żadnych związków z nami, my nawzajem (mimo wyraźnej fascynacji jego prozą, doskonale zauważalnej w prawie wszystkich materiałach prozatorskich zamieszczonych w pierwszych numerach „Współczesności”) traktowaliśmy go jako kogoś należącego już do literackiego „establishmentu”, który od pierwszej chwili stał się celem wściekłych ataków naszego pisma. Już w trzecim numerze „Współczesności” ukazała się zjadliwa parodia prozy Hłaski obok równie złośliwych parodii utworów Adolfa Rudnickiego i Stanisława Dygata.

Uzbrojony w petycję Szymański rozpoczął szturm urzędów i instytucji, od których zależało, aby słowo stało się ciałem i narodziło się literackie czasopismo grupy młodych twórców. Tym razem Szymański poczynił ZLP, którą to instytucję zaczął głęboko lekceważyć, a starania rozpoczął od Ministerstwa Kultury. Odesłano go do Wydziału Kultury KC. Wydział odbił piłeczkę ponownie w kierunku ministerstwa, ministerstwo natychmiast ripostowało i rozpoczęła się wielotygodniowa wędrówka od Annasza do Kajfasza. Nikt nie powiedział nie, nikt nie powiedział tak. Po prostu urzędnicy obu Wysokich Instytucji nie wiedzieli, co z naszą petycją począć. Jeszcze kilka tygodni temu odesłano by Szymańskiego do wszystkich diabłów, ale sytuacja się zmieniła i zmieniała nadal — dosłownie z dnia na dzień — w coraz szybszym tempie. W kraju narastało wrzenie, tworzyła się sytuacja rewolucyjna, która już wkrótce zaowocowała krwawo złamanym czerwcowym protestem poznańskich robotników, a cztery miesiące później zwycięskim, październikowym wybuchem. Decydenci byli zdezorientowani, pozbawieni jasnych wytycznych działań a Szymański cierpliwy i wręcz namolny. Co dnia antyszambrował pod gabinetami dyrektorów, naczelników i kierowników, pukał do pokojów referentów, telefonował, powoływał się bezczelnie na nie istniejące a rzekomo wiążące obietnice ważnych osobistości i w żaden sposób nie pozwalał się spławić. Od czasu do czasu towarzyszyli mu w tych poczynaniach Sliwonik, Bolek i Chaciński, ale główny ciężar tej uporczywej i pozornie beznadziejnej walki niósł sam.

Gdzieś w drugiej połowie kwietnia narodziła się nazwa „Współczesność”. A stało się to tak:

Jakiś zniecierpliwiony urzędnik wysokiego szczebla powiedział Szymańskiemu, że jeżeli już ma być jakieś pismo, to przede wszystkim powinno mieć ono jakiś tytuł. On sam jest poważną osobą urzędową i nie ma zamiaru tracić czasu na rozmowy o czymś, co nie ma nawet nazwy... Szymański grzecznie przyznał mu rację i jeszcze tego samego dnia zwołał zebranie redakcji poświęcone wymyśleniu tytułu pisma. Propozycje były różne. Pamiętam, że Jerzy Bolek domagał się, by czasopismo nazywało się „Gong”. Były też inne projekty. W końcu zostały się dwa. Zwolennicy bronili ich z taką werwą, że wydawało się, iż lada chwila w zespole nastąpi rozłam i powstaną dwie konkurencyjne redakcje, jako że żadna ze stron nie miała zamiaru ustąpić.

Zaproponowałem tytuł „Współczesność”. Nikomu się nie spodobał. Szczerze przyznałem, że i mnie się także nie podoba, gdyż jest jednocześnie i nijaki, i pretensjonalny a zarazem zbyt zobowiązujący. Chodzi jednak

aktualnego numeru „Współczesności”. Obdarowany mógł je sprzedać a uzyskane pieniądze zatrzymać jako honorarium. Takie rozwiązanie pomagało w rozprowadzeniu całego nakładu, gdyż przez pierwszy rok istnienia „Współczesność” nie była rozpowszechniana przez „Ruch” i trud kolportażu spoczywał na redaktorach, współpracownikach i sympatykach pisma.

Redakcja od pierwszej chwili przez cały pierwszy rok istnienia „Współczesności” mieściła się w mieszkaniu Szymańskiego. Jej adres: Ludna 4 mieszkania 9. To było naturalne, jako że Szymański był założycielem i redaktorem naczelnym „Współczesności” a poza tym tylko on z nas posiadał w mieszkaniu telefon.

Niewielki, przechodni pokój poza funkcją lokalu redakcyjnego pełnił nadal rolę prywatnego zacisza domowego redaktora naczelnego i jego żony. Stał w nim wielki tapczan, stół, kilka krzeseł i stolik z telefonem. Po pokoju kręciły się dwa psy, kot i jeden gołąb. Jeden z psów miał tylko trzy nogi, ale za to ostre zęby i paskudne obyczaje. Do końca nie chciał uznać publicznego charakteru lokalu, obcych traktował jako intruzów i co jakiś czas, bez żadnego ostrzeżenia, kąsał dotkliwie zarówno redaktorów jak i interesantów.

Przez pokój od rana do późnej nocy przewijało się mnóstwo osób, telefon dzwonił bez przerwy, kłęby tytoniowego dymu wypełniały wnętrze, psy warczały, szczekały i wszczynają awantury z kotem, gołąb paskudził gdzie popadnie, a wszędzie: na stole, podłodze, krzesłach i na parapecie, piętrzyły się stosy numerów „Współczesności”, maszynopisów, rysunki, szpalty i szczotkowe odbitki kolumn. Stale ktoś się z kimś o coś spierał, ktoś kcmuś coś perswadował. Panowała swobodna atmosfera permanentnej dyskusji o wszystkim i o niczym. Ludźmi, którzy w ten ogólny bałagan wprowadzali jaki taki porządek i sprawiali, że kolejne numery „Współczesności” jednak się ukazywały, byli przede wszystkim Leszek Szymański i Andrzej Chąciński. Szymański człowiek niesłuchanie konkretny umiał sprawić, że wszystko jakoś się nie rozlatywało, a Andrzej Chąciński — pełniący funkcję sekretarza redakcji — potrafił wyegzekwować od redaktorów konkretny materiał, przypilnować terminów, adjustacji, korekt itd. Bez wysiłku tej dwójki, bez organizacyjnych talentów Szymańskiego i benedyktyńskiej wręcz pracy Chącińskiego, mimo najlepszej woli rozwichrzonych redaktorów, żaden z ówczesnych numerów „Współczesności” w druku by się jednak nie ukazał...

To, co powyżej napisałem, nie oznacza negowania roli, jaką w redakcji odgrywali Śliwonik, Bolek, Ośniałowski i inni. To oni właśnie, ich poetyckie osobowości (a zwłaszcza osobowość Śliwonika wybijająca się wówczas zdecydowanie na plan pierwszy) nadawały ton pierwszym numerom „Współczesności”. Faktem jest jednak bezspornym, że cała żmudna, organizacyjna część roboty spoczywała na Szymańskim i Chącińskim. Od drugiego numeru dołączył do nich Andrzej Korczak niesłuchanie pracowity i zarazem pełen fantazji redaktor techniczny. On był autorem zewnętrznej formy pisma, dynamicznego sposobu łamania kolumn, zaczerpniętego z jakiegos meksykańskiego tygodnika, obyczajów nieużywania w składach tytułów i nazwisk autorów dużych liter, całego tego sztafażu, który na tle ówczesnego wyglądu prasy polskiej sprawiał wręcz szokujące wrażenie.

Ale jeszcze raz powróćmy do chronologicznego ciągu wydarzeń. Na marcowym zebraniu w mieszkaniu Alicji Wankrac podpisano petycję domagającą się natychmiastowego utworzenia literackiego czasopisma młodych. W następnych dniach Szymański zebrał pod nią jeszcze sporo

Szymańskiego „zebranie młodych literatów zainteresowanych założeniem nowego pisma literackiego” (tak brzmiała nazwa imprezy na wystukanych przez Szymańskiego na maszynie imiennych zaproszeniach). Szymański zwołał to spotkanie celowo na terenie neutralnym, aby w ten sposób podkreślić całkowitą niezależność akcji od Koła Młodych, z którego kierownictwem był pokłócony. Tym razem uległem i ja entuzjazmowi Szymańskiego i wziąłem udział w zebraniu. Przybyło około trzydziestu osób. Przeważali młodzi ludzie uważający się za poetów. Po raz pierwszy poznałem wtedy Jerzego Zdzisława Bolka, Mariana Ośniałowskiego, Andrzeja Chęcińskiego i Romana Śliwonika, którzy wraz z Szymańskim i ze mną mieli się stać trzonem pierwszego zespołu redakcyjnego „Współczesności”.

Zebraniu współprzewodniczyli Szymański i Śliwonik. Zebrani z entuzjazmem poparli pomysł założenia własnego czasopisma i dzieląc skórę na niedźwiedziu, który swobodnie biegał jeszcze po puszczy, w wolnej, demokratycznej, aczkolwiek trochę balaganiarskiej, dyskusji ukonstytuowali ogromnie rozbudowaną redakcję nieistniejącego jeszcze pisma (oczywiście tygodnika!). Podzielono się funkcjami, hojnie obdarowując wzajemnie tytułami redaktorów i zastępców redaktorów działów, poddziałów itd. Redaktorem naczelnym obwołano Szymańskiego, jego pierwszym zastępcą (było też kilku innych!) Śliwonika. W skład pierwszej redakcji weszło kilkanaście osób. Większość redaktorów odeszła jednak po kilku tygodniach, kiedy okazało się, że stworzenie nowego czasopisma literackiego nie jest wcale sprawą łatwą. W końcu pozostali tylko ci, którzy ostatecznie podpisali pierwszy numer. Dużą rolę w pierwszym zespole redakcyjnym odegrali także Jerzy Bolek i Marian Ośniałowski, z których pierwszy gdzieś się zawieruszył w ostatnich tygodniach poprzedzających wydanie pierwszego numeru (chyba pokłócił się z Szymańskim), a nazwisko drugiego nie znalazło się w „stopce” najprawdopodobniej dlatego, że... po prostu zapomniano o jego istnieniu... A przecież był z nami. Przez cały czas był z nami i kiedy w naszym zespole wybuchały spory, kłótnie i nieporozumienia, samą swoją milczącą obecnością, skupieniem i emanującą od niego jakąś wewnętrzną powagą, pomagał przywracać atmosferę spokoju. Tak było zresztą i później, kiedy „Współczesność” już wychodziła, a stale zmieniający swój skład zespół redakcyjny wstrząsany był bez przerwy gorączkowymi sporami, awanturami nawet i zdawało się, że w każdej chwili grozi mu całkowity rozpad. A kłóciliśmy się wtedy o wszystko, o co się dało kłócić. O sprawy ważne i zupełnie nieważne, o kwestie polityczne i o to, czyje nazwisko ma być złożone większymi literami, o wartości tradycji awangardy poetyckiej i o to, czyj wiersz ma być drukowany na stronie pierwszej, a czyj na drugiej. Redakcyjni poeci potrafili staczać między sobą wielogodzinne, niezwykle zacięte boje dosłownie o jeden przecinek, który poeta wstawił drugiemu poecie do adnotowanego tekstu...

Awantury prowadzone były najczęściej w niesłychanie dramatycznej tonacji. Co rusz ktoś składał dymisję, demonstracyjnie zrzekał się funkcji itd.

Kłócono się o wszystko, tylko nie o pieniądze. Tych po prostu nie było. Przez pierwszy rok istnienia „Współczesność” z zasady nie płaciła honorariów swoim redaktorom. Pamiętam natomiast, że Marianowi Ośniałowskiemu zakupiono buty, jako że te, które dotąd nosił, odmówiły mu posłuszeństwa. Autorzy z zewnątrz, jeżeli redakcji bardzo na nich zależało i jeśli byli dość natrętni, otrzymywali czasem honorarium w wysokości stu, stu pięćdziesięciu złotych. Niektórym ofiarowywano plik egzemplarzy

aktualne
a uzyski
magało
nia „Ws
portażu
ma.

R
„Współc
Ludna 4
cielem i
z nas pos
N

nił nadał
żony. St
Po pokoj
trzy nog
uznać pu
jakiś cza
jak i inte

Pr
telefon d
psy warc
gdzie por
piętrzyły
szpalty i
ktoś kcm
tnej dysk
gan wpro
czesności
ski i Anc
i trzeźwy
umiał spr
— pełnią
redaktor
rekt itd.
skiego i b
li rozwich
sności” w

To,
cji odgry
poetyckie
wówczas
merom „V
na, organ
skim. Od
nie pracow
rem zewn
zaczepnię
używania
sztafazu, k
szokujące

Ale
Na marco
cję domag
młodych.

szawskim oddziale ZLP, i to bynajmniej nie „prominenci” tej czcigodnej instytucji (tacy jak Eugeniusz Kabatc, Aleksander Minkowski, Józef Lenart, Magda Leja czy Monika Kotowska), ale zupełni outsiderzy przez „starszyznę” Koła (wyróżnianą sporadycznymi wypadkami druku na łamach prasy) traktowani z pobłażliwym lekceważeniem. Jak się potem okazało, to lekceważenie nie było wcale bezpodstawne. Nikt z pierwszych członków „grupy” montowanej przez Szymańskiego nie zapisał się potem niczym w naszej literaturze...

Jeden był tylko wyjątek od tej reguły. U boku Szymańskiego od pierwszej chwili stanął Roman Sliwonik, autentyczny poeta, człowiek już wówczas „liczący się” w tym towarzystwie.

Członków „grupy” skupionej wokół Szymańskiego łączyło prężne pragnienie druku, chęć przełamania niewidzialnej, pozornie nieistniejącej (obowiązywało oficjalnie hasło wyszukiwania i hołubienia młodych talentów), ale w praktyce sprawnie funkcjonującej bariery prawie uniemożliwiającej przenikanie utworów młodych pisarzy na łamy prasy literackiej.

Starania o utworzenie samodzielnego pisma młodzieży literackiej rozpoczął Szymański od rozmów z ówczesnym kierownictwem ZLP. Wyobrażam sobie, jakie musiało być zdumienie i rozbawienie osób, do których zwrócił się nikomu nieznanym, niechlujnie ubrany młody człowiek z włosami zlepionymi tłustą brylantyną, domagając się w sposób stanowczy w imieniu jakiejś enigmatycznej „grupy literackiej młodych”, aby ZLP utworzył dla niej — i to natychmiast — organ prasowy...

Młodzieńca wysmiano i w ogóle nie chciano z nim rozmawiać. Szymański był jednak człowiekiem, którego nie sposób było speszyć. Należał do gatunku tych, którzy wyrzuceni jednymi drzwiami natychmiast pukają do drugich, a gdy i te zostają zamknięte, bez zęzady włączają do wnętrza przez okno. W niewiele miesięcy później, ta właśnie cecha jego charakteru sprawiła, że „Współczesność” nie pozostała efemerydą, a jej żywot nie zakończył się na drugim numerze.

Ale wracajmy do chronologii. Pierwszym rezultatem natrętnych i uporczywych starań Szymańskiego na terenie ZLP była — zupełnie zresztą nieobowiązująca — obietnica, że jeżeli owa mityczna „grupa literacka młodych” potrafi przedstawić jakiś ciekawy zestaw materiałów literackich, to wtedy być może, będzie można pomyśleć o zaprezentowaniu ich w formie jakiejś „wkładki” do jednego z istniejących czasopism literackich.

Szymański wziął tę — daną wyraźnie „na odczepne” — obietnicę zupełnie serio i natychmiast rozpoczął gromadzenie pierwszych materiałów.

Tymczasem zaszły wydarzenia, które akcji organizowanej przez Szymańskiego dodały nowego rozpędu i otworzyły przed nią niespodziewane perspektywy. W Moskwie odbył się dwudziesty zjazd KPZR. Odzew w naszym kraju na to wydarzenie był natychmiastowy. Wystarczy przejrzeć prasę z tego okresu, by przekonać się, jak nieprawdopodobnie szybko społeczeństwo polskie, prasa i środowiska kulturotwórcze zareagowały na to, co się stało w Moskwie. Szymański natychmiast wyczuł koniunkturę i nie zwlekał dosłownie ani jednego dnia. Owa „wkładka” do „Nowej Kultury” czy „Przeglądu Kulturalnego”, która jeszcze przed tygodniem wydawała mu się szczytem tego, co można było osiągnąć, w ogóle przestała go interesować. Postanowił „iść na całość”. Ponownie powrócił do idei stworzenia nowego, niezależnego czasopisma literackiego młodych.

Gdzieś w połowie marca, kilka dni po pogrzebie Bolesława Bieruta, w małym domku na Woli przy ulicy Redutowej 23 w mieszkaniu mojej koleżanki ze studiów Alicji Wankrac odbyło się zwołane przez

zej o kilka lat od siebie żony — telefonistki z centrali międzymiastowej. W swoim niedługim życiu zdążył już być więźniem politycznym. Jako kilkunastoletni chłopak aresztowany został przez urząd bezpieczeństwa. Powodem uwięzienia były zbyt bliskie kontakty towarzyskie z gronem ówieśników, którzy rzeczywiście próbowali jakiejś nielegalnej działalności politycznej. Przesiedział ponad pół roku i zwolniony został bez procesu sądowego. Od tej pory ciągnął się jednak za nim swoisty „smrodek”. Nie mógł ukończyć szkoły średniej w normalnym trybie, drogę na wyższą uczelnię miał zamkniętą a piętrzyły się przed nim ogromne trudności, gdy próbował otrzymać jakąś stałą pracę. W tej sytuacji uznał, że pozostało mu tylko jedno, spróbować zrealizować marzenie życia — zostać pisarzem...

Pisywał całymi dniami. W jego pokoju po wszystkich kątach powiewiały się stosy gęsto zapisanych maszynopisów. Swoje utwory wydawał uporczywie i systematycznie do wszystkich istniejących wówczas czasopism. Był także członkiem Koła Młodych przy warszawskim oddziale ZLP.

Sukcesy pisarskie miał na razie mizerne. Od czasu do czasu drukowano mu jakieś opowiadanie (raczej rzadko) i otrzymał jakieś nagrody na otwartych konkursach literackich, ale to w żadnej mierze nie zaspokajało jego ambicji.

Tego dnia przyszedł do mnie i jak zwykle zaczął wylewać swoje żale na to, że nie ma gdzie publikować swoich opowiadań.

Zniecierpliwiony powiedziałem coś w tym rodzaju:

— Nie chcą cię drukować? Nie wiesz, jak to załatwić? Nic prostszego! Załóż własne pismo! Wtedy będziesz mógł drukować ile dusza zapragnie...

Oczywiście żartowałem, ale on to przyjął najzupełniej poważnie. Taką już miał naturę, że najrozmaitsze żarty potrafił brać poważnie sprawiając tym czasem pyszną zabawę swym przyjaciółom...

Orzekł, że wpadłem na świetny pomysł, i od tej chwili z uporem żelazną konsekwencją robił wszystko, aby założyć „własne” pismo. Pomysł w ówczesnych warunkach musiał wydawać się wręcz groteskowy. Dwudziesty zjazd KPZR jeszcze się nie odbył, w kraju panowała już wprawdzie atmosfera zaawansowanej „odwilży” (często ścinanej przy mrozami), od jakiegoś czasu na łamach „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” wysuwano nieśmiało sugestie, że być może, powinny powstać jakieś różniące się od siebie grupy literackie, które, ewentualnie w przyszłości, mogłyby wydawać własne czasopisma, ale wszystko to było ogólnikowe, niekonkretne i dotyczyło oczywiście literatów „licencjonowanych”, zarejestrowanych w szeregach ZLP... Tymczasem Szymański postanowił utworzyć pismo drukujące teksty nieznanymi nikomu debiutantów.

Już następnego dnia przestraszony skutkami mego żartu tłumaczyłem mu cierpliwie: — Nie wariuj, Lesiu. Jeżeli mówi się nawet o nowych pismach literackich, to mają być to organy konkretnych grup literackich. Tymczasem ty reprezentujesz tylko siebie...

— Nie ma grupy? — Szymański nie tracił optymizmu. — Jest już nas dwóch. Ja i ty. Stworzymy grupę...

— Nikt o nas nie słyszał.

— To usłyszysz.

Odmówiłem stanowczo udziału w tym wariackim przedsięwzięciu. W ciągu następnego tygodnia Szymański zaraził jednak swoim entuzjazmem jeszcze kilka osób. Pierwszymi członkami montowanej ad hoc „grupy literackiej” stali się niektórzy uczestnicy prac Koła Młodych przy war-

Jerzy Siewierski

„WSPÓŁCZESNOŚĆ” — ROK PIERWSZY

Było chmurne i chłodne październikowe popołudnie. Powietrze przesycała wilgoć i deszcz wisiał w powietrzu. Przez warszawskie ulice przemieszczały się tłumy ludzi wracających z pracy do domu. Przed kioskami z gazetami ustawiały się tasiemcowe kolejki oczekujących na spóźnione tego dnia wydanie „Expressu Wieczornego”. W mieście wręcz fizycznie odczuwano się atmosferę gorączkowego napięcia.

Był rok 1956. Właśnie toczyły się obrady VIII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR.

Około godziny szesnastej wszedłem na kamienne stopnie przed wejściem do Klubu Prasy na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Na głowie miałem wymiętoszoną czapkę studencką, pod pachą plik około stu numerów czasopisma o nieznanym nikomu tytule. Po kilkunastu sekundach otoczył mnie zwarty tłum ciekawskich. Po kilku minutach było już po wszystkim. Rozprzedane zostały wszystkie numery. Byłem oszołomiony tym, co się stało... Podobne były wrażenia i innych kolegów rozprowadzających „Współczesność” w różnych punktach miasta, pod Uniwersytetem, przed Politechniką (odbywał się w niej właśnie tygodniowy, burzliwy wiec) i przed siedzibą Związku Literatów Polskich.

Szybko powróciliśmy do redakcji po następne egzemplarze i zanim zapadł wczesny jesienny mrok, cały kilkutyśięczny nakład pierwszego numeru „Współczesności” dotarł do czytelników.

I tak się zaczął żywot czasopisma, od którego nazwy zaczerpnęło swe miano całe pokolenie literackie. Pierwszy numer „Współczesności” „firmowały” cztery nieznane nikomu osoby. Oto ich nazwiska w kolejności alfabetycznej: Andrzej Chąciński, Jerzy Siewierski, Leszek Szymański i Roman Sliwonik. Żaden z nas nie spodziewał się na pewno, nawet w najśmielszych marzeniach, że ta stworzona i istniejąca „na wariackich papierach”, najzupełniej prywatna inicjatywa wydawnicza wpisze się tak na trwałe w krajobraz polskiej kultury, że już po latach niewielu zacznie się mówić o „pokoleniu „Współczesności”” a dzieje pisma i skupionego wokół niego środowiska staną się tematem książek, polemik, prac magisterskich i rozpraw doktorskich...

A zaczęło się wszystko niewinnie. Gdzieś na początku stycznia 1956 roku odwiedził mnie mój przyjaciel i kolega szkolny Leszek Szymański. Młody ów człowiek (liczył wtedy lat dwadzieścia trzy) pozostawał na utrzymaniu ojca — urzędnika w Ministerstwie Łączności i młod-

WSPÓŁCZESNOŚĆ

"uciecznie kultury zwalczając wszelki akademizm, krepując rozwój nowoczesnej literatury i sztuki. Chcemy pisać żywym, nowoczesnym językiem. Mamy swoje koncepcje poezji i prozy, nie zacinamy się jednak do jakiegos wężego kręgu receptury formalnej."

Będziemy udostępniać łamy naszego pisma ludziom o różnych założeniach, światopoglądowych i artystycznych. "Współczesność" stanie się miejscem ścierania się różnych poglądów ludzi, których jedyną bezwzględna uczciwość wobec swych ideowych i artystycznych założeń. Chcemy stale poszerzać krąg naszych zainteresowań. Pisać będziemy o plastyce, filmie i teatrze. Dużo miejsca zajmie w naszym piśmie eseistyka, krytyka i teoria sztuki.

Zasadniczo jednak "Współczesność" zachowa charakter pisma literackiego, trybuny młodych twórców. Ambicją naszą jest i pozostanie poszukiwanie ciekawych debiutów z terenu całej Polski. Chcemy nawiązać jak najściślejsze kontakty z najmłodszą literaturą innych krajów. Fragniemy skupić wokół "Współczesności" wszystkich młodych twórców, którzy chcą swoją sztuką służyć wielkiemu dziełu odnowy naszego życia społecznego i kulturalnego.

roman śliwoniak

w q q r o m

Sluchaliśmy tyle lat
huku miotów
kujących pęta

oży nasze wybielal lek
że nie zerwał ich ludzkie ręce
pod obrzymią pokrywą miłozenia
szept ochrypły rozkrwawiał usta

zasłonił słońce
ciemną płytą
zamienili dni
w dom osiepiętych
kolowali biegali

popychali w opętany taniec
podepiłani plakali w ciemności
ochrypły pieśni
które nie widziały słońca

aż ludzki krzyk
którym można poderznąć gardła
strząsał piętę
za którą było słońce

przywrócićmy oczom blask
ustom oddamy usmiech
choćż rzeka wielkiego bólu
dzień wypełnia aż po horyzont
a wasza krew
spływająca na zbieżną twarz ziemi
niech przestrogą wielką zabłyśnie
i na zawsze obwinia tych
którzy zapomnieli ją cenić.

30.X.56

13 tysięcy przestę

"Szajka młodych dolinarzy na Dworcu Głównym."

"W podziemi jadącym do Szczecina na złapano na gorącym uczynku kradzieży teczki młodocianego Eugeniusza Kijasa. Kijasa był już karany domem poprawczym."

"14 letni Wojciech M. pobit naukę czytelkę, wychowawczyń 7-jej klasy, do której uczęszcza już drugi rok."

"Po zakrapianych imieninach uderzył nożem. Ma lat 16 i jest synem znanego aktora."

Znacie? Oczywiście znany, znany. Znany znacznie więcej. Przez 12 lat

naszego ustroju nie zagraliśmy w otwarte karty. Wasydlawie skrywalismy dane o nieustannym wzroście przestępczości. Przyczyną zła załatwiliśmy jednym licznikiem: przeżyłki starego. To było bardzo wygodne, bo bez uciekania się do wnikliwej analizy zjawiska potrafiło wszystko wytłumaczyć. Czy rzeczywiście potrafiło? Tu właśnie jest pies pogrzebany. Ale nie będzie to przedmiotem niniejszych rozważań. Sprawę szczegółowych badań tego zjawiska i polityki prewencyjnej pozostawiamy mądrości i doświadczeniu naszych socjologów.

Zainteresował nas natomiast inny aspekt zagadnienia przestępczości wśród nieletnich. Idzie nam o to jakim kompleksem środków dysponuje współczesne państwo socjalistyczne, chcące zahamować dalszy rozwój przestępczości i uciec dusze zatrute już jadą przestępstwa. I to nie od strony teoretycznej, ale najzupełniej praktycznej, tej która określa najbardziej aktualne status quo.

"Pierwszy krok w ciemności"

Przy Alejach Świerczewskiego w Warszawie

przez f
"Sprawie trwałosci wym usi szerokim tego soli ku chlo Szczuply do mnie: nię szkło: was chro Sposzrzag drzwi i warszaws

Oświadc się dzieje wy trafili Proba duje...

Byli i żyli wot nami n Byli lud niewinni cie i ma